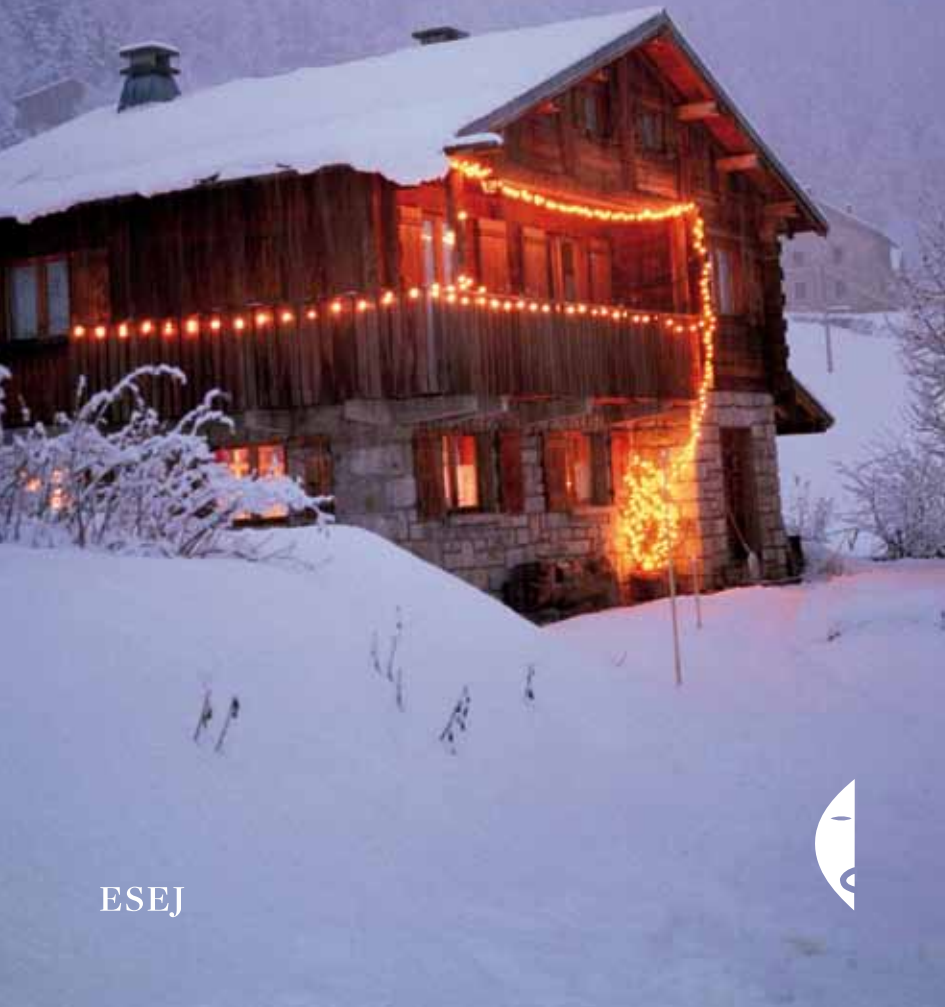


# Tony Judt Pensjonat pamięci



ESEJ





Tony Judt

## **Pensjonat pamięci**

Przełożyła Hanna Jankowska

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2012

Tytuł oryginału angielskiego THE MEMORY CHALET

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce © PETER MARLOW / MAGNUM PHOTOS / EK PICTURES

Copyright © THE ESTATE OF TONY JUDT, 2010

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2012

Copyright © for the Polish translation by HANNA JANKOWSKA, 2012

Redakcja WOJCIECH GÓRNAŚ / REDAKTORIA.COM

Korekta MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA / D2D.PL,

MAŁGORZATA POŹDZIK / D2D.PL

Projekt typograficzny, redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-433-0

Cena: 31,90zł

Jedną ze wspaniałych cech eseju jest to, jak elegancka ścisłość formy łączy się z radosną giętkością treści. [...] Judt w pełni z tego korzysta, podążając za myślą i wspomnieniem, dokądkolwiek go one wiodą: smaki żydowsko-brytyjskich potraw z czasów dzieciństwa, rozkosze jazdy podmiejską Zieloną Linią, wspaniały nauczyciel języka niemieckiego, doniosłe znaczenie pokojowej w internacie w Cambridge [...], rozważania o edukacji, samochodach, o nauce czeskiego w średnim wieku, o zniewolonych umysłach, o polityce, tożsamości [...]. Można by się spodziewać, że zapiski i wspomnienia snute u progu śmierci będą nią naznaczone, ale myśl Judta nie ginie w elegijnym tonie ani nie cichnie. Dociekliwość, śmiałość, poczucie humoru i przejrzystość stylu to cechy człowieka trwającego w objęciach życia, nie śmierci.

„The Telegraph”

Jeden z najwybitniejszych historyków naszych czasów spędza długie bezsenne noce, zagłębiając się w siebie. Cierpi na stwardnienie zanikowe boczne. Może wciąż myśleć jasno. Nie dręczy go ból. Ale nie może się poruszać, wkrótce nie będzie mógł też mówić, zamknięty w niemym paraliżu – „postępującym uwięzieniu bez perspektywy zwolnienia

warunkowego” – w miarę jak nieuchronnie zbliża się śmierć. Ma jednak jedno zajęcie, owoc tych samotnych nocy, gdy w głowie kłębią się bezustannie wspomnienia i myśli. Tony Judt wspomina, jak w dzieciństwie wybrał się z rodzicami na narty do Szwajcarii. Przywołuje w pamięci pensjonat, w których mieszkali, świetlicę, jadalnię i kuchnię, ciepłe zakamarki, ciemne zakątki. I oczami duszy przechodzi z pokoju do pokoju, a idąc, układa w głowie eseje, złożone ze wspomnień i rozważań, i dopracowuje je, przepowiada sobie aż do świtu, gdy ktoś bliski będzie mógł spisać jego z trudem wypowiedziane słowa. [...]

Tony Judt miał w sobie sprzeczne duchy, był polemistą i prorokiem, filozofem i pamflecistą, ale przede wszystkim – taki jego obraz wyłania się z tych stron – potrafił rzucać na znane sprawy nowe światło. Warto go słuchać.

„The Guardian”

*Pensjonat pamięci* to dzieło historyka zmuszonego do obywatela się bez narzędzi, na których zwykł dotąd niewzruszenie polegać. Mówi się, że w chwili śmierci całe życie przemyka nam przed oczami. Cudowne możliwości współczesnej medycyny podtrzymywały Tony’ego Judta przy życiu, rozciągając czas umierania na kilka wyczerpujących lat. To więc, co zwykle zamyka się w mgnieniu oka, jest tu opowiedziane szczegółowo i dokładnie. [...] Można niemal poczuć, jak dusza z wolna opuszcza jego ciało, pozostawiając nam wszakże żywy dorobek jego życia.

„The New York Times”

Jennifer, Danielowi i Nicholasowi





## Przedmowa

Szkice zawarte w tej książeczce nie były przeznaczone do publikacji. Zacząłem je pisać dla siebie, zachęcony przez Timothy'ego Gartona Asha, który namówił mnie, by spożytkować fakt, że moje refleksje w coraz większym stopniu nastawione są do wewnątrz. Nie miałem chyba pojęcia, do czego właściwie się zabieram, i jestem wdzięczny Timowi, że z takim przekonaniem wspierał od samego początku tę pisaninę.

W połowie powstawania tych felietonów pokazałem kilka z nich moim agentom z Wylie Agency, a także Robertowi Silversowi z „New York Review of Books”. Ich entuzjazm podniósł mnie na duchu. Nasunęła mi się jednak kwestia natury etycznej. Ponieważ nie pisałem z myślą o szybkiej publikacji, te krótkie utwory nigdy nie skorzystały z dobrodziejstwa wewnętrznej redakcji – czy też, dokładniej rzecz ujmując, autocenzury. Tam, gdzie mowa o moich rodzicach, dzieciństwie, byłych żonach, obecnych kolegach, nie stawiałem sobie żadnych ograniczeń. Nadało to temu pisaniu zaletę bezpośredniości. Mam nadzieję, że nikt nie poczuje się urażony.

Nie zmieniałem ani nie przeredagowywałem żadnego z tekstów, które zostały spisane z pomocą mojego długoletniego

współpracownika Eugene'a Rusyna. Kiedy je ponownie czytam, dostrzegam, że okazałem się dość szczery, a miejscami nawet krytyczny wobec tych, których kocham, podczas gdy ludzi, do których mam stosunek mniej niż czuły, potraktowałem na ogół z wyważoną dyskrecją. Niewątpliwie tak powinno być. Mam nadzieję, że moi rodzice, żona, a przede wszystkim dzieci odnajdą w miłych wspomnieniach, które przywołuję, jeszcze jeden dowód na to, jak bardzo ich wszystkich kocham.

### **Pensjonat pamięci**

Słowo *chalet* kojarzy mi się z bardzo konkretnym obrazem. Przywołuje w pamięci mały *pensione*, rodzinny hotelik w niemodnej miejscowości Chesières u podnóża bogatego kurortu narciarskiego Villars we francuskojęzycznej części Szwajcarii. Spędzaliśmy tam zimowe wakacje chyba w 1957 albo 1958 roku. Jazda na nartach – a w moim przypadku na sankach – jakoś nie bardzo utkwiała mi w pamięci. Pamiętam tylko, że rodzice i wujek wlekli się po oblodzonej kładce w górę, do wyciągów, i tam upływał im cały dzień, a nad miejsca uciech „po nartach” przedkładali spokojny wieczór w schronisku.

Dla mnie najmilszą częścią zimowych wakacji były zawsze wczesne popołudnia, kiedy porzucało się monotonne rozrywki na śniegu na rzecz ciężkich foteli, gorącego wina, treściwego wiejskiego jadła i długich wieczorów spędzanych we wspólnej sali, gdzie można się było odprężyć w towarzystwie obcych ludzi. Ale co to byli za ludzie! Osobliwość małego *pensione* w Chesières polegała na tym, że ściągali tu drugorzędni brytyjscy aktorzy, spędzający urlop w dalekim, obojętnym cieniu swoich bardziej wziętych kolegów po fachu, którzy wypoczywali wyżej w górach.

Drugiego wieczora po naszym przybyciu z jadalni dobiegła salwa przekleństw o seksualnej treści, które wzburzyły moją matkę. Brzydkie słowa nie były jej obce – dorastając, miała w zasięgu słuchu stare West India Docks – ale przeszedłszy przez uładzony czyściec salonu fryzjerskiego dla pań, zdążyła się wysferzyć i nie miała zamiaru narażać rodziny na takie plugastwo.

Pani Judt przemaszerowała przez salę do stolika, skąd dobiegały nieprzyzwoite słowa, i poprosiła, żeby przestać – tu są dzieci. Ponieważ moja siostra miała niespełna pół roku, a ja byłem poza nią jedynym dzieckiem w całym hotelu, prośba ta miała zapewne na względzie moje dobro. Młodzi i, jak się później domyśliłem, bezrobotni aktorzy, z których ust wyrwał się ten niestosowny potok słów, natychmiast przeprosili i zaproponowali, żebyśmy przysiedli się do nich i razem zjedli deser.

Była to wspaniała ekipa, przynajmniej w oczach wszystko-widzącego (i wszystkosłyszącego) dziesięciolatka, który się znalazł wśród tych ludzi. Wtedy jeszcze nikt o nich nie słyszał, choć niektórych czekała świetna przyszłość, jak Alana Badela, który dopiero później miał zostać wybitnym odtwórcą ról szekspirowskich i zagrać w znanych filmach (*Dzień Szakala*). Przede wszystkim jednak spotkałem tam żywiołową Rachel Roberts, która wkrótce miała zasłynąć w rolach rozczarowanych robotniczych żon w najwybitniejszych powojennych filmach brytyjskich (*Z soboty na niedzielę*, *Sportowe życie*, *Szczęśliwy człowiek*). To Roberts wzięła mnie pod swoje skrzydła, mamrocząc niedające się powtórzyć przekleństwa barytonem podlanym whisky, który pozostawił mi niewiele złudzeń co do jej przyszłości, wprawiając mnie zarazem w pewne pomieszanie co do mojej własnej. Podczas tamtych wakacji nauczyła mnie pokera, różnych sztuczek z kartami oraz tylu brzydkich słów, że nie starczyło mi czasu, żeby je zapomnieć.

Może dlatego szwajcarski hotelik przy głównej ulicy Chesières pozostał w mojej pamięci miłszym i bardziej trwałym wspomnieniem niż inne bez wątpienia identyczne drewniane budynki, w których przez lata zdarzało mi się sypiać. W pensjonacie w Chesières mieszkaliśmy zaledwie jakieś dziesięć dni, a wróciłem do niego tylko raz i na krótko. Nawet dziś potrafię jednak opisać jego kameralny styl.

Było tu parę niezwykajnych w tym otoczeniu udogodnień: do środka wchodziło się na poziomie półpiętra, oddzielającego niewielką sutereneę od pomieszczeń służbowych na głównym piętrze. Półpiętro miało odseparować sportowe akcesoria, z których skapywała woda (narty, buty, kijki, kurtki, sanki itp.), od przytulnych i suchych sal ogólnych. Te ostatnie, rozmieszczone po obu stronach recepcji, miały wielkie, przyciągające wzrok okna, które wychodziły na główną ulicę miasteczka i otaczające je strome wąwozy. Dalej były kuchnie i inne pomieszczenia służbowe, ukryte za szerokimi i bardzo stromymi schodami prowadzącymi na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie.

Pokoje starannie podzielono na lepiej wyposażone, po lewej, i mniejsze, pojedyncze, bez umywalek, położone dalej. Taki układ był zapewne przemyślany. Za nimi znajdowały się wąskie schody, wiodące na strych, gdzie mieszkali pracownicy (z wyjątkiem szczytu sezonu). Nie sprawdziłem tego, ale nie sądzę, żeby było więcej niż dwanaście pokoi dla gości, a do tego trzy sale ogólne i otaczająca je wspólna przestrzeń. Był to hotelik dla małych rodzin o skromnych dochodach, w bezpretensjonalnym miasteczku nieżywiącym ambicji wyrastających ponad jego położenie geograficzne. W Szwajcarii musiało być z dziesięć tysięcy takich hotelików. Tak się złożyło, że wygląd jednego z nich potrafię niemal idealnie odtworzyć w pamięci.

Przez następne pięćdziesiąt lat pensjonat w Chesières raczej nie zaprzętał moich myśli, poza tym, że czasem przywoływał pogodne wspomnienia. Odkąd jednak w 2008 roku zdiagnozowano u mnie stwardnienie zanikowe boczne (ALS) i szybko zrozumiałem, że najprawdopodobniej już nigdy nigdzie nie pojedę – i bardzo mi się poszczęści, jeśli będę w ogóle mógł pisać o swoich podróżach – hotelik w Chesières uporczywie przychodził mi na myśl.

Ta szczególna choroba neurodegeneracyjna ma to do siebie, że umysł człowieka pozostaje w niej jasny, może snuć rozważania o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ale chory zostaje stopniowo pozbawiony wszelkich możliwości przetworzenia tych rozważań na słowa. Najpierw okazuje się, że nie możesz już sam pisać, potrzebujesz pomocnika albo maszyny, żeby utrwalić myśli. Następnie odmawiają posłuszeństwa nogi i tracisz zdolność nabywania nowych doświadczeń, chyba że kosztem tak złożonych zabiegów logistycznych, że przedmiotem uwagi staje się sama możliwość poruszania, a nie korzyści, jakie może przynieść.

Potem zaczynasz tracić głos, i to nie tylko w sensie metaforycznym, tak że musisz się wysławiać za pomocą różnych mechanicznych bądź ludzkich pośredników. Tracisz głos dosłownie, ponieważ mięśnie przepony nie potrafią już przepompować dostatecznej ilości powietrza, która mogłaby wprawić struny głosowe w drgania niezbędne do wydania dźwięków mających sens. Na tym etapie masz już prawie na pewno porażone wszystkie cztery kończyny i skazany jesteś na pozostawanie przez długie godziny w milczeniu i bezruchu, przy innych osobach albo bez nich.

Jest to niezwykle wyzwanie dla kogoś, kto nadal chciałby przekazywać słowa i myśli. Nic już po żółtym notatniku i beużytecznym ołówku. Do przeszłości należą odpężające

przechadzki po parku czy ćwiczenia na siłowni, podczas których pomysły i ciągi zdarzeń same się układają, niczym za sprawą doboru naturalnego. Nie ma też już mowy o twórczej wymianie myśli z przyjaciółmi – nawet w połowie postępującego procesu chorobowego ofiara myśli przeważnie o wiele szybciej, niż może ubrać to w słowa, rozmowa staje się więc urywana, frustrująca, a w końcu traci sens.

Na rozwiązanie tego problemu natrafiłem chyba przypadkiem. Po kilku miesiącach choroby zdałem sobie sprawę, że nocą układam w głowie całe historie. Niewątpliwie szukałem sposobu, by zasnąć, zastępując niezdarne barany złożoną narracją – z podobnym skutkiem. W trakcie tych ćwiczeń uświadomiłem sobie jednak, że odtwarzam – jakby z klocków Lego – przeplatające się fragmenty przeszłości, o których nigdy bym wcześniej nie pomyślał, że mają ze sobą związek. Samo w sobie nie było to wielkim osiągnięciem: strumienie świadomości, które przenosiły mnie od maszyny parowej na lekcję niemieckiego, od pieczołowicie wytyczonych tras londyńskich autobusów podmiejskich do historii planowania miast w okresie międzywojennym, dość łatwo żłobiły sobie drogę i bez trudu dało się za nimi podążać w dowolnych interesujących kierunkach. Jakże jednak miałbym odtworzyć następnego dnia te na wpół zasypane szlaki?

I tutaj nostalgiczne wspomnienia szczęśliwszych dni spędzonych w europejskich miasteczkach zaczęły odgrywać bardziej praktyczną rolę. Od dawna fascynowały mnie metody mnemotechniczne stosowane przez myślicieli i podróżników z początków ery nowożytnej do gromadzenia i przypominania sobie szczegółów i opisów. Pięknie pisała o nich Frances Yates w esejach o epoce renesansu, a później Jonathan Spence w opowieści o Włochu, który na przełomie wieków XVI i XVII zwiedził Chiny – *The Memory Palace of Matteo Ricci*.

Ci mistrzowie sztuki zapamiętywania nie budowali zwykłych zajazdów czy rezydencji, by pomieścić w nich swoją wiedzę. Konstruowali pałace. Nie miałem jednak ochoty na wznoszenie w głowie pałaców. Te prawdziwe zawsze kojarzyły mi się z jakąś dekadencją – od Hampton Court Wolseya do Wersalu Ludwika XIV ekstrawagancje takie zawsze miały raczej wywierać wrażenie, niż służyć celom praktycznym. Leżąc nocą w ciszy i bezruchu, nie mogłem sobie wyobrazić takiego pałacu pamięci, tak jak nie przyszłoby mi na myśl, żeby uszyć sobie pantalonów i kamizelkę z wzorem amerykańskiej flagi. Ale jeśli nie pałac, to może chociaż pensjonat pamięci?

Jego zaleta polegała nie tylko na tym, że potrafiłem odtworzyć go w bardzo istotnych i realistycznych szczegółach – od umieszczonej przy progu szyny do oskrobywania śniegu z butów aż po wewnętrzne okno chroniące przed wiatrami od Valaison – ale i na tym, że było to miejsce, do którego wciąż mnie ciągnęło. Żeby pałac pamięci mógł pełnić funkcję magazynu reorganizowanych w nieskończoność i wciąż przegrupowywanych wspomnień, musi mieć wyjątkowy powab, choćby dla jednej osoby. Co noc, przez kolejne dni, tygodnie, miesiące, a teraz już ponad rok, wracam do tego pensjonatu. Przemierzam znajome krótkie korytarze z wytartymi kamiennymi stopniami, zasiadam w jednym z dwóch, a może trzech foteli – tak się pomyślnie składa, że nikt ich nie zdążył zająć. I wtedy, gdy z życzenia z dość niezawodną pewnością rodzi się myśl, wyczarowuję, segreguję i porządkuję opowieść, wywód albo przykład, które planuję wykorzystać w czymś, co napiszę następnego dnia.

Co dalej? Tu pensjonat z wyzwacza wspomnień zmienia się w magazyn danych. Kiedy już mniej więcej wiem, co chcę powiedzieć, i w jakiej kolejności najlepiej to wyrazić, wstaję z fotela i podchodzę z powrotem do drzwi wejściowych. Stąd



wracam tą samą drogą, kierując się przeważnie od pierwszego schowka – powiedzmy tego na narty – ku większym przestrzeniom: do baru, jadalni, salonu, mijam staromodny drewniany wieszak na klucze pod zegarem z kukułką i dość przypadkowy zbiór książek zgromadzony nad tylnymi schodami, po czym wchodzę do któregoś z pokoiów. Do każdego z tych miejsc przypisany jest jakiś istotny fragment opowieści albo, dajmy na to, wyjaśniający przykład.

Systemowi temu daleko do ideału. Wciąż wszystko się na siebie nakłada, a ja muszę mieć pewność, że za każdym razem zostanie wytyczona odrębna marszruta, żeby nowa opowieść nie pomieszała się z podobnymi elementami tej, którą snułem niedawno. Bez względu więc na pierwsze wrażenia nie polega to na przezornym kojarzeniu wszystkich kwestii dotyczących odżywiania z jednym pokojem, uwodzenia czy seksu z drugim, a wymiany myśli z trzecim. Lepiej zaufać mikrogeografii (ta szuflada znajduje się za tamtą szafą na tamtej ścianie) niż logice konwencjonalnego umeblowania umysłu, na której polegamy.

Zdumiewa mnie, jak często ludzie stwierdzają, że trudno, jak im się wydaje, uporządkować swoje myśli w układzie przestrzennym, tak by móc po kilku godzinach do nich wrócić. Dla mnie – co prawda w warunkach niecodziennych ograniczeń narzuconych mi przez ciało, które stało się więzieniem – jest to najprostszy ze sposobów, wręcz zbyt mechaniczny, który zachęca do starannego porządkowania przykładów, ciągów i paradoksów, ale to z kolei może myląco zmienić układ oryginału i doprowadzić do o wiele bardziej sugestywnego pomieszenia wrażeń i wspomnień.

Zastanawiam się, czy nie łatwiej ma mężczyzna – taki typowy, który przeważnie sprawniej umie zaparkować samochód i ma lepszą pamięć przestrzenną od typowej kobiety,

lepiej z kolei wypadającej w testach z zapamiętywania osób i wrażeń? W dzieciństwie moim numerem popisowym było pilotowanie samochodu w obcym mieście, z którego mapą zapoznałem się przedtem tylko raz, i to pobieżnie. Zawsze natomiast byłem beznadziejny, jeśli chodzi o podstawowe umiejętności niezbędne ambitnemu politykowi, takie jak swobodne poruszanie się wśród gości na przyjęciu i pamiętanie o rodzinnych układach i politycznych uprzedzeniach każdego z obecnych, a na pożegnanie zwrócenie się do nich po imieniu. Na to musi być również jakiś mnemotechniczny sposób, ale nigdy się z nim nie zetknąłem.

Piszę to w maju 2010 roku. Od początku choroby zdołałem ukończyć niewielką książkę o tematyce politycznej, przygotować wykład, napisać około dwudziestu felietonów będących refleksjami nad moim życiem, udzielić serii wywiadów poświęconych gruntownym studiom nad XX wiekiem. Wszystkie te dokonania zawdzięczam głównie nocnym wizytom w swoim pensjonacie pamięci i podejmowanym następnie wysiłkom mającym na celu odtworzenie po kolei i w szczegółach treści tych wizyt. Niektóre nakierowane są do wewnątrz – za punkt wyjścia mają dom, autobus lub człowieka; inne na zewnątrz, obejmują dziesięciolecia politycznych obserwacji i zaangażowania, kontynenty podróży, nauczania i komentarzy.

Są co prawda noce, kiedy rozsiadam się w miarę wygodnie, mając naprzeciwko siebie Rachel Roberts albo po prostu pustą przestrzeń: ludzie i miejsca zabłąkali się tam tylko po to, by znów zniknąć. Nie przeciągam takich bezproduktywnych posiedzeń. Wracam do starych drewnianych drzwi, wychodzę na górskie zbocze berneńskiego Oberlandu – naginając geografii do dziecięcych skojarzeń – i dość bezceremonialnie rozpieram się na ławie. Przemieniwszy się z urzeczzonego (nie bez poczucia winy) małego słuchacza Rachel Roberts

w zamkniętego w sobie Halnego Stryjka Heidi, spędzam godziny między bezsennym snem a sennym czuwaniem – aż się budzę, uświadomiwszy sobie z irytacją, że nie udało mi się tej nocy nic stworzyć, zapamiętać ani sobie przypomnieć.

Bezproduktywne noce są niemal fizycznie dokuczliwe. Można sobie co prawda powiedzieć: ależ powinienes być dumny, że pozostałeś przy zdrowych zmysłach. Gdzie napisano, że do tego masz być jeszcze produktywny? Czuję się jednak nieco winny, że tak łatwo poddałem się losowi. Kto w takich warunkach potrafiłby się lepiej spisać? Odpowiedź brzmi oczywiście „lepszy ja” i zaskakujące, jak często życzymy sobie, żeby być lepszą wersją nas samych, wiedząc aż nazbyt dobrze, jak trudno było się stać tym, kim jesteśmy.

Nie mam za złe, że sumienie robi nam taki numer. Sprawia to jednak, że nocą pojawiają się niebezpieczeństwa, które niesie ze sobą ciemna strona. Nie należy ich lekceważyć. Halny Stryjek, spoglądający chmurnie spod zmarszczonych brwi na wszystkich przybyszów, nie jest człowiekiem szczęśliwym: jego ponury nastrój tylko od czasu do czasu rozpraszają noce spędzone na upychaniu ubocznych produktów przywołanych wspomnień w szafach i szufladach, na półkach i w korytarzach.

Zauważyć należy, że Halny Stryjek, moje wiecznie niezadowolone alter ego, nie ogranicza się do przesiadywania w złym humorze u drzwi górskiej chaty. Pali gitanes'a, kolebie w dłoni szklankę whisky, przewraca stronice gazety, przemierza ciężkim krokiem zasypane śniegiem ulice, tęsknie pogwizduje – i w ogóle zachowuje się jak wolny człowiek. W niektóre noce zdolny jest tylko do tego. Gorzkie przypomnienie o utracie? Czy też pocieszenie na myśl o papierosie?

Są jednak noce, kiedy go po prostu mijam. Wszystko działa jak należy. Twarze powracają, przykłady pasują, ozywają sepiowe fotografie, „wszystko się układa”. W ciągu kilku

minut mam już swoją opowieść, postacie, ilustracje i morał. Halny Stryjek i jego nieznośne przypomnienia o utraconym przeze mnie świecie już się nie liczą. Otacza mnie przeszłość i mam to, czego mi potrzeba.

Ale jaka przeszłość? Historyjki, które nabierają kształtu w mojej głowie, kiedy leżę spowity w nocny mrok, nie przypominają niczego, co dotąd pisałem. Nawet według ultraracjonalnych wymogów mojej profesji zawsze byłem „rezonerem”: ze wszystkich banałów, które wypowiedziano na temat „Historii”, najbardziej przemawiało do mnie stwierdzenie, że jesteśmy tylko filozofami uczącymi na przykładach. Nadal w to wierzę, choć teraz okazuje się, że robię to w szczególnie, pośredni sposób.

Wcześniej mogłem sobie wyobrazić, że jestem jak Getto strugający z twierdzeń i dowodów małych Pinokiów, ożywionych dzięki prawdopodobieństwu ich logicznej konstrukcji, to zaś, że mówią prawdę, wynika z uczciwości właściwej ich elementom składowym. Ale to, co ostatnio piszę, ma o wiele bardziej in d u k c y j n y charakter. O wartości tych szkiców przesądza zasadniczo impresjonistyczny efekt: fakt, że udało mi się powiązać i przepleść prywatne z publicznym, wyrozumowane z intuicyjnym, przypomniane z odczuwanym.

Nie wiem, do jakiej kategorii je zaliczyć. Drewniani chłopcy wychodzący spod mojej ręki wydają mi się swobodniej ukształtowani, a przy tym bardziej ludzcy niż ich dedukcyjnie skonstruowani, rygorystycznie zaprojektowani poprzednicy. Teksty bardziej polemiczne w formie – można tu chyba wymienić *Zaciskanie pasa* – przypominają nieumyślnie, jak mi się zdaje, dawno zapomniane wiedeńskie felietony Karla Krausa: aluzyjne, sugestywne, niemal za lekkie jak na ich poważną treść. Są jednak i takie, utrzymane

w cieplejszym tonie, jak *Jedzenie*, a może i *Putney*, które służy innemu celowi. Unikając ciężkich abstrakcji, tak typowych dla prozy narratorów „poszukujących tożsamości”, mogą z powodzeniem odkrywać zapomniane kontury, choć wcale do tego nie pretendują.

Gdy odczytuję na nowo te felietony, zdumiewa mnie chyba wizja człowieka, którym nigdy nie zostałem. Kilkadziesiąt lat temu radzono mi, żebym zajął się literaturą. Mądry nauczyciel powiedział mi, że historia będzie za bardzo odpowiadać moim instynktom, umożliwiając zajęcie się tym, co przychodzi najłatwiej. Literatura, a zwłaszcza poezja, zmusiłaby mnie do odnalezienia w sobie nieznanych słów i stylów, do których upodobanie mógłbym dopiero odkryć. Właściwie to nie żałuję, że nie posłuchałem tej rady – moje konserwatywne nawyki intelektualne całkiem dobrze mi służyły. Sądzę jednak, że coś straciłem.

Uświadamiam sobie, że jako dziecko dostrzegałem o wiele więcej, niż rozumiałem. Może tak jest ze wszystkimi dziećmi, a mnie wyróżnia tylko to, że fatalna choroba dała mi możliwość spójnego odtworzenia tych obserwacji. A jednak się nad tym zastanawiam. Kiedy pytają mnie: „Ale jak możesz pamiętać z a p a c h autobusu Zielonej Linii?” albo „Co takiego było w szczegółach hoteli na francuskiej prowincji, że tak głęboko zapadły ci w pamięć?”, rodzi się myśl, że już wtedy konstruowałem sobie jakieś pensjonaciki pamięci. Nic bardziej mylnego. Żyłem w owej przeszłości dzieciństwa, łącząc być może ze sobą poszczególne jej fragmenty chętniej i łatwiej, niż mają to w zwyczaju inne dzieci, ale z całą pewnością nigdy nie rozmieszczałem jej w pamięci, żeby w przyszłości zrobić z niej użytek. Byłem co prawda dzieckiem samotnikiem i swoje myśli zachowywałem dla siebie. To jednak nie wyróżnia mnie znów tak bardzo. Jeżeli w ostatnich miesiącach

wspomnienia tak łatwo do mnie powracają, przyczyna moim zdaniem musi być inna.

Zaletą mojej profesji jest to, że dysponujemy opowieścią, w której można umieścić przykład, detal, ilustrację. Jako historyk powojennego świata, wspominający w trakcie milczącego przesłuchiwania siebie szczegóły własnego życia, mam tę przewagę, że moja narracja zarówno łączy, jak i ubarwia wspomnienia pod innymi względami rozłączone. Mówiąc bezceremonialnie – od wielu innych ludzi, którzy, jak wynikałoby z mojej niedawnej korespondencji, mają podobne wspomnienia, odróżnia mnie to, że mogę je wykorzystać na różnorakie sposoby. Z tego jednego powodu uważam się za szczęściarza.

Ktoś mógłby uznać, że szczytem złego smaku jest mówienie o szczęściu w przypadku zdrowego mężczyzny, ojca młodej rodziny, którego w sześćdziesiątym roku życia powaliła nieuleczalna degeneracyjna choroba, na którą niedługo umrze. Są jednak rozmaite rodzaje szczęścia. Jeśli ktoś padł ofiarą schorzenia neuronu ruchowego, to z pewnością w którymś momencie obraził Boga i nic więcej nie da się powiedzieć. Jeżeli wszakże człowiek musi tak cierpieć, lepiej, gdy ma dobrze zaopatrzoną głowę, pełną możliwych do odtworzenia i uniwersalnych fragmentów użytecznych wspomnień, łatwo dostępnych analitycznie nastawionemu umysłowi. Brakowało tylko schowka z półkami do ich przechowywania. To, że intensywnie przeszukując czas swojego życia, miałem, jak się okazało, tyle szczęścia, że i taki schowek znalazłem, wydaje mi się niemal łaskawością fortuny. Mam nadzieję, że go dobrze wykorzystałem.

Tony Judt

Nowy Jork, maj 2010

## Noc

Cierpię na chorobę neuronu ruchowego, w moim przypadku jest to stwardnienie zanikowe boczne (ALS), tak zwana choroba Lou Gehriga. Schorzenia neuronu ruchowego nie są takie znów rzadkie – należy do nich choroba Parkinsona, stwardnienie rozsiane oraz kilka innych łżejszych niedomagań. Stwardnienie zanikowe boczne, najrzadziej występująca z tej grupy chorób nerwowo-mięśniowych, wyróżnia się tym, że po pierwsze nie odejmuje czucia (co ma swoje dobre i złe strony), po drugie – przebiega bezboleśnie. Inaczej niż przy prawie każdej innej poważnej lub śmiertelnej chorobie, człowiek może spokojnie i przy minimalnym dyskomforcie obserwować katastrofalne postępy degradacji własnego organizmu.

ALS oznacza więc postępujące uwięzienie bez perspektywy zwolnienia warunkowego. Najpierw traci się władzę w kilku palcach, następnie w kończynie, później, co jest prawie nieuchronne, we wszystkich czterech. Mięśnie tułowia popadają w bezwład, co stwarza praktyczne problemy z trawieniem, a także zagraża życiu, ponieważ oddychanie staje się z początku trudne, a w końcu niemożliwe bez zewnętrznego wspomaganie przez respirator. W ostrzejszych przypadkach

tej choroby, połączonych z dysfunkcją neuronów ruchowych górnych (resztą ciała zawiadują tzw. neurony ruchowe dolne), niemożliwe staje się przełykanie, mówienie, a nawet poruszanie szczęką i głową. To mnie (jeszcze) nie dotknęło. Gdyby tak się stało, nie mógłbym dyktować tego tekstu.

W obecnym stadium choroby mam praktycznie sparaliżowane wszystkie kończyny. Przy nadzwyczajnym wysiłku mogę trochę poruszyć prawą ręką, a lewą przyciągnąć do piersi na odległość jakichś piętnastu centymetrów. Choć wyprostowane nogi pozostają zablokowane na tyle długo, żeby pielęgniarka mogła przemieścić mnie z jednego fotela na drugi, nie utrzymają mojego ciężaru i tylko jedna z nich jest jeszcze w stanie trochę się poruszyć. Nogi i ręce ułożone w jakiejś pozycji pozostają w niej, dopóki ktoś ich za mnie nie przełoży. Tak samo jest z tułowiem, skutkiem czego odczuwam nieustający ból pleców spowodowany bezruchem i naciskiem. Ręce mam bezwładne, nie mogę się więc podrapać, poprawić okularów, usunąć resztek jedzenia spomiędzy zębów ani wykonać żadnej z tych czynności, które – co uświadamia nam chwilowa refleksja – powtarzamy dziesiątki razy dziennie. Delikatnie mówiąc, jestem całkowicie zależny od cudzej uprzejmości.

W ciągu dnia mogę przynajmniej poprosić, żeby ktoś mnie podrapał, poprawił, podał mi coś do picia, albo po prostu przełożył kończyny, ponieważ przymusowy, trwający godzinami bezruch jest nie tylko niewygodny fizycznie, ale i psychicznie wręcz nieznośny. Nie traci się chęci, żeby się przyciągnąć, schylić, wstać, położyć, pobiec, czy nawet pogimnastykować. Kiedy jednak przychodzi taka ochota, nie jesteś w stanie nic, dosłownie nic zrobić, możesz tylko szukać jakiejś drobnej namiastki albo znaleźć sposób na stłumienie tej myśli i towarzyszącej jej pamięci mięśni.



Ale przychodzi noc. Odwlekam pójście do łóżka aż do ostatniego momentu, który da się pogodzić z potrzebą snu mojej pielęgniarki. Kiedy już mnie „przygotuje” do spania, wwozi mnie do sypialni na wózku inwalidzkim, w którym spędziłem ostatnie osiemnaście godzin. Z pewną trudnością (choć jestem niższy, drobniejszy i straciłem na wadze, nadal przedstawiam sobą znaczny bezwładny ciężar, który niełatwo podnieść nawet silnemu mężczyźnie) przekłada mnie na łóżko. Umieszczony w pozycji półsiedzącej, pod kątem stu dziesięciu stopni, zostaję obłożony poduszkami i zrolowanymi ręcznikami, żeby ciało się nie przesunęło. Lewa noga jest wykręcona jak u baletnicy, co ma równoważyć jej skłonność do wyginania się do środka. Cały ten proces wymaga znacznej koncentracji. Jeśli dopuszczę do tego, by któraś kończyna została źle ułożona, albo nie dopilnuję dokładnego umieszczenia talii w jednej linii z nogami i głową, będę w nocy cierpieł jak potępieniec.

Następnie zostaję przykryty, ręce spoczywają na kocu, co daje złudzenie mobilności, są jednak ciepło opatulone, ponieważ jest mi w nie teraz nieustannie zimno (tak jak i w inne części ciała). Pielęgniarka drapie mnie na koniec w któreś z kilkunastu swędzących miejsc, od linii włosów po palec u nogi. Umocowuje maskę nosową aparatu Bi-Pap wspomagającego oddychanie, nieprzyjemnie ją zaciskając – to konieczne, żeby się w nocy nie wysunęła. Zdejmuje mi okulary, i już leżę – owiązany, niedowidzący, nieruchomy jak współczesna mumia, sam w więzieniu własnego ciała. Przez resztę nocy towarzyszą mi tylko moje myśli.

W razie potrzeby mogę oczywiście liczyć na pomoc. Ponieważ poruszam wyłącznie szyją i głową, do komunikacji z otoczeniem służy mi umieszczona przy łóżku elektroniczna niania. Jest włączona na stałe, tak że moje wołanie kogoś

sprowadzi. Na początku choroby trudno mi się było oprzeć pokusie wzywania pomocy. Każdy mięsień pragnął ruchu, każdy kawałek skóry swędział, pęcherz w ciągu nocy tajemniczo się wypełniał i domagał opróżnienia. Czułem rozpaczliwą potrzebę otuchy, jaką daje światło, towarzystwo i zwykły kontakt z drugim człowiekiem. Teraz już jednak nauczyłem się obywać bez tego przez większość nocy, znajdując pocieszenie i ucieczkę we własnych myślach.

Nie jest to jednak błahe przedsięwzięcie. Zastanówcie się, jak często poruszacie się w nocy. Nie chodzi mi o zmianę miejsca (na przykład pójdziecie do łazienki, choć to też ważne), ale o to, ile razy przesuwacie rękę, stopę, jak często przed zaśnięciem drapiecie się w różne części ciała, jak nieświadomie wykonujecie drobne ruchy, chcąc znaleźć najwygodniejszą pozycję. Wyobraźcie sobie przez chwilę, że całkiem nieruchomo leżycie na plecach przez całe siedem godzin – nie jest to bynajmniej najdogodniejsza pozycja do spania, ale żadnej innej nie toleruję – i musicie wymyślić jakiś sposób, żeby móc tę męczarnię znieść nie tylko przez jedną noc, ale przez całą resztę życia.

Mój sposób polega na tym, że przeglądam swoje życie, myśli, fantazje, wspomnienia, także te niedokładnie zapamiętane, aż natrafię na wydarzenia, ludzi czy opowieści, za pomocą których mogę oderwać umysł od ciała, w którym jest unieruchomiony. Te umysłowe ćwiczenia muszą być na tyle interesujące, żeby przykuć uwagę i pomóc zapomnieć o nieznośnym swędzeniu w uchu czy dole pleców, a zarazem na tyle nudne i przewidywalne, żeby posłużyć za niezawodne preludium i zachętę do zaśnięcia. Dopiero po jakimś czasie uznałem ten proces za możliwą do zastosowania alternatywę dla bezsenności i dolegliwości fizycznych. Nie jest bynajmniej niezawodna. Czasami jednak sam się dziwię, jak łatwo udało mi się przez kolejne noce, tygodnie i miesiące przetrwać

nieznośne kiedyś nocne udręki. Budzę się dokładnie w takiej samej pozycji, nastroju i stanie zawieszanej rozpacz, z jakimi kładłem się do łóżka – w danych okolicznościach można to chyba uznać za znaczne osiągnięcie.

Ta egzystencja karalucha staje się coraz bardziej nie do wytrzymania, choćby nawet tej czy innej nocy była całkiem znośna. „Karaluch” to oczywiście aluzja do opowiadania Kafki *Przemiana*, którego bohater, budząc się pewnego ranka, odkrywa, że przemienił się w owada. Tematem opowiadania są zarówno reakcje rodziny i brak zrozumienia z jej strony, jak i opis doznań bohatera. Trudno oprzeć się myśli, że wykazującej najlepsze chęci, najżyczliwszy przyjaciel lub krewny nie potrafi zrozumieć poczucia izolacji i uwięzienia, jakie ta choroba narzuca swoim ofiarom. Bezradność jest upokarzająca nawet w przemijającej trudnej sytuacji – wyobraźcie sobie albo przypomnijcie, kiedy na przykład zdarzyło wam się upaść albo z innego powodu potrzebowaliście fizycznej pomocy innych osób. Wyobraźcie sobie, jak psychika reaguje na świadomość, że szczególnie upokarzająca bezradność w tej chorobie to wyrok dożywocia (beztrosko mówimy w tym kontekście o wyroku śmierci, ale w istocie śmierć oznaczałaby wybawienie).

Poranek przynosi pewne wytchnienie, choć fakt, że perspektywa przeniesienia na resztę dnia na wózek inwalidzki podnosi człowieka na duchu, mówi coś o samotnej podróży przez noc. Zbawiennym odwróceniem uwagi jest jakiegokolwiek zajęcie – w moim przypadku wyłącznie umysłowe i werbalne – choćby dlatego, że stwarza okazję do komunikowania się ze światem zewnętrznym i wyrażenia w słowach, często gniewnych, tłumionej irytacji i frustracji, wynikających z fizycznego wycieńczenia.

Najlepiej byłoby przetrwać noc, traktując ją jak dzień. Gdybym mógł znaleźć ludzi niemających nic lepszego do

roboty niż rozmawiać ze mną przez całą noc o czymś na tyle zajmującym, że nie pozwoliłoby nam zasnąć, poszukałbym ich. W tej chorobie jest się jednak także świadomym faktu, że inni muszą żyć n o r m a l n i e: potrzebne im są ćwiczenia i sen. Moje noce przypominają więc z pozoru noce innych ludzi. Przygotowuję się do snu, kładę się do łóżka, wstaję (a raczej jestem podnoszony). Ale tego, co się dzieje pomiędzy, nie da się przekazać, tak jak i sedna samej choroby.

Sądzę, że powinienem odczuwać choćby umiarkowaną satysfakcję z tego, że znalazłem w sobie mechanizm przetrwania, o jakim większość normalnych ludzi czytała tylko w relacjach z kłęk żywiołowych lub więziennych izolatek. To prawda, że moja choroba ma pewną zaletę: ponieważ nie mogę robić notatek, moja pamięć, i tak już niezła, znacznie się poprawiła, z pomocą technik zaadaptowanych z „pałacu pamięci” tak ciekawie opisanego przez Jonathana Spence’a. Ale satysfakcja zapewniana przez surogat jest nietrwała. Nie ma nic pozytywnego w tym, że jest się zakutym w zimny i bezlitosny żelazny pancerz. Przyjemności, jakie daje lotność umysłu, są znacznie przeceniane – jak się teraz przekonuję – przez tych, którzy nie muszą polegać wyłącznie na nich. To samo można powiedzieć o dyktowanych dobrymi intencjami zachętach do poszukiwania niefizycznej kompensacji fizycznej niemocy. Daremne starania. Strata jest stratą, nic nie zyskamy, nadając jej przyjemniejszą nazwę. Moje noce są ciekawe, ale mógłbym obejść się bez nich.

## **część pierwsza**



### **Zaciskanie pasa**

Kiedy moja żona zamawia jedzenie w chińskich restauracjach, z całą powagą nakazuje, żeby je dostarczono w kartonowych pudełkach. Moje dzieci przyswoiły sobie rozległą, przygnębiającą wiedzę o zmianach klimatu. Nasza rodzina dba o środowisko naturalne, według jej norm jestem przeżytkiem z epoki ekologicznej niewinności. Ale kto łązi po mieszkaniu, gasząc światło i sprawdzając, czy krany nie ciekną? Kto w czasach, kiedy wszystko od razu zastępuje się nowym nabytkiem, woli naprawiać stare rzeczy? Kto przetwarza resztki i pieczołowicie zbiera stary papier do pakowania? Moi synowie porozumiewawczo szturcząją kolegów: tato dorastał w nędzy. Poprawiam ich: wcale nie, dorastałem w epoce zaciskania pasa.

Po wojnie wszystkiego brakowało. Churchill, żeby pokonać Hitlera, zastawił Wielką Brytanię i zrujnował skarb państwa. Ubrania racjonowano do 1949 roku, tanie i proste „meble użytkowe” do 1952, żywność do 1954. Obowiązujące przepisy na krótko zawieszono na okres koronacji królowej Elżbiety, w czerwcu 1953 roku. Każdy mógł wtedy kupić dodatkowy funt cukru i cztery uncje margaryny. Ten akt wyjątkowej hojności uwydatnił jednak tylko ponure realia życia codziennego.

Dla dziecka racjonowanie było elementem naturalnego porządku. Długo jeszcze po jego zniesieniu matka przekonywała mnie, że „słodycze” (cukierki) są nadal skąpo wydzielane. Kiedy protestowałem, dowodząc, że koledzy z klasy mają do nich nieograniczony dostęp, tłumaczyła mi z dezaprobatą, że ich rodzice zaopatrują się najpewniej na czarnym rynku. Było to tym bardziej wiarygodne, że wszędzie widziało się skutki wojny. Londyn był oszpecony śladami po bombardowaniach. W miejscu domów, ulic, węzłów kolejowych i magazynów rozciągały się rozległe, ogrodzone linami obszary gruntu, przeważnie z lejem po bombie w środku. Na początku lat pięćdziesiątych niewybuchy zdołano już wywieźć i rozbroić, a miejsca po bombardowaniach, choć nadal niedostępne, przestały być niebezpieczne. Te improwizowane tereny zabaw miały jednak dla małych chłopców nieodparty urok.

Racjonowanie i subwencje zapewniały wszystkim dostęp do najniezbędniejszych rzeczy. Dzięki łaskawości powojennego rządu Partii Pracy dzieciom przysługiwały różne zdrowe produkty: darmowe mleko, ale także skoncentrowany sok pomarańczowy oraz tran, które wydawano wyłącznie w aptekach po potwierdzeniu tożsamości. Sok pomarańczowy był w prostokątnych szklanych butelkach, jak lekarstwo, i nigdy nie przestał mi się z nim kojarzyć. Jeszcze dzisiaj duża jego szklanka wywołuje we mnie sublimowane poczucie winy – lepiej nie wypijać jej od razu. O tranie, zalecanym gospodyniom domowym i matkom przez natarczywe w swej dobroczynności władze, lepiej nie wspominać.

My mieliśmy szczęście, bo wynajmowaliśmy mieszkanie nad zakładem fryzjerskim, w którym pracowali moi rodzice, ale wielu moich kolegów gnieździło się w niespełniających norm lub tymczasowych lokalach. Każdy rząd brytyjski od 1945 roku do połowy lat sześćdziesiątych zobowiązywał się



do realizacji zakrojonych na szeroką skalę planów budownictwa komunalnego, żaden nie spełnił obietnic. Na początku lat pięćdziesiątych setki londyńczyków wciąż wegetowały w „prefabach” – na miejskich kempingach dla bezdomnych, rzekomo tymczasowych, ale często funkcjonujących całymi latami.

Powojenne wytyczne dla budownictwa mieszkaniowego były minimalistyczne. Czteropokojowe domy miały osiemdziesiąt cztery metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej – tyle mniej więcej liczy przestronne dwupokojowe mieszkanie na Manhattanie. Z perspektywy czasu domy te nie tylko sprawiają wrażenie klitek, są też zimne i nędznie umeblowane. W swoim czasie listy oczekujących były długie – domy, pozostające w gestii władz lokalnych, stanowiły przedmiot wielkiego pożądania.

Niebo nad stolicą przywodziło na myśl brzydki dzień w Pekinie. Palono głównie węglem – był tani, nie brakowało go, pochodził z krajowych kopalń. Smog stanowił wieczne utrapienie. Pamiętam, jak wychylałem się przez okno samochodu w gęstą, żółtą mgłę, informując ojca o odległości od krawężnika – dosłownie nic nie było widać dalej niż na długość ramienia, a smród był okropny. Wszyscy jednak jakoś sobie wspólnie radzili. Bez cienia ironii przypominano Dunkierkę i naloty na Londyn, żeby pokazać, że naród ma charakter, a londyńczycy potrafią „przetrzymać” – najpierw Hitlera, a teraz to.

Kiedy dorastałem, I wojna światowa była mi co najmniej tak dobrze znana jak ta, która się niedawno skończyła. Nie brakowało weteranów, pomników i inwokacji, ale ostentacyjny, buńczuczny patriotyzm typowy dla współczesnej Ameryki był całkowicie nieobecny. Wojna także wymagała zaciśnięcia pasa. Dwóch moich wujków walczyło w Ósmej Armii Montgomery’ego, przeszli szlak z Afryki do Włoch. W ich

opowieściach o niedoborach, błędach i niekompetencji nie było śladu nostalgii ani triumfalizmu. Aroganckie musicalowe odwołania do imperium: „Nie chcemy z nimi walczyć, ale psia-kość, jeśli będzie trzeba, mamy okręty, mamy ludzi, pieniędzy też nie zbraknie!” ustąpiły miejsca nadawanym przez radio podczas wojny tęsknym lamentom Very Lynn: „Znów się spotkamy, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo kiedy”. Nawet w poświęceniach zwycięstwa nic już nie miało być takie jak przedtem.

Nieustanne odniesienia do niedawnej przeszłości łączyły pokolenie rodziców z moją generacją. Wciąż był z nami świat lat trzydziestych: *Droga na molo w Wigan* George’a Orwella, *Angel Pavement* J.B. Priestleya i *The Grim Smile of the Five Towns* Arnolda Bennetta opowiadały o Anglii, której obecność żywo się odczuwało. Wszędzie widać było egzaltowane aluzje do chwały imperium – Indie „utraciliśmy” kilka miesięcy po moim narodzeniu. Pudełka na herbatniki, piórniki, podręczniki szkolne i kroniki filmowe przypominały nam, kim byliśmy i czego zdołaliśmy dokonać. Pierwsza osoba liczby mnogiej to coś więcej niż kategoria gramatyczna. Kiedy Humphrey Jennings nakręcił film dokumentalny z okazji Festival of Britain w 1951 roku, nadał mu tytuł *Family Portrait* [Portret rodzinny]. Rodzina przeżywała może ciężkie czasy, ale wszyscy byliśmy razem.

To dzięki temu „byciu razem” dawało się znieść braki i szarość typowe dla powojennej Wielkiej Brytanii. Oczywiście tak naprawdę nie stanowiliśmy rodziny – gdybyśmy nią istotnie byli, to okazałoby się, że rządzą nami, jak zauważył Orwell, nie ci jej członkowie, co powinni. Niemniej jednak po wojnie bogacze przezornie starali się nie wyróżniać. Mało było w tamtych czasach przejawów ostentacyjnej konsumpcji. Wszyscy wyglądali tak samo i ubierali się w takie same materiały: chesaną wełnę, flanelę i sztruks. Nosili nierzucające się

w oczy kolory – brązowy, beżowy, szary – i prowadzili bardzo podobne życie. My, uczniowie, godziliśmy się na mundurki szkolne tym skwapliwiej, że nasi rodzice też pod względem stroju hołdowali rutynie. Wiecznie skwaszony Cyril Connolly pisał w kwietniu 1947 roku o naszych „burech ubraniach, książeczkach aprowizacyjnych i kryminałach” i że „Londyn jest dziś największym, najbardziej ponurym i najbrudniejszym z wielkich miast”.

Wielka Brytania wydobyła się w końcu z powojennej biedy – choć z mniejszym polotem i wiarą w siebie niż jej europejscy sąsiedzi z kontynentu. Dla wszystkich, których pamięć nie sięga wstecz dalej niż poza koniec lat pięćdziesiątych, „zaciskanie pasa” jest abstrakcją. Racjonowanie i ograniczenia zniesiono, mieszkania stały się dostępne – zanikała typowa dla powojennej Wielkiej Brytanii ponurość. Nawet smog nie był już taki gęsty, bo elektryczność i tani olej opałowy zastąpiły węgiel.

Co ciekawe, miejsce eskapistycznego kina brytyjskiego z lat tuż powojennych – takich filmów, jak *Wiosna w Park Lane* (1948) czy *Maytime in Mayfair* (1949), z Michaeliem Wildingiem i Anną Neagle – zajęły twarde dramaty obyczajowe o chłopakach z klasy robotniczej, w których role wcielali się Albert Finney i Alan Bates, a akcja rozgrywała się w naturalistycznej scenerii przemysłowej. Wymienić tu można *Z soboty na niedzielę* (1960) czy *Rodzaj miłości* (1962). Ale fabuła tych filmów była osadzona w realiach północy, gdzie nadal zaciskano pasa. W Londynie oglądało się je niczym własne dzieciństwo odtworzone dzięki zakrzywieniu czasoprzestrzeni. Na południu kraju konserwatywny premier Harold Macmillan w 1957 roku zapewniał swoich słuchaczy, że większości z nich „nigdy się tak dobrze nie powodziło”. Miał rację.

Myślę, że dopiero niedawno uświadomiłem sobie w pełni, jak odcisnęły się na mnie lata wczesnego dzieciństwa. Kiedy dzisiaj spoglądamy wstecz, widać wyraźniej zalety tamtej epoki ubóstwa. Nikt nie cieszyłby się z jej powrotu, ale zaciskanie pasa było nie tylko koniecznością ekonomiczną, miało coś wspólnego z etyką publiczną. Clement Attlee, laburzystowski premier w latach 1945–1951, wyłonił się, podobnie jak Harry Truman, z cienia charyzmatycznego przywódcy czasu wojny i ucieleśniał skromne oczekiwania, typowe dla tamtych lat.

Churchill kpił z niego, mówiąc, że to skromny człowiek, który „ma wiele powodów, żeby być skromnym”. Ale to Attlee przeprowadził krajowi w okresie największych reform we współczesnej historii Wielkiej Brytanii – porównywalnych do późniejszych o dwadzieścia lat dokonań Lyndona Johnsona, lecz przeprowadzanych w o wiele mniej sprzyjających okolicznościach. Tak jak Truman, żył i umarł skromnie, uzyskując skąpe korzyści materialne z pełnionej przez całe życie służby publicznej. Attlee był wzorowym przedstawicielem wielkiej epoki edwardiańskich reformatorów wywodzących się z klasy średniej – ludzi o surowych zasadach moralnych i cechach ascetów. Kto z naszych dzisiejszych przywódców mógłby się przyznać do takiej postawy – czy choćby ją zrozumieć?

Powaga moralna w życiu publicznym jest jak pornografia. Trudno ją zdefiniować, ale kiedy mamy z nią do czynienia, wiemy, o co chodzi. Jest to spójność intencji i działania, etyka odpowiedzialności politycznej. Polityka to sztuka możliwego. Sztuka też ma jednak swoją etykę. Gdyby polityków porównać do malarzy – Franklina Delano Roosevelta do Tytjana, a Churchilla do Rubensa – Attlee byłby Vermeerem tej profesji: precyzyjnym, powściągliwym i długo niedocenianym. Bill Clinton mógłby aspirować do wyżyn Salvadora

Dalí (i wierzyć, że to porównanie mu pochlebia), Tony Blair do pozycji – i chciwości – Damiana Hirsta.

W sztuce powaga moralna wyraża się w oszczędności formy i estetycznej powściągliwości. Jest to świat *Złodziei rowerów*. Zapoznałem niedawno naszego dwunastoletniego syna z klasycznym filmem François Truffauta z 1959 roku *Czterysta batów*. To dziecko z pokolenia wychowanego na diecie współczesnego kina „z przesłaniem”, od *Pojutrze* do *Avatara*, było zaskoczone: „Takie proste. Tyle dokonuje takimi niewielkimi środkami”. No właśnie. Obfitość środków stosowanych w dziedzinie rozrywki ma tylko przesłonić nędzę finalnego produktu. Podobnie jest w polityce, gdzie nieustająca gadanina i napuszona retoryka maskują pustkę skłaniającą do ziewania.

Przeciwieństwem zaciskania pasa nie jest dobrobyt, ale *luxe et volupté*. Cel publiczny zastąpiliśmy nieograniczoną komercją, a od naszych przywódców nie oczekujemy wyższych aspiracji. Sześćdziesiąt lat po tym, jak Churchill mógł zaproponować tylko „krew, trud, pot i łzy”, nasz prezydent czasu wojny – pomimo całego nadętego moralizatorstwa swojej retoryki – nie potrafił po 11 września zdobyć się na nic więcej, niż zwrócić się do nas, żebyśmy kontynuowali zakupy. Ta zużożona wizja wspólnoty – jednoczenie się w konsumpcji – jest wszystkim, na co zasługujemy ze strony tych, którzy obecnie nami rządzą. Jeśli chcemy mieć lepszych przywódców, musimy się nauczyć więcej od nich wymagać i o mniej prosić dla nas samych. Przydałoby się znów zacisnąć pasa.

## Jedzenie

Można się wychować na niedobrym jedzeniu, ale wcale nie znaczy to, że nie będzie się za nim tęsknić. Moją gastronomiczną młodość srogo ograniczały wszystkie najmniej inspirujące aspekty tradycyjnej kuchni angielskiej, łagodzone odrobiną kontynentalnego kosmopolityzmu, wprowadzanego od czasu do czasu za sprawą blednących wspomnień mojego ojca o młodości spędzonej w Belgii, i urozmaicane co tydzień elementami całkiem innej tradycji – kolacjami szabasowymi w domu dziadków, Żydów z Europy Wschodniej. To osobliwe połączenie niewiele się przyczyniło do wydelikacenia moich kubków smakowych – dopiero za czasów studenckich we Francji miałem regularnie do czynienia z dobrym jedzeniem – ale wprowadziło jeszcze większy zamęt w mojej młodszej tożsamości.

Moja matka przyszła na świat w najmniej żydowskiej części starego londyńskiego East Endu, tam gdzie Burdett Road przecina się z Commercial Road, o kilka przecznic na północ od londyńskich doków. Ten topograficzny pech – zawsze czuła się nieco wyobcowana ze swojego otoczenia, brak jej bowiem było typowo żydowskiego środowiska ulicy Stepney Green,

położonej kilkaset metrów dalej na północ – ukształtował wiele osobliwych skądinąd cech jej osobowości. W odróżnieniu od ojca matka żywiła na przykład głęboki szacunek dla króla i królowej i w późniejszych latach gotowa była wstawać, kiedy królowa wygłaszała przemówienie w telewizji. W kwestii swojego żydostwa zachowywała dyskrecję graniczącą wręcz z zażenowaniem, inaczej niż większość członków naszej dalszej rodziny, podkreślających swe jawnie cudzoziemskie cechy związane z kulturą jidysz. I jakby w przewrotnym hołdzie dla swojej matki, której obojętne były żydowskie tradycje z wyjątkiem nakazanych przez doroczne rytuały (a także pod wpływem zdecydowanie cockneyowskiej atmosfery ulic, na których dorastała), nie miała prawie żadnego pojęcia o żydowskiej kuchni.

Wychowałem się więc na angielskim jedzeniu. Nie były to jednak ryba z frytkami, pudding z bakaliami czy z mięsem, pudding zapiekany, kiełbaski w cieście ani inne specjały brytyjskiej kuchni domowej. Matka gardziła nimi, uznając je za niezdrowe. Dorastała być może w nieżydowskim otoczeniu, ale właśnie z tego powodu jej rodzina trzymała się razem i niewiele wiedziała o domowym świecie swoich sąsiadów, na których spoglądała z obawą i podejrzliwie. W każdym razie matka nie miała pojęcia, jak przyrządzać „angielskie przysmaki”. Stykając się od czasu do czasu za pośrednictwem znajomych ojca z Socjalistycznej Partii Wielkiej Brytanii z wegetarianami i weganami, nauczyła się cenić zalety razowego chleba, brązowego ryżu, fasolki szparagowej oraz innych „zdrowych” składników jadłospisu edwardiańskiej lewicy. Ale gotować brązowego ryżu nie potrafiła tak samo, jak nie umiała przyrządzić chop suey. Robiła więc to, co inni angielscy kucharze w tamtych czasach: wszystko rozgotowywała na papkę.

I w ten oto sposób angielskie jedzenie skojarzyło mi się nie tyle z brakiem wyrafinowania, ile z brakiem wszelkiego

smaku. Jadaliśmy razowiec marki Hovis, który, choć tak zdrowy, zawsze wydawał mi się nudniejszy nawet od gumowatych białych tostów podawanych do herbaty w domach moich kolegów. Jedliśmy gotowane mięso, gotowaną fasolę i bardzo rzadko te same produkty w wersji smażonej (przynajmniej trzeba, że rybę matka potrafiła usmażyć z pewną klasą, choć nigdy nie umiałem określić, czy miało to być po angielsku, czy po żydowsku). Kiedy na stole pojawiał się ser, był przeważnie, z niepojętych dla mnie przyczyn, holenderski. Herbatę piło się do wszystkiego. Rodzice nie uznawali napojów gazowanych – jeszcze jeden nieszczęsny przejaw ich politycznych sympatii – piliśmy więc niegazowane napoje owocowe, a w późniejszych latach neskę. Dzięki ojcu od czasu do czasu pojawiały się na stole inne przysmaki, na przykład camembert, sałata i prawdziwa kawa. Matka jednak traktowała je równie podejrzliwie jak wszystko inne, co pochodziło z kontynentu – zarówno nowinki gastronomiczne, jak i ludzi.

Tak więc trudno wyobrazić sobie większy kontrast niż między domowym jedzeniem a tym, co przygotowywała dla nas na piątkową kolację babka ze strony ojca zamieszkała w północnym Londynie. Dziadek był polskim Żydem, babka przyszła na świat w litewskim sztetlu. Ich gust kulinarny właściwy był Żydom z Europy Środkowej. Dopiero po kilkudziesięciu latach miałem zakosztować smaku, poznać różnorodność i konsystencję potraw kuchni żydowskiej z południowo-wschodniej Europy (zwłaszcza z Węgier). Nie miałem też najmniejszego pojęcia o sefardyjskiej tradycji kuchni śródziemnomorskiej. Babka, która przybyła do Londynu z Pilwiszek przez Antwerpię, nie знаła sałaty, a jeśli w jej ręce trafiła jakaś zielina, zamęczała ją w rondlu na śmierć. Ale jej sosy, kura,



ryba, wołowina, warzywa korzeniowe i owoce były dla mojego podniebienia łaknącego bodźców dziełem czarodziejki.

Typową cechą potraw podawanych na ówczesnej piątkowej kolacji był powtarzający się kontrast między miękkim a chrupkim, słodkim i pikantnym. Ziemniaki, brukiew i rzeпа miały zawsze brązowy kolor, były miękkie, zdawało się, że zanurzono je wcześniej w cukrze. Ogórki, cebulki i inne drobne, nieszkodliwe warzywa występowały w postaci chrupiących pikli. Mięso, które dawno oddzieliło się od kości, spadało z widelca. Też było brązowe i miękkie. Ryby – faszzerowane, gotowane, marynowane, smażone lub wędzone – były wszechobecne, a dom zawsze wydawał mi się przesiąknięty zapachem przyprawionych i zakonserwowanych morskich stworzeń. Co ciekawe i być może znamienne, zupełnie nie pamiętam konsystencji tej ryby ani jej proveniencji (zapewne był to karp). Zauważało się to, czym była ugarniowana.

Wraz z rybą i jarzynami podawano deser. Albo, dokładniej, „kompot”. Wszelkiego rodzaju gotowane i suszone owoce, głównie śliwki i gruszki, pojawiały się obowiązkowo po głównym daniu. Czasami wciskano je w grubą warstwę ciasta, takiego, z jakiego tradycyjnie wyrabiało się purymowe hamantasze, ale częściej kompot stał na stole osobno. Z napojów serwowano zawsze i wyłącznie okropne słodkie wino dla dorosłych i cytrynową herbatę dla dzieci. Jeśli dodać do tego zapychacze w postaci czarnego chleba, chałki, kulek z macy dodawanych do zupy oraz klusek wszelkich kształtów i odmian (ale zawsze o tej samej, miękkiej konsystencji), posiłek taki rozpoznałby każdy, kto urodził się między Niemcami a Rosją, Łotwą a Rumunią w ciągu ostatnich pięciu wieków. Dla mnie, odbywającego co tydzień podróż z Putney do Pilwiszek, symbolizował Rodzinę, Swojskość, Smak i Korzenie. Nigdy nie próbowałem opowiadać swoim angielskim kolegom,

co jadamy w piątkowe wieczory i co to dla mnie znaczy. Nie sądzę, żebym wiedział, a oni by nigdy nie zrozumieli.

Kiedy dorosłem, odkryłem inne sposoby wzbogacania beznadziejnie, rozpaczliwie wprost mdłego domowego jadłospisu. W ówczesnej Anglii, jeśli nie miało się dziadków, którzy przybyli z egzotycznych części świata, istniały tylko trzy możliwości poznania urozmaiconego menu. Była kuchnia włoska, ograniczająca się do Soho oraz artystycznego marginesu ambitnych klas opiniotwórczych. Mój budżet nastolatka, a później studenta nie pozwalał mi się nią raczyć. Było jedzenie chińskie, nieszczególnie w tamtych latach atrakcyjne i raczej trudno dostępne, w każdym razie zaś dostosowane ze względów komercyjnych do podniebienia Brytyjczyków. Przed połową lat sześćdziesiątych jedyne prawdziwe chińskie restauracje w Londynie znajdowały się w East Endzie, a ich klientelę stanowili chińscy marynarze oraz niewielka grupa imigrantów z Azji Wschodniej. Menu często w ogóle nie tłumaczono, a potrawy były nieznanymi mieszkańcom.

Prawdziwa droga ucieczki wiodła do Indii. Nie sądzę, żeby moi rodzice kiedykolwiek zaszli do indyjskiej restauracji – matka żywiła osobliwe złudzenie, że o ile potrawy chińskie (o których nie miała zielonego pojęcia) są w jakiś tam sposób „czyste”, o tyle indyjskie bywają podejrzane maskowane przyprawami nadającymi smak i prawdopodobnie przygotowuje się je podłódze. Nie podzielałem tych uprzedzeń, przez większość lat studenckich stołowałem się w indyjskich restauracjach w Londynie i Cambridge, gdzie zostawiałem znaczną część swoich ówczesnych dochodów. Wtedy jedzenie takie po prostu mi smakowało, ale przy głębszej refleksji dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie kojarzyłem je podświadomie z kuchnią moich dziadków.

Indyjskie potrawy też składały się z rozgotowanych protein zanurzonych w aromatycznych sosach. Indyjski chleb był miękki, przyprawy ostre, jarzyny słodkie. Na deser podawano lody o smaku owocowym albo kompoty z egzotycznych owoców. Do kuchni indyjskiej najlepiej pasowało piwo, w naszym domu prawie nieznanie. Ojciec nigdy nie raczył wyrazić tej myśli, ale jestem pewien, że w głębi duszy był uprzedzony do włączających się po pubach, chlejących piwo rodowitych Anglików. Był na tyle Europejczykiem, że pił przyzwoite wino, ale poza tym podzielał starszą, właściwą Żydom niechęć do nadmiernego spożycia alkoholu.

Dzięki indyjskiemu jedzeniu stałem się bardziej angielski. Jak większość Anglików z mojego pokolenia uważam indyjskie potrawy kupowane na wynos albo dostarczane do domu za rodzime, importowane przed wiekami. Jestem na tyle angielski, że indyjskie jedzenie stanowi dla mnie ten aspekt Anglii, którego brak mi tutaj, w Stanach, gdzie ulubioną kuchnią etniczną jest kuchnia chińska. Moja angielskość sprawia też jednak, że tęsknię za kuchnią wschodnioeuropejskich Żydów w formie nieco zaadaptowanej do brytyjskich realiów (wszystko trochę bardziej rozgotowane i mniej przyprawione niż w tutejszej, „amerykańskiej” kuchni żydowskiej). Potrafię wywołać w sobie tęsknotę za rybą z frytkami, ale w rzeczywistości jest to tylko spontaniczne ćwiczenie z Tradycji Kulinarnej. Kiedy byłem dzieckiem, prawie tego nie jadaliśmy. Gdybym miał się naprawdę udać na Poszukiwanie Straconego Smaku, zacząłbym od duszonej wołowiny i pieczonej rzepy, po czym przyszlaby kolej na kurczaka tikka masala i korniszony w chałce, piwo Kingfisher i słodką herbatę cytrynową. A co byłoby magdalenką wywołującą wspomnienia? Chleb *naan* maczany w zupie z kulkami z macy, podany przez mówiącego w jidysz kelnera z Madrasu. Jesteśmy tym, co jedliśmy. A ja jestem bardzo angielski.

## **Samochody**

Zdaniem matki nasz ojciec miał „obsesję” na punkcie samochodów. Uważała, że ta jego skłonność do wydawania na auta wszystkich naszych oszczędności była nieustannym zagrożeniem dla budżetu domowego. Nie mogę ocenić, czy miała rację, czy też nie – nie ulega wątpliwości, że gdyby to od niej zależało, nasza rodzina poprzestałaby na jednym małym samochodzie kupowanym raz na dziesięć lat, a może w ogóle by się bez niego obeszła – ale nawet w wyrozumiałych oczach kochającego syna ojciec sprawiał wrażenie samochodowego maniaka. Przedmiotem tej manii były zwłaszcza citroëny. Te specyficzne wytwory francuskiej firmy przez całe moje dzieciństwo i okres dojrzewania ozdabiały podwórko przed naszym domem. Od czasu do czasu ojciec pod wpływem impulsu, którego miał szybko pożałować, nabywał coś angielskiego – kabriolet austin A40, sportowego AC Ace, przez dłuższy czas trwała też fascynacja DB Panhardem, o którym będzie dalej mowa, ale poza tym rok w rok jeździł citroënami, o nich mówił i wciąż je naprawiał.

Zauroczenie ojca silnikami spalinowymi było typowe dla jego pokolenia. „Kultura samochodu” przyszła do

Europy Zachodniej w latach pięćdziesiątych, wtedy właśnie, kiedy ojciec mógł się w nią włączyć. Mężczyźni urodzeni przed pierwszą wojną światową zdążyli już na dobre wkroczyć w wiek średni, zanim samochody stały się dostępne dla większości Europejczyków – w latach trzydziestych i czterdziestych musieli się ograniczać do ciasnych, niewielkich aut miejskich, niewygodnych i słynących z zawodności, i dopiero gdy mieli za sobą najlepsze lata życia, mogli sobie pozwolić na coś lepszego. Moje pokolenie natomiast dorastało już wśród samochodów i nie widziało w nich nic szczególnie pociągającego czy romantycznego. Ale w oczach mężczyzn – i sądzę też, że paru kobiet – urodzonych w okresie międzywojennym samochód symbolizował nowo odkrytą wolność i dobrobyt. Mogli sobie pozwolić na jego zakup, wiele aut stało się dostępnych. Benzyna była tania, a drogi wciąż jeszcze kusząco puste.

Nigdy do końca nie pojąłem, dlaczego musieliśmy jeździć citroënem. Ideologiczna motywacja mojego ojca sprowadzała się do przekonania, że citroëny to najnowocześniejsze z technicznego punktu widzenia samochody, jakie jeżdżą po drogach. W 1936 roku, kiedy francuska firma wypuściła model Traction Avant, z przednim napędem i niezależnym zawieszeniem, było to niewątpliwie prawdą – tak samo jak w 1956 roku, kiedy pojawił się model DS19 o seksownie aerodynamicznych kształtach. Citroëny były z pewnością wygodniejsze od większości porównywalnych rodzinnych sedanów, a zapewne i bezpieczniejsze. Czy mniej się psuły, to już inna sprawa. Przed japońską rewolucją motoryzacyjną żadne samochody nie odznaczały się szczególną niezawodnością, a ja wiele nudnych wieczorów spędziłem na podawaniu narzędzi ojcu, który do późna w noc dłubał przy jakimś silniku, który odmówił posłuszeństwa.

Spoglądając wstecz, zastanawiam się, czy to upieranie się ojca przy zakupie Citroënów (w okresie mojego dzieciństwa mieliśmy ich chyba co najmniej osiem) nie miało związku z latami jego młodości. Był w końcu imigrantem, urodzonym w Belgii, dorastającym tam oraz w Irlandii, który dopiero w 1935 roku przybył do Anglii. Przez te lata nauczył się mówić nienaganną angielszczyzną, ale w głębi duszy pozostał człowiekiem z kontynentu. Jego upodobanie do sałatek, serów, kawy i wina często kolidowało z typowo angielską obojętnością mojej matki na jedzenie i napoje, traktowane jako paliwo dla organizmu. Ojciec nie znosił neski i lubił camembert, tak samo gardził morrisami, austinami, standard vanguardami i innymi pospolitymi produktami angielskiego przemysłu, spoglądając instynktownie w stronę kontynentalnej Europy.

Dlaczego staliśmy się „rodziną Citroëna”, kiedy volkswageny, peugeoty, renault, fiaty i cała reszta też były dostępne, a przy tym tańsze? Lubię wyobrażać sobie, że odegrał tu rolę jakiś podprogowy bodziec etniczny. Niemieckie samochody oczywiście nie wchodziły w grę. Opinia o włoskich (przynajmniej tych, na które moglibyśmy sobie pozwolić) była wtedy fatalna. Powszechnie uznawano, że Włosi potrafią wszystko zaprojektować, tylko nie umieją skonstruować. Renault skompromitował się aktywną współpracą z nazistami (wskutek czego firma została znacjonalizowana). Peugeot cieszył się uznaniem, ale w tamtych czasach lepiej był znany ze swoich rowerów; w każdym razie jego auta zbudowane były jak czołgi i brakowało im szpanu (ten sam argument wysuwano przeciw samochodom marki Volvo). No i być może przesądził wzgląd na to (choć niewypowiadany), że założyciel dynastii Citroëna, od którego firma wzięła swoją nazwę, był Żydem.

Nasze samochody bywały powodem cokolwiek krępujących sytuacji. W epoce wyrzeczeń i prowincjonalizmu przydały naszej rodzinie agresywnie egzotycznych i „obcych” cech, przez co zwłaszcza moja matka czuła się nieswojo. Oczywiście były (względnie) drogie, a przez to zbyt kosztowne. Pamiętam, jak kiedyś w połowie lat pięćdziesiątych jechaliśmy przez cały Londyn do moich dziadków ze strony mamy, którzy mieszkali w zapuszczonym szeregowcu przy bocznej uliczce w Bow. W tej części miasta samochody stanowiły jeszcze rzadkość i były to najczęściej małe czarne fordysy popularne i Morrisy minory, świadczące o ograniczonych środkach i tradycyjnym gustie właścicieli. A tu nasza rodzina gramoliła się ze lśniącego, białego Citroëna DS19, niczym arystokraci, co przybyli zwizytować swoich ubogich dzierżawców. Nie wiem, jak czuła się matka – nigdy jej nie zapytałem. Ojciec z przyjemnością obserwował, jak jego nowy samochód zwraca uwagę podszytą zazdrością. Ja miałem ochotę skryć się w najbliższym włązie kanalizacyjnym.

Około 1960 roku obsesja ojca na punkcie samochodów doprowadziła do tego, że przez kilka lat uprawiał amatorski sport samochodowy. Co niedziela przebijaliśmy się we dwóch na północ do Norfolk albo do East Midlands, gdzie podobni ojcu entuzjaści organizowali wyścigi samochodowe. On sam jeździł podrasowanym panhardem DB, ładnym autkiem, które wydawało uwodzicielskie dźwięki i całkiem dobrze wypadało w konkurencji z ówczesnymi modelami Triumph Spitfire i MGB. Różni przyjaciele rodziny dawali się namówić (zwabieni wynagrodzeniem? Nigdy się nie dowiedziałem), żeby pomagali jako „mechanicy”, mnie zaś wyznaczono niezwykle odpowiedzialne zadanie – regulowałem przed wyścigiem ciśnienie w oponach. Było to nawet zabawne, choć czasami robiło się nudno (dorośli mężczyźni

dyskutujący godzinami o gaźnikach), a podróż w obie strony zabierała do sześciu godzin.

O wiele zabawniejsze były wakacje na kontynencie, na które się w tym okresie wyprawialiśmy – czasem można było odnieść wrażenie, że głównie po to, żeby dać ojcu pretekst do długiej jazdy samochodem. W tamtych przedautostradowych latach podróż drogami Europy była przygodą. Wszystko zajmowało mnóstwo czasu, a coś się zawsze musiało zepsuć. Siedząc po „nie tej” stronie, mogłem obserwować wspaniałe francuskie *routes nationales* z pozycji kierowcy. I to mnie pierwszego zaczepiali zawsze policjanci, gdy zatrzymywano nas za przekroczenie prędkości albo też, jak owej pamiętnej późnej nocy, gdzieś pod Paryżem, podczas wojskowej obławy. Francja przeżywała wtedy kłopoty z OAS.

Podróżowaliśmy zwykle całą rodziną. Matce naprawdę było wszystko jedno, czy spędzi wakacje w Brighton, czy w Biarritz, a długa jazda samochodem nudziła ją i męczyła. Ale w tamtych czasach rodziny robiły wszystko razem, samochód zaś miało się między innymi po to, żeby „jeździć za miasto”. Dla mnie przynajmniej (i pod tym względem chyba przypominałem ojca) celem była sama jazda – miejsca, które odwiedzaliśmy, zwłaszcza podczas niedzielnych wypadów, nie odznaczały się zwykle niczym oryginalnym i nie były szczególnie interesujące. Nawet po drugiej stronie Kanału głównym elementem naszych letnich i zimowych wakacji były przygody związane z samą podróżą: łapanie gum, oblodzone szosy, niebezpieczne wyprzedzanie na wąskich, krętych wiejskich drogach, dziwaczne hoteliki, do których zajeżdżało się późną nocą, po długich, zażartych rodzinnych kłótniach o to, gdzie i kiedy się zatrzymać. To w samochodzie ojciec czuł się najbardziej u siebie, a matka – najmniej. Wziąwszy pod uwagę, ile czasu spędzaliśmy



wtedy w drodze, jest rzeczą niezwykłą, że ich małżeństwo tak długo przetrwało.

Kiedy patrzę wstecz, mam chyba więcej wyrozumiałości dla pasji ojca niż wtedy, choć nasze rodzinne podróże sprawiały mi przyjemność. Widzę w nim dziś człowieka sfrustrowanego, w pułapce nieszczęśliwego małżeństwa, znudzonego swoją pracą, przez którą czuł się chyba nawet upokorzony. Samochody – którymi się ścigał, o których dyskutował, dłużył przy nich, które wiozły go do ojczystej Europy – były jego towarzystwem. Nie pociągały go puby ani pijaństwa, kolegów z pracy nie miał, Citroën stał się więc dla niego uniwersalnym towarzyszem i wizytówką. Szczytowym osiągnięciem był wybór ojca na stanowisko prezesa brytyjskiego Klubu Citroëna. To, czego inni mężczyźni szukali – i co znajdowali – w alkoholu i kochankach, mój ojciec sublimował w romansie z firmą motoryzacyjną, co niewątpliwie tłumaczy instynktowną wrogość mojej matki do tego wszystkiego.

W wieku siedemnastu lat nauczyłem się, jak należało, prowadzić samochód i we właściwym czasie nabyłem pierwsze z wielu aut – oczywiście Citroëna, małego, taniego 2CV. Choć lubiłem prowadzić, a w końcu miałem wozić rozmaite dziewczyny i żony po wielu krajach Europy i po Stanach, jazda samochodem nigdy nie znaczyła dla mnie tego co dla ojca. Nie przemawiał do mnie urok zimnych prowincjonalnych warsztatów, sam zaś nie miałem odpowiednich zdolności technicznych, porzuciłem więc wkrótce Citroëna dla mniej zawodnych, choć nie tak egzotycznych marek – Hond, Peugeotów, a w końcu dla Saaba. Co prawda też ulegałem napędzanym testosteronem zachciankom: z okazji pierwszego rozvodu sprawiłem sobie czerwony kabriolet MG, mam również miłe wspomnienia z przejażdżki otwartym Fordem

mustangiem nadmorską Drogą nr 1 w Kalifornii. Ale zawsze były to tylko samochody, a nie żadna „kultura”.

I to wydaje mi się typową reakcją pokoleniową. My, dzieci powojennego wyżu, dorastaliśmy z samochodami i przy ojcach, dla których były obiektem uwielbienia i pasji. Drogi, które nam się dostały, były bardziej zatłoczone, mniej „otwarte” niż przed wojną i tuż po niej. Jazda nimi raczej nie miała posmaku przygody, niewiele też było do odkrycia, chyba że ktoś zapędził się daleko od tradycyjnych celów podróży. Nasze miasta robiły się coraz bardziej wrogie wobec aut, jeszcze kilka lat wcześniej przyjmowanych z krótkowzroczną życzliwością. W Nowym Jorku i Paryżu, tak jak w Londynie i wielu innych miastach, posiadanie prywatnego samochodu raczej nie ma sensu. U szczytu swej hegemonii samochód symbolizował indywidualizm, wolność, prywatność, oddzielenie się i egoizm w formach najbardziej dysfunkcyjnych ze społecznego punktu widzenia. Jak wiele dysfunkcji, był jednak podstępnie uwodzicielski. Dziś, niczym Ozymandias, każe nam spojrzeć na swoje dzieła i pograć się w rozpacz. Ale w swoim czasie sprawiał sporo frajdy.

### **Putney**

Powiadają, że dom jest tam, gdzie nasze serce. Nie byłbym tego taki pewien. Miałem w życiu wiele domów, ale nie sądzę, żeby moje serce mocno się związało z którymkolwiek z nich. Istotne jest oczywiście to, że dom znajduje się wszędzie tam, gdzie sami postanowiliśmy nasze serce umieścić – w takim razie przypuszczam, że zawsze byłem bezdomny: serce zostałem kilkadziesiąt lat temu gdzieś w Szwajcarii na górskim zboczu, ale tak się głupio złożyło, że reszta mojej osoby z nim nie została. Wśród moich wykorzenionych korzeni jest wszakże jeden, który sięga nieco głębiej i może nawet stanowić swojego rodzaju zakotwiczenie. W latach 1952–1958 moja rodzina mieszkała w dzielnicy Putney, w południowo-zachodniej części Londynu. Wspominam to miejsce z sentymentem.

Wtedy o tym nie wiedziałem, ale Putney było dobrym adresem na czas dorastania. Prawie sto metrów na północ od naszego domu znajdował się kościół św. Marii Dziewicy, przysadzista, wiekowa budowla parafialna, znana z debat, które odbywały się tutaj w październiku 1647 roku, w najgorętszym okresie angielskiej wojny domowej. To tutaj właśnie pułkownik Thomas Rainsborough sformułował słynne

ostrzeżenie – ponieważ „najuboższy spośród mieszkańców Anglii musi jakoś przeżyć swe życie, tak jak i najznaczniejszy [...], każdy więc, kto ma żyć pod panowaniem jakiegoś rządu, musi najpierw z własnej woli poddać się jego władzy”. Dokładnie trzy wieki później laburzystowski rząd Clementa Attlee dał początek państwu opiekuńczemu, mającemu zagwarantować najuboższemu (i najuboższej) życie godne przeżycia oraz władzę, która im służyła. Attlee urodził się w Putney, a umarł zaledwie kilka kilometrów stąd. Pomimo długiej i udanej kariery politycznej zachował skromność zarówno w zachowaniu, jak i w majątku – w odróżnieniu od swoich zachłannych następców, kantujących na honorariach. Był wzorowym przedstawicielem wielkiej epoki reformatorów wywodzących się z edwardiańskiej klasy średniej, traktującym poważnie zasady moralne i nieco ascetycznym.

Sama dzielnica Putney miała w sobie coś ascetycznego. Jest to bardzo stara parafia, wymieniona w Domesday Book\* wraz z promem, który w tym miejscu przemierzał Tamizę (pierwszy most zbudowano w 1642 roku), a względnego znaczenia przydały tej miejscowości zarówno płynąca nieopodal rzeka, jak i stara droga do Portsmouth, która stała się później ruchliwą High Street. To sąsiedztwo rzeki i drogi tłumaczy, dlaczego właśnie przez Putney przeprowadzono jedną z pierwszych linii metra, biegnącą z północy na południe, z Earl's Court do Wimbledonu, a także linię kolejową London and Southwestern Railway (później Southern Railway), łączącą Windsor z Waterloo. Dworzec umieszczono w strategicznym punkcie na północnym końcu High Street. Kursowało tędy

---

\* Domesday Book: ogólnokrajowa księga katastralna sporządzona w Anglii w 1086 roku z polecenia Wilhelma I Zdobywcy (przypisy oznaczone gwiazdką pochodzą od tłumaczki).

również bardzo wiele autobusów: 14, 30 i 74 z Putney lub okolic do północno-wschodniego Londynu, 22 i 96, które wyruszały z Putney Common i przemierzały City, kończąc trasę odpowiednio w Homerton i Redbridge Station daleko w Essex (była to w owym czasie najdłuższa linia autobusowa w Londynie), oraz 85 i 93, które od stacji metra Putney Bridge zmierzały na południe, jeden do Kingston, a drugi do Morden. Był też oczywiście autobus Zielonej Linii nr 718, przejeżdżający przez Putney w swej długiej drodze z Windsoru do Harlow.

Ponieważ wszystkie osiem linii autobusowych i autokarów, dwie trolejbusowe (te elektryczne pojazdy, pobierające energię z zawieszonych nad ulicą przewodów, nierozumną decyzją wycofano z ulic w 1959 roku), linia metra i kolejka podmiejska zbiegały się na High Street albo w pobliżu niej, była to w owych czasach arteria komunikacyjna o nadzwyczaj dużym natężeniu ruchu. Mogłem to ocenić z dogodnego miejsca – nasze mieszkanie przy Putney High Street 92 zapewniało mi dobry, choć hałaśliwy punkt obserwacyjny. Ponieważ do szkoły jeździłem autobusem nr 14 (moje przygody z Zieloną Linią zaczęły się dopiero po przenosinach do porośniętego drzewami Kingston Hill), codziennie oglądałem z bliska wszystkie te autobusy i pociągi. Aut osobowych było wtedy mniej, ale tylko względnie: ówczesny Londyn miał największe, poza Stanami Zjednoczonymi, zagęszczenie prywatnych samochodów, tak że korki stanowiły już część życia Putney.

Poza ruchliwą High Street rozciągało się jednak inne, spokojniejsze Putney – przedmieście z końca XIX wieku, zabudowane apartamentowcami, rzędami wiktoriańskich domów oraz edwardiańskimi willami z kamienia i cegły, na ogół dwurodzinnymi, ale często dość dużych rozmiarów. Całymi rzędami, ulica za ulicą, kwartał za kwartałem, ciągnęły się te budynki niepozabawione swoistego wdzięku, uderzająco

jednolite, jeśli chodzi o ozdoby i fasady. Putney, atrakcyjniejsze od niekończących się przedmieść południowo-wschodniego Londynu, zbudowanych w okresie międzywojennym, mniej ostentacyjnie zamożne, pełne zieleni, wysadzone drzewami aleje północno-zachodniej części miasta, było bez wątpienia dzielnicą klasy średniej. Znajdowały się tu co prawda enklawy wyższej warstwy klasy średniej, umiejscowione, jak nie trudno przewidzieć, na dawnym wrzosowisku i wiodących na nie zboczach, były też ulice robotnicze, jak nadrzeczna Lower Richmond Road, gdzie poeta Laurie Lee w początkach swej kariery, po przybyciu do Londynu z najgłębszego Gloucestershire, znalazł tanie mieszkanie i pierwszą pracę. Znaczna część Putney plasowała się jednak wygodnie i bezpiecznie pośrodku.

Nasze mieszkanie, trzy piętra nad zakładem fryzjerskim, w którym pracowali moi rodzice, było zimne i nieciekawe. Wy różniało się jednak tym, że od tyłu wychodziło na Jones Mews, jedną z ostatnich uliczek między stajnikami, gdzie mieszkańcy i rzemieślnicy trzymali swoje zwierzęta. W tamtych latach stajnie pełniły jeszcze swoją tradycyjną funkcję. Dwa z sześciu pomieszczeń przy uliczce odchodzącej od tylnego wejścia naszego domu były zajęte przez pracujące zwierzęta. Jedno z nich – zaniedbana, wychudła parodia konia – było niewolnikiem handlarza starzyzną, który co rano wywlekał je ze stajni, wypchał niedbale między dyszle i wyjeżdżał na miasto. Pod koniec dnia zdążył już nagromadzić na wozie całkiem pokaźny ładunek. Drugiemu koniowi powodziło się lepiej. Należał do niechlujnej, gadatliwej kwiaciarki, która miała stragan na błoniach. Pozostałe stajnie przerobiono na warsztaty miejscowych rzemieślników – elektryków, mechaników i różnych złotych rączek. Tak jak mleczarz, rzeźnik, kwiaciarka i handlarz starzyzną, byli to tutejsi, potomkowie tutejszych. Z perspektywy Jones Mews Putney pozostało wsią.

Nawet High Street była wciąż zakorzeniona w osobnej przeszłości. Znajdowały się tu, rzecz jasna, „sieciówki” – Woolworth, Marks & Spencer, The British Home Stores itp. Ich miejscowe filie były jednak niewielkie, znacznie mniej liczne od sklepów należących do tutejszych mieszkańców, sprzedających pasmanterię, papierosy, książki, artykuły spożywcze, buty, konfekcję damską, przybory toaletowe oraz mydło i powidło. Nawet sklepy sieciowe zachowały lokalny charakter: w niewielkim lokalu Sainsburys, z zaledwie jednym podwójnym oknem, podłogę wciąż posypywano trocinami. Klientów obsługiwały uprzejme, trochę wyniosłe ekspedientki w krochmalonych niebiesko-białych fartuchach, do nikogo niepodobne bardziej niż do dumnych sprzedawczyń na zdjęciu umieszczonym z tyłu na ścianie, ukazującym dzień otwarcia sklepiku kilkadziesiąt lat temu. W sklepie spożywczym z produktami „krajowymi i kolonialnymi” dalej na High Street pieczołowicie rozróżniano towary zamorskie i miejscowe: „jagnięcina z Nowej Zelandii”, „angielska wołowina” i tak dalej.

High Street była terytorium mojej matki. Ja robiłem zakupy na Lacy Road, która mogła się poszczycić sklepem z koncecją na sprzedaż alkoholi, dokąd wysyłano mnie po cydr i wino. Znajdowały się tam mały zakład krawiecki i dwa „sklepy ze słodyczami”. Jeden z nich był zwyczajny i nowoczesny, przynajmniej jak na standardy lat pięćdziesiątych. Sprzedawano tu owocowe gumy do żucia, czekolady, gumę Wrigley’s. O wiele ciekawszy był ten drugi – ciemniejszy, brudniejszy, bardziej wilgotny i pod innymi względami przygnębiający. Prowadziła go wyschnięta, złośliwa starucha (jak przypuszczam, właścicielka), która niechętnie odważała wydobyte z ustawionych rzędem szklanych słoików ćwierć funta landrynek lub lukrecji, zrzędząc na niecierpliwych i mało eleganckich klientów: „Takich niechlujnych chłopaków jak ty obsługuję od czasów

jubileuszu starej królowej, więc nie próbuj mnie nabierać!”. Mówiąc o starej królowej, miała oczywiście na myśli Wiktorię, której jubileusz świętowano w Putney w czerwcu 1887 roku...

Atmosfera bocznych uliczek miała w sobie coś wiktoriańskiego albo, ściślej rzecz biorąc, edwardiańskiego. Nietrudno było sobie wyobrazić, że nad solidnymi stopniami z kamienia, za ciężkimi portierami mieszkają stare panny w okularach, dorabiające do nędznych emerytur udzielaniem lekcji fortepianu – i wyobrażenia nie była tu potrzebna, ponieważ przynajmniej mnie uczyły gry na tym instrumencie dwie takie panie, żyjące w dystyngowanym ubóstwie, z czego nawet już wtedy zdawałem sobie sprawę. W szkole miałem kolegów, których rodziny zajmowały jedno lub dwa piętra okazałych willi nieopodal Dover House Road czy na Putney Hill. W trudny do określenia sposób imponowała mi solidność i trwałość, jakimi emanowały te budynki, nawet podzielone już w nowszych czasach na mieszkania.

Putney miało i swoje niedoróbki. Brzeg rzeki przypominał wiejskie okolice i w znacznej części był nieskażony cywilizacją – wystarczyło wyjść poza trochę zagospodarowany pas terenu koło mostu, gdzie zaczynały się doroczne wyścigi wiosłarzy z Oksfordu i Cambridge. Były tam hangary dla łodzi, łodzie mieszkalne, zdarzał się holownik, a porzucone skify gniły, zapadając się powoli w błoto: żywe świadectwo tego, co dawno temu działo się nad rzeką. Na Tamizie na wysokości Putney wciąż jeszcze występują pływy. Czasami wąski strumień leniwie przecina wielkie połacie błota, to znów niemal występuje z zaniedbanych i niedostatecznie zabezpieczonych brzegów, kiedy prom lub statek spacerowy w drodze z Westminster Bridge do Teddington czy nawet do Oksfordu przepływa pod mostem w wielkie zakole otaczające Craven Cottage (tereny klubu piłkarskiego Fulham) na przeciwległym brzegu. Rzeka



w Putney była zaniedbana, nieelegancka, a przy tym funkcjonalna. Wiele czasu spędziłem, siedząc nad nią i rozmyślając, choć nie pamiętam już o czym.

Wyprowadziliśmy się z Putney, kiedy miałem dziesięć lat. Krótkotrwały przypływ fortuny sprawił, że rodzice pociągnęli ku zielonym obrzeżom Surrey. Dom w Kingston Hill, gdzie mieszkaliśmy przez dziewięć lat, dopóki rodzicom nie skończyły się pieniądze, był większy od starego mieszkania. Miał ogród i bramę od frontu. Były tu także – co za radość! – dwie toalety, niesłychana ulga po tym, co przeżywałem pod numerem 92, gdzie jedyną ubikację dzieliły od mojej sypialni dwa lodowate piętra. W Kingston nie brakowało też wiejskich drózek, które mógł penetrować początkujący cyklista. Tak naprawdę jednak nigdy nie przestałem żałować Putney, jego sklepów, zapachów i skojarzeń. Zieleni nie było tam wiele, chyba że na obrzeżach, gdzie pastwiska i wrzosowiska pozostawiono tak, jak stworzyła je przyroda. Dzielnica miała absolutnie miejski charakter, choć była to miejskość nieformalna, hojna, tak typowa dla Londynu, który – przynajmniej do czasu katastrofalnego „planowania” miejskiej przestrzeni w latach sześćdziesiątych – zawsze rozrastał się wszcz, a nie w górę. Już nie czuję się tam jak w domu. Dzisiejsza High Street nie jest lepsza, niż być powinna, tak samo nie ma charakteru jak każda inna główna ulica w Anglii, z lokalami serwującymi fast foody i salonami telefonii komórkowej. Putney było jednak moim Londynem, a Londyn – choć tak naprawdę mieszkałem w nim tylko w dzieciństwie i opuściłem go na zawsze, kiedy w 1966 roku wyjechałem do Cambridge – był moim miastem. Już nim nie jest. Nostalgia bywa jednak bardzo zadowalającym drugim domem.

### **Autobus Zielonej Linii**

Pod koniec lat pięćdziesiątych dojeżdżałem przez kilka lat do szkoły autobusem Zielonej Linii. Zielona Linia, państwowa, jak wszystkie ówczesne londyńskie autobusy, należała do przedsiębiorstwa London Transport zarządzającego długimi trasami autobusowymi wiodącymi przez Londyn. Zaczynały się przeważnie w którymś z miasteczek odległych o 30–50 kilometrów od stolicy, a kończyły w równie odległym, po drugiej stronie miasta. Autobus 718, którym jeździłem, łączył Windsor na południowym zachodzie z Harlow na północnym wschodzie, położonym w pół drogi między Londynem a Cambridge.

Zielona Linia miała wiele niepowtarzalnych cech. Pojazdy były oczywiście zielone, i to nie tylko od zewnątrz, także całe wewnętrzne wykończenie było w tym kolorze. W odróżnieniu od ówczesnych autobusów londyńskich były jedno piętrowe i miały harmonijkowe elektryczne drzwi, które zamykały się z charakterystycznym świstem. Ta odmienność od otwartych z tyłu piętрусów z centralnego Londynu zapewniała jakąś przytulność i spokój. Jak na regularną linię autobusową miały długie trasy – podróż Zieloną Linią od jednej pętli do drugiej trwała przeważnie ponad trzy godziny – nie

zatrzymywały się więc na większości przystanków, a tylko w niektórych punktach przesiadkowych. Choć nie poruszały się szybciej od przeciętnych londyńskich autobusów, były uznane za linie „ekspresowe” i dlatego bilety mogły kosztować nieco więcej.

Kolor i nazwa linii nie były przypadkowe. Autobusy Zielonej Linii przypominały o dawno przyjętej zasadzie planowania miejskiej przestrzeni Londynu i stanowiły poniekąd jej ilustrację. Ich przystanki końcowe strategicznie rozlokowano w obrębie „zielonego pasa” (albo poza nim), który okolił Londyn w pierwszych dekadach XX wieku. Pas ten należał do pierwszych przedsięwzięć z dziedziny ochrony środowiska, miał też zapewnić przestrzeń służącą rekreacji i rozrywce. Brytyjska stolica była więc w owych czasach otoczona otwartą przestrzenią, na którą składały się różne parki, błonia, stare lasy, nieuprawiane pola oraz wrzosowiska. Wszystkie te tereny, stanowiące niegdyś własność królewską, publiczną lub parafialną, pozostawiono w nienaruszonym stanie, żeby zachować wiejski krajobraz południowo-wschodniej Anglii, wiecznie zagrożony przez niepohamowaną ekspansję Londynszcza.

Pomimo rozwijającej się w latach międzywojennych bezładnej zabudowy przy drogach prowadzących do stolicy i mimo realizacji w latach pięćdziesiątych jeszcze mniej powabnych publicznych i prywatnych projektów mieszkaniowych Wielki Londyn mieścił się w zasadzie w granicach „zielonego pasa”. Niekiedy pas ten miał zaledwie kilka mil szerokości, ale i to wystarczyło, żeby oddzielić miasto od terenów wiejskich oraz zachować tożsamość i specyfikę miasteczek i wsi po jego zewnętrznej stronie. Nazwa Zielonej Linii, jej trasy i odległości pokonywane przez autobusy były więc odzwierciedleniem zrealizowanych w znacznej mierze ambicji całego pokolenia urbanistów.

Ja o tym oczywiście nie wiedziałem, sądzę jednak, że instynktownie pojmowałem ukryte przesłanie autobusów i ludzi, którzy wytyczali ich trasy. To my – zdawały się mówić autobusy – jesteśmy duszą i wcieleniem określonej idei Londynu. Wyruszamy na przykład z Windsoru, Stevenage, Gravesend albo East Grinstead i kończymy podróż w Harlow, Guildford czy Watford, przemierzając po drodze Londyn od końca do końca (większość tras Zielonej Linii wiodła przez Victoria Station, Marble Arch albo oba te miejsca). Podczas gdy czerwone routemastery mkną tam i z powrotem przez śródmieście Londynu, a pasażerowie wskakują do nich i wyskakują, kiedy chcą, my z Zielonej Linii ujmujemy miasto w ramę, uznając jego zdumiewające rozmiary, ale swoimi wyjątkowymi trasami i przystankami końcowymi ustalamy granice, poza które nie powinno wychodzić.

Czasami sprawdzałem te granice, jeżdżąc od pętli do pętli dla samej przyjemności oglądania lasów, wzgórz i pól pojawiających się na obu skrajach mojej rodzinnej metropolii. „Załoga” Zielonej Linii – w każdym autobusie oprócz kierowcy był też konduktor – sprawiała wrażenie, że odnosi się wyjątkowo życzliwie do tej z pozoru bezcelowej dziecięcej zabawy. Nie zarabiali więcej niż kierowcy i konduktorzy czerwonych autobusów – nikt z pracowników London Passenger Transport Board nie mógł się wtedy poszczycić wysokimi dochodami. Kiedy zacząłem korzystać z ich usług, właśnie dopiero co skończyli zawzięty, długi strajk. Obsługa Zielonej Linii odznaczała się jednak szczególnym usposobieniem. Miała więcej czasu na rozmowy między sobą i z pasażerami. Ponieważ drzwi w autobusach się zamykały, w środku było ciszej niż w innych. Poza tym znaczna część trasy była tak atrakcyjna, jak przyjemne być potrafiły spokojne, zamożne,

położone wśród drzew przedmieścia powojennego Londynu, przez co sam autobus – choć siedzenia wyściełane miał tak samo jak wszystkie ówczesne londyńskie autobusy – wydawał się jakoś bardziej luksusowy i wygodniejszy. Odnosiłem też wrażenie, że kierowca i konduktor są bardziej dumni ze swojego pojazdu i zadowoleni z rozkładu jazdy niż załogi innych autobusów.

Konduktor, który zarabiał trochę mniej od wykwalifikowanego kierowcy, był przeważnie, ale nie zawsze, młodym mężczyzną (kobiet prawie się nie spotykało). Do jego zadań należało pilnowanie porządku i zbieranie opłat za przejazd, ale ponieważ na znacznej części trasy wiodącej przez wiejskie okolice pasażerowie byli stosunkowo nieliczni, a przystanki rzadko rozmieszczone, niewiele miał do roboty. W praktyce dotrzymywał towarzystwa kierowcy. Ten z kolei stanowił „część” autobusu (kabina nie była oddzielona od wnętrza), często więc pasażerowie jeżdżący na danej trasie dobrze go znali, czasem nawet z imienia. Kierowca na długich trasach autobusów Zielonej Linii nie mógł się uskarżać na samotność. Czy dawały o sobie znać podziały klasowe, to już inna kwestia. Zielona Linia miała droższe bilety, a pasażerów zabierała zarówno z przedmieść, jak i z miasta, wielu jej stałych klientów dzieliła więc zapewne różnica co najmniej jednej klasy od typowych ówczesnych użytkowników komunikacji zbiorowej. Podczas gdy większość ludzi dojeżdżających w latach pięćdziesiątych do pracy czerwonymi autobusami prawdopodobnie nie mogłaby korzystać z samochodów, nawet gdyby chciała, to Zielona Linia w późniejszych latach straciła sporą część klienteli, która przesiadła się do aut.

O ile więc kierowcy, konduktorzy i pasażerowie autobusów obsługujących centrum Londynu wywodzili się często z tych samych warstw społecznych, o tyle dojeżdżający Zieloną

Linia należeli raczej do klasy średniej. Z tej prawdopodobnie przyczyny w autobusie odtworzyły się pewne wzorce uprzedniego zachowania, wciąż rozpowszechnione w brytyjskim społeczeństwie. Dzięki temu również w autobusach było ciszej. Jednakże ewidentna duma, z którą załogi Zielonej Linii traktowały swoją pracę – kierowcy i konduktorzy spędzali w niej więcej czasu i mniej było prawdopodobne, że zostaną bezwzględnie przeniesieni do innych zajęć, zwłaszcza kierowcy, którzy musieli opanować długie i skomplikowane trasy – rekompensowała do pewnego stopnia tę społeczną hierarchię. Skutek był taki, że wszyscy w autobusie czuli się dobrze we własnej skórze albo takie wrażenie sprawiali. Pamiętam, że nawet jako jedenastoletni chłopiec miałem odczucie, iż autobus p a c h n i e jakoś uspokajająco, bardziej jak biblioteka czy stara księgarnia niż środek transportu. To skądinąd niedające się wyjaśnić skojarzenie wynikało prawdopodobnie z doświadczeń z nielicznymi miejscami, które przywodziły mi na myśl spokój, a nie hałas i zamęt.

Z autobusów Zielonej Linii korzystałem nieprzerwanie do połowy lat sześćdziesiątych. Wtedy już łapałem je przeważnie w nocy (ostatni wyjeżdżał z zajezdni około godziny dwudziestej drugiej), kiedy wracałem ze spotkań młodzieży syjonistycznej albo z randki. O tej porze autobusy zwykle podjeżdżały punktualnie (w odróżnieniu od czerwonych miały wywieszony rozkład jazdy). Jeśli ktoś za późno przyszedł na przystanek, nie miał już szansy się zabrać. W takim przypadku byłem skazany na długie czekanie na zimnym peronie na ostatni nocny pociąg, a następnie ponury i męczący spacer do domu od którejś z niedogodnie usytuowanych stacji Southern Railway. Kiedy złapało się autobus Zielonej Linii, miało się miłe poczucie komfortu i bezpieczeństwa, kontrastujące

z przenikliwym chłodem londyńskiej nocy, i perspektywę dojazdu do domu w spokoju i w cieple.

Dzisiejsze autobusy Zielonej Linii to tylko cień tych dawnych. Przejęła je Arriva, najgorsza z prywatnych firm, które zapewniają Brytyjczykom dojeżdżającym do pracy transport autobusem i pociągiem po wygórowanych cenach. Autobusy, z nielicznymi wyjątkami, omijają śródmieście Londynu. Ich trasy łączą nowe punkty odniesienia w brytyjskiej topografii: lotnisko Heathrow, Legoland itp. Kolor jest kwestią przypadku, nie ma już związku z ich funkcją. Charakterystyczną zieleń urozmaicają dziś pastelowe i inne odcienie, co mimowolnie przypomina, że ani autobusy, ani ich trasy nie służą żadnemu całościowemu, wspólnemu celowi. Konduktorów już dawno nie ma, a kierowcy są odizolowani od wnętrza pojazdu, lecz odpowiedzialni za sprzedaż biletów – jedyny ich kontakt z pasażerami ma czysto komercyjny charakter. Zniknęły linie przebiegające przez Londyn; te autobusy, które wjeżdżają do miasta, kończą trasę w jego połowie i wracają tam, skąd przyjechały, jakby po to, żeby przypomnieć pasażerowi, że są środkiem transportu przewożącym ludzi z punktu A do punktu B, bez żadnych aspiracji do wytyczania mapy, ujmowania w ramy, okalania czy w jakikolwiek inny sposób określania i wysławiania niezwyklej skali i różnorodności Londynu, nie mówiąc już o jego szybko zanikającym zielonym pasie ochronnym. Autobusy Zielonej Linii, podobnie jak wiele innych rzeczy w dzisiejszej Wielkiej Brytanii, niczym kruszący się, zarosnięty i zaniedbany kamień graniczny symbolizują po prostu przeszłość, której cele i wspólne doświadczenia zaginęły w skansenie Brytyjskiego Dziedzictwa.

### **Pragnienie mimetyczne**

Według teoretyka literatury René Girarda tak to już z nami jest, że pragniemy tych, którzy są kochani przez innych, a w końcu się w nich zakochujemy. Moje osobiste doświadczenie tego nie potwierdza – zdarzało mi się na próżno tęsknić do przedmiotów i kobiet całkowicie dla mnie niedostępnych, ale niebudzących szczególnego zainteresowania w kimkolwiek innym. W jednej wszakże z dziedzin mojego życia teoria pragnienia mimetycznego idealnie pasuje, w co trudno uwierzyć, do moich doświadczeń. Jeśli przez mimesis rozumieć wzajemność i symetrię, a nie mimikrę i spór, mogę ręczyć za wiarygodność koncepcji Girarda. Kocham pociągi, a one zawsze odwzajemniały moje uczucie.

Co to znaczy być kochanym przez pociąg? Miłość, jak mi się wydaje, to taki stan, w którym człowiek jest sobą, czerpiąc z tego najgłębsze zadowolenie. Jeśli brzmi to paradoksalnie, przypomnijmy sobie przestrożę Rilkego: miłość polega na tym, że zostawiamy ukochanej osobie przestrzeń, w której może być sobą, zapewniając zarazem bezpieczeństwo, by mogło rozkwiatać jej Ja. Jako dziecko zawsze czułem się w obecności



innych ludzi, zwłaszcza rodziny, zażenowany i nieco skrępowany. Samotność była szczęściem, ale z trudem osiągalnym. *Bycie* zawsze łączyło się ze stresem – gdziekolwiek się znajdowałem, było coś do zrobienia, kogoś należało zadowolić, wypełnić jakiś obowiązek, zdarzała się rola odegrana nie tak jak trzeba, coś było nie tak. Natomiast *zmiana stanu* przynosiła odprężenie. Najszczęśliwszy byłem wtedy, kiedy sam dokądś podążałem, a im dłużej to trwało, tym lepiej. Spacer sprawiał przyjemność, jazda rowerem – radość, fajnie było jechać autobusem. Ale pociąg zapewniał istny raj.

Nigdy nie chciało mi się tego wyjaśniać rodzicom czy przyjaciółom, musiałem więc wymyślać określone cele: miejsca, które miałem ochotę odwiedzić, ludzi, których chciałem zobaczyć, rzeczy, które należy zrobić. Kłamstwa i tyle. W owych czasach siedmioletnie dziecko mogło bezpiecznie jeździć środkami komunikacji publicznej, od najmłodszych lat wyprawiałem się więc na samotne wycieczki metrem po całym Londynie. Jeśli miałem jakiś cel, to było nim poznanie całej sieci metra, od końca do końca, i prawie go osiągnąłem. Co robiłem, dotarłszy do końcowej stacji, w Edgware, a może w Ongar? Wysiadałem, zwiedzałem całą stację, rozglądałem się, kupowałem w bufecie London Transport wyschniętą kanpkę oraz puszkę tizera... i wracałem następnym pociągiem.

Od najmłodszych lat fascynowały mnie technika, architektura i funkcjonowanie kolei – jeszcze dziś potrafię opisać charakterystyczne cechy poszczególnych linii londyńskiego metra i układ stacji – spadek po różnych prywatnych firmach z wczesnego okresu jego rozwoju. Nigdy jednak nie byłem „trainspotterem”. Nawet kiedy dorosłem do tego, by samotnie podróżować rozległą siecią południowego regionu British Railways, nie dołączałem do grup chłopaków w skafandrach, którzy zbierali się na końcu peronu i wytrwale spisywali

numery przejeżdżających lokomotyw. Wydawało mi się to najgłupszym ze statycznych zajęć – pociąg jest przecież po to, żeby nim jeździć.

Region południowy oferował wtedy samotnemu podróżnemu wiele atrakcji. Wstawiałem rower do wagonu bagażowego na Norbiton Station na linii Waterloo, dojeżdżałem podmiejską kolejką elektryczną do wiejskich okolic Hampshire, wysiadałem na jakiejś stacyjce na zboczu wzgórz południowej Anglii i powoli pedałowalem na wschód aż do zachodniego krańca starego Londynu, gdzie biegła trasa do Brighton. Tam wskakiwałem do lokalnego pociągu do Clapham Junction, gdzie dopiero było w czym wybierać – miałem przed sobą aż dziewiętnaście peronów, wszak był to największy węzeł kolejowy świata. Zastanawiałem się, z którego z nich odjadę do domu. Cała wyprawa zajmowała długi letni dzień. Kiedy zmęczony i zadowolony docierałem do domu, rodzice uprzejmie pytali, gdzie byłem tyle czasu, a ja potulnie wymyślałem jakiś cel wart zachodu, żeby przeciąć dalsze dociekania. Wyprawy pociągiem były moją prywatną sprawą i chciałem, żeby tak pozostało.

W latach pięćdziesiątych podróz pociągiem wypadła tanio – nawet dla dwunastolatka. Swoje przyjemności opłacałem z tygodniowego kieszonkowego i jeszcze mi zostawały jakieś pensy na przekąski. Najdroższa wycieczka, na jaką sobie pozwoliłem, zawiodła mnie prawie do Dover, a konkretnie na stację Folkestone Central, skąd mogłem tęsknie spoglądać na drugą stronę Kanału, wypatrując słynnych *rapides* francuskich kolei państwowych. Przeważnie jednak oszczędzałem na bilet do Movietone News Theatre przy stacji Waterloo, tym największym w Londynie dworcu kolejowym, istnym rogu obfitości pełnym lokomotyw, rozkładów jazdy, kiosków z gazetami, komunikatów i zapachów. Później zdarzało mi się

od czasu do czasu spóźnić na ostatni pociąg do domu i wiele nocnych godzin spędziłem w poczekalniach Waterloo, po których hulały przeciągi. Słuchałem odgłosu przetaczania lokomotyw i załadowywania poczty, a filiżanka kakao z bufetu British Rail i romantyzm samotności podtrzymywały mnie na siłach. Bóg jeden wie, co w wyobrażeniu rodziców mogłem robić o drugiej w nocy na londyńskim bruku. Gdyby znali prawdę, niepokoiłoby się chyba jeszcze bardziej.

Byłem trochę za młody, żeby poznać emocje epoki pary. Koleje brytyjskie zbyt szybko zmieniły tabor na lokomotywy spalinowe (ale nie na elektryczne, co było strategicznym błędem, za który płacą do dziś) i choć za moich szkolnych lat wielkie ekspresy dalekobieżne wciąż przetaczały się przez Clapham Junction, ciągnięte przez wspaniałe parowozy ostatniej generacji, to większość pociągów, którymi jeździłem, zaliczała się do „nowoczesnych”. Jednakże dzięki chronicznemu niedoinwestowaniu upaństwowionych kolei brytyjskich znaczna część taboru pochodziła z lat międzywojennych, zdarzały się nawet zabytki sprzed 1914 roku. Wagony miały oddzielne, zamykane przedziały (jeden w czterowagonowym składzie był przeznaczony dla pań), toalet nie było, okno w przedziale podtrzymywał skórzany pas z dziurkami, w które wkładało się haczyk przymocowany do drzwi. Siedzenia, nawet w drugiej i trzeciej klasie, były obite tkaniną w coś na kształt szkockiej kraty. Materiał drażnił gołe uda chłopców ubranych w krótkie spodenki, ale w wilgotnym, przenikliwym chłdzie ówczesnych zim dawał miłe ciepło.

Na paradoks zakrawa oczywiście moje kojarzenie pociągów z samotnością. Jak mówią Francuzi, pociągi to *transport en commun*, od początku XIX wieku miały zapewnić zbiorowy transport dla tych, których nie było stać na własne pojazdy, a z biegiem lat także i tym lepiej sytuowanym, dla których

atrakcyjna mogła się okazać wspólna podróż odbywana za wyższą cenę w luksusowych warunkach. Koleje wytworzyły podział na klasy społeczne w nowoczesnej formie, nazywając i klasyfikując różne poziomy wygody, udogodnień i usług. Jak widać na dawnych ilustracjach, pociągi przez całe dziesięciolecie były niewygodne i przepełnione, co nie dotyczyło tylko szczęśliwców podróżujących pierwszą klasą. Za moich czasów druga klasa zapewniała jednak całkiem przyzwoite warunki szacownym przeciętnym pasażerom, a w Anglii tacy trzymają się razem. W tamtych szczęśliwych dniach, kiedy nie znano jeszcze telefonów komórkowych, a tranzystora nie wypadało włączać w miejscu publicznym (konduktor zaś cieszył się takim autorytetem, że bez trudu poskramiał buntownicze duchy), pociąg był miejscem przyjemnym i cichym.

Później, kiedy brytyjskie koleje podupadły, podróż pociągiem na trasach krajowych straciła sporo uroku. Przyczyniła się do tego prywatyzacja firm, komercyjne wykorzystanie dworców i zanik zaangażowania personelu. Podróżowanie pociągiem po Stanach Zjednoczonych też raczej nie sprzyjało wskrzeszaniu dobrych wspomnień czy przeżywanego niegdyś entuzjazmu. Tymczasem państwowe koleje Europy kontynentalnej wkroczyły w szczęśliwą epokę inwestycji i modernizacji, zachowując przy tym w znacznej mierze specyficzne cechy dawnych sieci i systemów.

Podróż po Szwajcarii pozwala zrozumieć, w jaki sposób można, ku pożytkowi społeczeństwa, gładko połączyć skuteczność z tradycją. Paryski Gare de l'Est czy dworzec Milano Centrale, w nie mniejszym stopniu niż Hauptbahnhof w Zurychu czy Keleti Pályaudvar w Budapeszcie, są pomnikami dziewiętnastowiecznej urbanistyki i przykładami funkcjonalnej architektury. Wyobraźmy sobie dla porównania, jak się przedstawiają dalsze perspektywy niesławnej nowojorskiej

Pennsylvania Station czy każdego bez wyjątku nowoczesnego lotniska. Dworce kolejowe w ich najlepszym wydaniu – od St. Pancras do godnego uwagi nowego dworca centralnego w Berlinie – są ucieleśnieniem współczesnego życia i dlatego tak długo stoją i świetnie pełnią funkcje, do których zostały zaprojektowane. Kiedy sięgnę pamięcią wstecz, mogę stwierdzić – *toutes proportions gardées* – że dworzec Waterloo był dla mnie tym, czym dla tak wielu poetów i artystów okazały się wiejskie kościołki i barokowe katedry: dostarczał mi natchnienia. Właściwie dlaczego nie? Czyż wspaniałe wiktoriańskie dworce ze szkła i stali nie były katedrami swojej epoki?

Od dawna zamierzałem napisać o pociągach. Sądzę, że w jakiś sposób już to zrobiłem, przynajmniej częściowo. Jeżeli coś wyróżnia moją wersję współczesnej historii Europy przedstawioną w *Powojniu*, to jest to, jak sądzą, podświadome zwrócenie uwagi na przestrzeń – wycucie podziału na regiony, odległości, różnic i kontrastów w ograniczonych ramach jednego niewielkiego subkontynentu. Myślę, że do takiej wizji przestrzeni doszedłem dzięki gapieniu się bez celu z okien pociągów i dość dokładnej analizie kontrastujących widoków i dźwięków na stacjach, gdzie wysiadałem. Moją Europę wymierza czas pociągów. Najłatwiej mi „przemysleć” Austrię lub Belgię, wałęsając się po Westbahnhof lub Gare du Midi i zastanawiając nad tym, czego doświadczam, a już zwłaszcza nad odległościami dzielącymi te miejsca. Nie jest to z pewnością jedyny sposób zmierzenia się ze społeczeństwem i kulturą, ale jak dla mnie się sprawdza.

Najbardziej chyba przygnębiającym skutkiem mojego schorzenia – bardziej nawet przytłaczającym niż jego konkretne, codzienne objawy – jest świadomość, że już nigdy nie pojedę pociągiem. Cięży mi ona jak wieko z ołowiu, wtlaczając mnie coraz głębiej w ponurą świadomość końca, jaka

towarzyszy naprawdę śmiertelnej chorobie: zdają sobie sprawę, że niektórych rzeczy nigdy już nie będzie. To coś więcej niż utrata przyjemności, odebranie wolności, a szczególnie nowych doświadczeń. Jak się wyraził Rilke, jest to utrata siebie – a przynajmniej tej lepszej części siebie, która najłatwiej odnajdywała spokój i zadowolenie. Nie będzie już Waterloo, wiejskich stacyjek, nie będzie samotności. Nie będzie stawania się, tylko niekończące się trwanie.

### **Lord Warden**

Dziś wszyscy jesteśmy Europejczykami. Anglicy podróżują po kontynencie europejskim, a Zjednoczone Królestwo stało się główną turystyczną atrakcją, jak również miejscem, które niczym magnes przyciąga poszukujących pracy ludzi z całej Europy – od Polski po Portugalię. Dzisiejsi podróżni nie zastanawiają się długo przed wejściem do samolotu czy pociągu, a po chwili wysiadają w Brukseli, Budapeszcie czy Barcelonie. Faktem jest, że co trzeci Europejczyk nigdy nie opuszcza rodzinnego kraju, ale cała reszta nadrabia to z niefrasobliwą łatwością. Znikły nawet (wewnętrzne) granice, dopiero po jakimś czasie człowiek zdaje sobie sprawę, że znalazł się w innym kraju.

Nie zawsze tak było. Za czasów mojego londyńskiego dzieciństwa „Europa” stanowiła punkt docelowy egzotycznych wakacji za granicą. „Kontynent” był obcym miejscem – o wiele więcej wiedziałem o Nowej Zelandii czy Indiach, których imperialną geografę wykładano w każdej szkole podstawowej. Większość ludzi nigdy nie wyjeżdżała za granicę. Urlopy spędzało się w smaganych wiatrem kurortach na angielskim wybrzeżu albo na wesołych krajowych obozach wakacyjnych.

Moja rodzina odznaczała się jednak tą osobliwością (uboczny efekt dzieciństwa ojca, spędzonego w Belgii), że dość często przekraczaliśmy kanał La Manche, z pewnością częściej niż większość ludzi o podobnych dochodach.

Celebryci latali do Paryża, zwykli śmiertelnicy przeprawiali się przez morze. Z Southampton, Portsmouth, Newhaven, Folkestone, Harwich i portów na północy odpływały promy, ale klasyczna trasa – i zdecydowanie najbardziej uczęszczana – wiodła przez wąską część Kanału z Dover do Calais lub Boulogne. Aż do lat sześćdziesiątych monopol na te przeprawy miały brytyjskie i francuskie koleje państwowe. Koleje francuskie (SNCF) nadal korzystały z przedwojennego parowca ss Dinard, na którego pokład auta ładowano pojedynczo, za pomocą dźwigu. Zabierało to mnóstwo czasu, chociaż z tej usługi korzystało wówczas bardzo niewiele samochodów. Nasza rodzina starała się więc zawsze skoordynować terminy urlopów z rozkładem Lorda Wardena – flagowego promu British Railways.

W odróżnieniu od niewielkiego Dinarda, który niepokojąco podskakiwał i kołysał się na niespokojnym morzu, Lord Warden był jednostką znacznych rozmiarów – mógł zabrać na pokład tysiąc pasażerów i sto dwadzieścia samochodów. Nosił imię Lorda Strażnika Pięciu Portów – pięciu nadbrzeżnych osiedli, które w 1155 roku otrzymały specjalne swobody za zasługi dla angielskiej korony. Połączenie morskie między Dover a Calais (które to miasto od 1347 do 1558 roku pozostawało w rękach Anglików) pochodziło z tych samych czasów, statek więc ochrzczono jak należy.

Lord Warden, który rozpoczął służbę w 1951 roku, a na emeryturę przeszedł dopiero w 1979 roku, zachował się w mojej pamięci jako przestronna, nowoczesna jednostka. Poczynając od ogromnego luku na samochody po jasną, obszerną



jadalnię i salony o ścianach obitych skórą, wszystko na nim było zapowiedzią przygody i luksusu. Popędzałem rodziców na śniadanie, zajmowałem stolik przy oknie i pożerałem wzrokiem bardzo tradycyjne menu. W domu jadalismy niesłodzone płatki zbożowe, piliśmy soki bez cukru, pszenne tosty smarowaliśmy niedrogimi dżemami. Tu jednak była kraina wakacji, czas wyrwany zdrowemu trybowi życia, dopuszczano ustępstwa.

Po pięćdziesięciu latach nadal kojarzę podróż na kontynent z angielskim śniadaniem: jajkami, boczkami, kiełbaskami, pomidorami, fasolką, białym chlebem, gęstymi dżemami i kakao pod marką British Railways. Wszystko to rozłożone było na ciężkich, białych talerzach zdobionych nazwą statku i nazwiskami jego właścicieli, do stołu zaś podawali rubaszni kelnerzy, emerytowani marynarze floty handlowej z czasów wojny. Po śniadaniu wdrapywaliśmy się na rozległy pokład, gdzie panował przenikliwy chłód (Kanał wydawał się w tamtych czasach niemiłosiernie zimny), i niecierpliwie wpatrywaliśmy się w linię horyzontu. Czy to już przylądek Gris-Nez? Boulogne zdawała się jasna i słoneczna, tak odmienna od Dover spowitego w niską, szarą mgłę. Wysiadało się z mylnym wrażeniem pokonania ogromnej odległości – jakby przybyło się nie do zimnej Pikardii, ale na słoneczne południe.

Boulogne i Dover różniły się w sposób, który dzisiaj trudno wytłumaczyć. Języki pogłębiały tę różnicę – większość mieszkańców obu miast, pomimo tysiąca lat kontaktów i wymiany, była jednojęzyczna. Sklepy wyglądały bardzo odmiennie. Francja, przynajmniej jako całość, była wciąż znacznie uboższa od Anglii. U nas jednak obowiązywało racjonowanie, a u nich nie, tak więc nawet w najskromniejszych *épiceries* można było znaleźć produkty spożywcze i napoje nieznane i niedostępne

zazdrosnym angielskim przybyszom. Z dni wczesnego dzieciństwa pamiętam, że zauważyłem z a p a c h Francji: o ile nad Dover unosił się odór oleju do frytek zmieszanego z olejem napędowym, o tyle cała Boulogne cuchnęła rybami.

Nie trzeba się było przeprawiać przez Kanał z samochodem, choć fakt, że linię obsługiwał specjalnie w tym celu zbudowany prom samochodowy, zapowiadał przyszłe zmiany. Można było na Charing Cross wsiąść w pociąg do portu Dover, wejść pieszo na prom, a we Francji zejść po trapie prosto na zdewastowany stary dworzec, gdzie czekały już ciemnozielone, duszne *compartiments* kolei francuskich. Forsiaści lub bardziej romantyczni podróżni mieli do dyspozycji Złotą Strzałę, ekspres odjeżdżający codziennie (od 1929 roku) z Victoria Station do Gare du Nord, przewożony promem kolejowym. Pasażerowie, dla wygody, mogli podczas przeprawy pozostać na swoich miejscach.

Kiedy wypłynęło się poza wody przybrzeżne, ochmistrz ogłaszał przez megafony, że otwarto już „sklep” i można robić zakupy. „Sklep”, co należy podkreślić, był ciasną klitką na końcu głównego pokładu, oznaczoną małym oświetlonym sztyldem. Obsługiwała go jedna jedyna kasjerka. Stało się w kolejce, składało zamówienie i czekało na swój towar – niczym zażenowany ochlapus w jednym z nielicznych szwedzkich sklepów monopolowych. Chyba że ktoś zamówił więcej, niż dopuszczały limity w systemie wolnocłowym, wtedy był o tym informowany i radzono mu, żeby przemyślał swoje zakupy.

W drodze na kontynent sklep nie robił kokosów: Lord Warden niewiele miał do zaoferowania w porównaniu z tym, co można było nabyć taniej (i lepszej jakości) we Francji lub Belgii. Jednakże w drodze powrotnej do Dover handel przy małym okienku szedł na całego. Powracającym do kraju Anglikom wolno było wwieźć ściśle ograniczone ilości alkoholu

i papierosów, kupowali więc tylko tyle, ile mogli. Cło od nadyżki było zaporowe. Ponieważ sklep otwierano najwyżej na trzy kwadransy, nie mógł dużo zarobić – najwyraźniej stanowił jedno z udogodnień dla podróżnych, a nie dochodowe przedsięwzięcie.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych groźną konkurencją dla statków stały się poduszki, poruszające się na poduszce powietrznej i napędzane podwójnymi śmigłami. Firmy wykorzystujące ten środek transportu nie potrafiły się do końca zdecydować, czym właściwie są – słabość typowa dla lat sześćdziesiątych. Idąc z duchem czasu, reklamowały się jako skuteczne i nowoczesne, ale ich „hale odlotów” stanowiły tandetne imitacje lotnisk, z których tak naprawdę nikt nie odlatywał. Same pojazdy, w których trzeba było pozostawać na miejscu, gdy podskakiwały na falach, przyprawiając człowieka o klaustrofobię, gwarantowały wszystkie wady morskiej podróży bez jej zalet. Nikt ich nie lubił.

Dzisiaj przeprawę przez Kanał obsługują nowe statki, kilkakrotnie większe od Lorda Wardena. Przestrzeń zagospodarowano całkiem inaczej: główna sala jadalna jest stosunkowo niewielka i za mało wykorzystywana, wydaje się skromna w porównaniu z restauracjami samoobsługowymi w stylu McDonalda. Są salony gier automatycznych, pomieszczenia pierwszej klasy (płaci się przy wejściu), miejsca zabaw, znacznie ulepszone toalety... i sklep wolnocłowy, który zawstydziliby markety Safeway. Ma to sens: skoro funkcjonują tunele dla samochodów i pociągów, nie mówiąc już o nadszwyczaj konkurencyjnych tanich lotach, ludzie decydują się na podróż statkiem przede wszystkim ze względu na zakupy.

My staraliśmy się jak najszybciej zająć miejsce przy oknie w sali jadalnej, dzisiejszym pasażerom promu czas podróży

upływa (a pieniądze wypływają z kieszeni) na kupowaniu perfum, czekolady, wina, alkoholi i wyrobów tytoniowych. Dzięki zmianom taryf celnych po obu stronach Kanału zakupy w strefie wolnocłowej już się tak bardzo nie opłacają – są celem samym w sobie.

Dobra rada dla osób skłonnych do nostalgii: omijajcie te promy. Niedawno próbowałem oglądać z pokładu wejście do portu w Calais. Zostałem bezceremonialnie poinformowany, że wszystkie główne pokłady są obecnie zamknięte, a jeśli koniecznie chce zostać na zewnątrz, muszą dołączyć do innych podobnych mi ekscentryków zagonionych do otoczonego linami obszaru na dolnym pomoście na rufie. Nic stamtąd nie widać. Przesłanie było jasne: turyści nie powinni marnować czasu (i oszczędzać pieniędzy), włączając się po pokładach. Ta polityka – choć niepraktykowana na żałośnie anachronicznych statkach Brittany Ferries (firmy francuskiej) – jest powszechnie narzucana na krótkich trasach: to dla nich jedyna nadzieja na wypłacalność.

Dawno minęły dni, kiedy podróżujący Anglicy ze łzami w oczach wypatrywali z pokładu przybliżających się klifów Dover, gratulując sobie nawzajem wygrania wojny i stwierdzając, jak to dobrze wrócić do „prawdziwego angielskiego jedzenia”. Choć jednak Boulogne bardzo dziś przypomina Dover (a Dover, niestety, nadal przypomina samo siebie), przeprawa przez Kanał nadal wiele nam mówi o obu stronach.

Skuszeni oferowanymi na zachętę tanimi biletami powrotnymi Anglicy spieszą do Francji, żeby załadowywać bagażniki tanim winem, walizki – francuskimi serami i kupować kartony papierosów obłożonych niskim podatkiem. Większość podróżuje pociągiem, transportując siebie lub swoje samochody przez tunel pod Kanałem. Na francuskim brzegu

nie czekają już na nich srodzy celnicy, ale komitet powitalny wielkich *hypermarchés* zajmujących pozycje na szczytach wzgórz od Dunkierki do Dieppe.

Towary w tych marketach są dobierane pod brytyjski gust – oznaczenia mają po angielsku – a biznes na przeprawach przez Kanał przynosi krociowe zyski. Nikt już nie jest wpędzany w niejasne poczucie winy, prosząc ekspedientkę o kamiennej twarzy o maksymalny przydział whisky. Stosunkowo niewielu brytyjskich turystów pozostaje dłużej albo zapuszcza się dalej na południe. Gdyby chcieli, poleciliby zapewne za połowę ceny liniami Ryanair.

Czy tylko Anglicy wyróżniają się tym, że podróżują za granicę, by jawnie oddawać się ostentacyjnej konsumpcji tandety? Nie zobaczycie w Harwich holenderskich pań domu opróżniających półki w Tesco. Newhaven nie jest rajem dla zakupowiczów, a panie z Dieppe mu nie patronują. Przybywsze z kontynentu wysiadający w Dover nie tracą czasu, kierują się od razu do Londynu, będącego głównym celem ich podróży. Kiedyś jednak Europejczycy odwiedzający Wielką Brytanię zainteresowani byli zabytkami przeszłości, pomnikami historii, kulturą. Dziś także zlatują się na zimowe wyprzedaże we wszechobecnych centrach handlowych.

Większość obywateli Unii Europejskiej wie o niej tylko tyle, ile pozna podczas tych handlowych pielgrzymek. Ale bliskość może być złudna: czasami lepiej dzielić z sąsiadami wzajemnie wyrażane poczucie obcości. Po to potrzebna jest nam podróż: przenoszenie się w czasie i przestrzeni, podczas którego rejestrujemy symbole i oznaki zmiany – straż graniczną, obce języki, inne jedzenie. Nawet niestrawne angielskie śniadanie może wywołać wspomnienia o Francji, w nieprawdopodobny sposób aspirując do statusu mnemoniczej magdaleny. Tęsknię za Lordem Wardenem.



## **część druga**





## Joe

Nie znosiłem szkoły. Od 1959 do 1965 roku uczęszczałem do Emanuel School w Battersea. Była to placówka oświatowa z epoki wiktoriańskiej, usadowiona między torami kolejowymi odchodzącymi na południe od dworca Clapham Junction. Pociągi (wtedy jeszcze ciągnięte przez parowozy) zapewniały efekty dźwiękowe i wytchnienie dla oka, ale wszystko poza tym ziało nudą. Wnętrza starszych budynków były pomalowane na kremowo i zielono – jak dziewiętnastowieczne szpitale i więzienia, na których wzorowała się szkoła. Rozmieszczone tu i ówdzie powojenne przybudówki wykonane były z kiepskich materiałów i niedogrzone. Boiska, choć rozległe i zielone, wydawały mi się zimne i nieprzyjemne, z pewnością dlatego, że budziły skojarzenie z ponurym „muskularnym chrześcijaństwem”<sup>\*</sup>.

---

\* Muskularne chrześcijaństwo – nurt intelektualny i społeczny z epoki wiktoriańskiej, którego przedstawiciele (do najbardziej znanych należał Charles Kingsley) kładli nacisk na aktywność fizyczną i duchowe wartości sportu, zwłaszcza zespołowego, w połączeniu z dążeniem do chrześcijańskich ideałów w życiu osobistym i polityce.

Nauka w tej posępnej instytucji, do której udawałem się sześć razy w tygodniu (mecz rugby w sobotę rano był obowiązkowy) przez prawie siedem lat, nic moich rodziców nie kosztowała. Emanuel School była niezależną, samorządną szkołą ponadpodstawową dofinansowywaną przez władze lokalne, mógł do niej uczęszczać każdy chłopiec, który zdał państwowy egzamin dla jedenastoletków („11+”) i został przyjęty po rozmowie kwalifikacyjnej. Instytucje te, często o czcigodnych tradycjach (Emanuel School założono za panowania Elżbiety I), stały na równi z elitarnymi szkołami prywatnymi, a także najlepszymi z państwowych szkół ogólnokształcących, których program wiernie naśladowały.

Ponieważ jednak większość placówek tego typu nie pobierała czesnego, poza tym były to przeważnie szkoły dzienne, a więc edukowały lokalne talenty, dlatego uczniowie pochodzili z o wiele niższych szczebli drabiny społecznej niż ci z Winchester, Westminster czy Eton. Większość moich kolegów wywodziła się z niższej klasy średniej z południowego Londynu, było też trochę chłopców z rodzin robotniczych, którzy pomyślnie zdali egzamin „11+”, jak również garstka synów maklerów, bankierów itp., którzy woleli posłać dzieci do dziennej szkoły w śródmieściu niż do tradycyjnej, z internatem.

Kiedy w 1959 roku rozpocząłem naukę, w Emanuel School było jeszcze wielu nauczycieli pracujących tu od końca I wojny światowej. Należeli do nich dyrektor, wicedyrektor (którego głównym zadaniem było nadzorowanie cotygodniowej chłosty niegrzecznych małych chłopców, egzekwowanej przez uczniów klasy szóstej), nauczyciel niższych klas oraz mój pierwszy pan od angielskiego. Ten ostatni, który rozpoczął pracę w 1920 roku, ale stosował metody pedagogiczne z czasów Dickensa, przez większość lekcji zawzięcie wykręcał uszy

swoim dwunastoletnim podopiecznym. Nie potrafię sobie przypomnieć ani jednej jego wypowiedzi czy też lektury czytanej w ciągu tamtego roku, pamiętam tylko ból.

Lepsi byli młodszy nauczyciele. W ciągu lat spędzonych w szkole nauczono mnie całkiem dobrze angielskiej literatury i matematyki, wpojono dostateczny zasób wiedzy z historii, francuskiego i łaciny oraz zapoznano z dorobkiem dziewiętnastowiecznych nauk przyrodniczych (gdyby ktoś wprowadził nas wyłącznie we współczesne teorie z dziedziny biologii i fizyki, mogłoby mi tego brakować). Wychowanie fizyczne zaniedbywano, przynajmniej jak na amerykańskie standardy – mieliśmy tygodniowo jedną lekcję wuefu, a jej większość upływała na czekaniu na swoją kolejkę do skoku przez konia albo zapasów na macie. Trochę boksowałem (żeby zadowolić ojca, który dużo boksował i odnosił w tym sporcie sukcesy), byłem nie najgorszym biegaczem, a także – ku zaskoczeniu wszystkich – wykazywałem ponadprzeciętne umiejętności w grze w rugby. Żadna z tych dyscyplin nie zawładnęła jednak moją wyobraźnią ani nie podnosiła mnie na duchu.

Najmniejszy entuzjazm budziły we mnie absurdalne oddziały kadetów (Combined Cadet Force – CCF), w ramach których uczono małych chłopców podstaw musztry oraz strzelania z karabinu Lee Enfield (przestarzałego już w 1916 roku, kiedy rozdano go brytyjskim żołnierzom). Przez prawie pięć lat jeździłem co wtorek do szkoły ubrany w coś na kształt munduru z I wojny światowej, musząc znosić rozbawione spojrzenia współpasażerów i tłumione chichoty dziewcząt na ulicy. Przez cały dzień siedzieliśmy, pocąc się niemiłosiernie w tych mundurach, żeby pod koniec zajęć bezsensownie defilować wokół boiska do krykieta, dręczeni przez „sierżantów” (starszych chłopaków), przy wtórze ujadania „oficerów” (umundurowanych nauczycieli, entuzjastycznie przeżywających jeszcze

raz naszym kosztem czasu swojej służby w wojsku). Wszystko to skojarzyłoby mi się z *Przygodami dobrego wojaka Szwejka* Haszka, gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby mnie na tę książkę naprowadzić.

Posłano mnie do Emanuel, ponieważ dyrektorka mojej szkoły podstawowej zaniedbała przygotowanie mnie do egzaminu do St. Paul's, pierwszorzędnej szkoły „publicznej” z prawdziwego zdarzenia, do której dostali się moi najbardziej obiecujący rówieśnicy. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zwierzył się matce czy ojcu z tego, jak nieszczęśliwy byłem w szkole, tylko raz czy dwa wspomniałem o endemicznym antysemityzmie. W Londynie było wtedy bardzo niewiele mniejszości „etnicznych”, a Żydzi najbardziej spośród obcych rzucali się w oczy. W szkole było nas zaledwie dziesięciu czy coś koło tego na ponad tysiąc uczniów. Nikt się szczególnie nie krzywił na często niewybredne antyżydowskie obelgi i przezwiska.

Uciekłem dzięki King's College w Cambridge. Na egzaminach wstępnych wybrałem nie tylko historię, lecz także francuski i niemiecki. Moi przyszli wykładowcy uznali, że zdałem je lepiej, niż wymagano na maturze. Kiedy się o tym dowiedziałem, napisałem natychmiast do King's, pytając, czy mogę zostać zwolniony z egzaminów końcowych w szkole średniej. Odpowiedzieli, że tak. Tego samego dnia wkroczyłem do sekretariatu szkoły, by oznajmić, że już mnie tu nie ma. Niewiele pamiętam w życiu szczęśliwszych momentów, których nie żałowałem.

Może z wyjątkiem jednego. Na początku czwartej klasy, kiedy zdecydowałem się na kierunek humanistyczny, kazało mi wybrać jeden z dwóch języków – niemiecki albo grekę. Tak jak wszyscy inni uczyłem się od pierwszej klasy francuskiego i łaciny, uznano jednak, że w czternastym roku życia

jestem gotów podjąć „poważną” naukę języka. Niewiele myśląc, wybrałem niemiecki.

Niemieckiego uczył wówczas w naszej szkole Paul Craddock, przez trzy pokolenia uczniów zwany: „Joe”. Ten wychudły mizantrop miał za sobą jakieś nieokreślone przejścia wojenne – albo to my tak tłumaczyliśmy sobie jego nieprzewidywalne nastroje i pozorny brak poczucia humoru. Tak się składało, że Joe miał sardoniczne wyczucie absurdu i, jak się później przekonałem, był bardzo ludzki. Ale jego wygląd zewnętrzny – całe metr osiemdziesiąt, od za dużych półbutów do rozczochranych, przerzedzonych włosów – budził strach w nastoletnich chłopcach, co dla pedagoga było nieocenionym atutem.

W ciągu zaledwie dwóch lat intensywnej nauki niemieckiego osiągnąłem wysoki stopień umiejętności i pewności siebie. W metodach stosowanych przez Joego nie było żadnego sekretu. Codziennie poświęcaliśmy całe godziny na naukę gramatyki, słówek i stylu, zarówno w klasie, jak i w domu. Nie było dnia bez sprawdzianów z zapamiętanego materiału, rozumowania i rozumienia. Za błędy czekała bezlitosna kara: ktoś, kto uzyskał mniej niż osiemnaście na dwadzieścia punktów ze znajomości słówek, kwitowany był krótko: „Przygłup!”. Niedoskonałe zrozumienie skomplikowanego tekstu literackiego zasługiwało na epitet „ciemny jak lampa Toc-H!” (nawiązanie do czasów II wojny światowej, które coś jeszcze znaczyło dla nastolatków urodzonych około 1948 roku)\*.

Zaprezentowanie pracy domowej odbiegającej od ideału narażało delikwenta na głośną tyradę, którą Joe wygłaszał,

---

\* Toc-H – chrześcijański ruch społeczny, którego nazwa nawiązuje do Talbot House, klubu żołnierzy brytyjskich stacjonujących podczas I wojny światowej we Flandrii. Symbolem ruchu była lampka oliwna.

kręcąc głową w aureoli gniewnych, siwych włosów. Następnie trzeba było z pokorą pogodzić się z pozostaniem po lekcjach i odrabianiem ćwiczeń z gramatyki.

Baliśmy się Joego, a mimo to uwielbialiśmy go. Ilekroć wchodził do klasy i najpierw było widać kościste kończyny, a potem złowrogie oczy o przenikliwym spojrzeniu nad dygotającym korpusem, zapadała wyczekująca cisza. Nie było pochwał, nie było ciepłej, mętnej poufałości, nic nie łagodziło ciosu, który miał nastąpić. Joe zamasztył krokiem podchodził do stołu, ciskał książki, a sam rzucał się do tablicy (albo rzucał kredą w któregoś z nie dość uważnych uczniów) i dawał z siebie wszystko: pięćdziesiąt minut intensywnej, nieprzerwanej, skoncentrowanej lekcji języka. Na łacinie wciąż męczyliśmy się nad *Wojną galijską*, na francuskim pięć lat nam zajęło przygotowanie się do krajowych egzaminów będących odpowiednikiem małej matury oraz tłumaczenie urywków z Saint-Exupéry'ego lub podobnie przystępnego tekstu. W połowie drugiego roku kursu niemieckiego Joe sprawił, że bez trudu i z prawdziwą przyjemnością tłumaczyliśmy *Przemianę* Kafki.

Choć zaliczałem się w jego klasie do (stosunkowo) słabszych uczniów – moją uwagę pochłaniały wówczas sprawy syjonizmu – na egzaminie gimnazjalnym wypadłem z niemieckiego lepiej niż ze wszystkich innych przedmiotów z wyjątkiem jednego (i o wiele lepiej niż z francuskiego czy historii). Zająłem drugie miejsce. Joe, swoim zwyczajem, był rozczarowany. Nie widział powodu, żeby chłopiec, którego uczył niemieckiego, nie miał zająć pierwszego miejsca w kraju. Zarzuciłem niemiecki w czerwcu 1964 roku. Po czterdziestu pięciu latach nadal całkiem znośnie mówię, choć zdarza mi się zapominać słów, jeśli mam zbyt długą przerwę. Chciałbym móc powiedzieć to samo o innych językach, których się później uczyłem.

Dziś ktoś taki jak Joe nie mógłby funkcjonować. Miał szczęście, że nie musiał zarabiać na życie uczeniem we współczesnej szkole średniej – nawet jak na tamtą epokę był haniebnie niepoprawny politycznie. Świetnie rozumiejąc, że jedyną konkurencją dla jego monopolu na naszą uwagę może być zainteresowanie płcią przeciwną, brutalnie tłumił nasze kiełkujące popędy: „Jeśli chcecie dokazywać z dziewczynami, nie marnujcie mojego czasu! Możecie je mieć, kiedy zechcecie, ale tu macie jedyną szansę na nauczenie się języka, a jednego z drugim nie da się pogodzić. Jak zobaczę któregoś z dziewczyną, fora ze dwóra!”. W naszej klasie tylko jeden jedyny chłopiec rzeczywiście chodził z dziewczyną. Tak strasznie się bał, by Joe nie dowiedział się o jej istnieniu, że zakazał biedaczce pokazania się bliżej niż o dwie mile od szkoły.

Dziś prawie nikt nie uczy się niemieckiego. Panuje chyba powszechna zgoda, że młody umysł potrafi przyswoić sobie tylko jeden obcy język naraz, najlepiej najłatwiejszy. W amerykańskim szkolnictwie średnim, podobnie zresztą jak w fatalnie funkcjonujących brytyjskich szkołach państwowych, wmawia się uczniom, że są świetni – a przynajmniej spisują się najlepiej na miarę swoich możliwości. Nauczycieli zniechęca się do podkreślania różnic wśród podopiecznych – po prostu nie robi się tego co Joe, nie chwali dobrze wykonanej pracy i nie gani tych, którzy sobie gorzej radzą. Uczniowie rzadko mają okazję usłyszeć, że „plotą bzdury!” albo że są „ostatnią hołotą!”.

Niemile widziane jest budzenie w uczniach strachu, nie w cenie jest także satysfakcja ze zwykłego, upartego wysiłku wkładanego w naukę języka. Joe w czasie swojej długiej kariery nauczycielskiej nigdy nie podniósł ręki na ucznia. Jego klasa sąsiadowała z łaźnią, gdzie homoerotycznie zorientowany wicedyrektor zwykł wymierzać karę chłosty – Joe nigdy nie

ukrywał, że ma tę praktykę w pogardzie. Dzisiaj jednak żaden nauczyciel nie mógłby stosować tak jak on – z dobrym skutkiem – zastraszania i moralnego upokarzania („kompletnie do niczego się nie nadajesz!”), nawet gdyby był na tyle świadomy, że umiałby się tymi metodami skutecznie posłużyć.

To chyba znamienne, że przy tylu nieprzyjemnych wspomnieniach, jakie pozostały mi ze szkoły, jedyne jednoznacznie pozytywne dotyczy tych dwóch lat, podczas których bezlitośnie wpajano mi język niemiecki. Nie sądzę, żebym był masochistą. Jeżeli wspominam „Joego” Craddocka z taką sympatią i wdzięcznością, to nie dlatego, że napędzał mi stracha albo że przez niego do pierwszej w nocy ślęczałem na rozbiorem składniowym niemieckich zdań, żeby nie zasłużyć następnego dnia na epitet „kompletnego idioty”. Był najlepszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek miałem, a lekcje na dobrym poziomie to jedyna rzecz warta zapamiętania ze szkolnych lat.



## Kibuc

Lata sześćdziesiąte upłynęły mi nieco inaczej niż moim rówieśnikom. Podzielałem oczywiście entuzjazm dla Beatlesów, miękkich narkotyków, politycznej kontestacji i seksu (ten ostatni przeżywany był bardziej w wyobraźni niż w praktyce, ale i pod tym względem zaliczałem się, jak sądzę, do większości, niezależnie od retrospektywnej mitologii). Co się jednak dotyczy działalności politycznej, to w latach 1963–1969 odbiegałem od głównego nurtu, zaangażowałem się bowiem całym sobą w lewicowy odłam syjonizmu. Wakacje 1963, 1965 i 1967 roku spędziłem w Izraelu, pracując w kibucach, a przez znaczą część pozostałego czasu aktywnie propagowałem idee socjalistycznej odmiany syjonizmu jako wolontariusz jednej z jego młodzieżówek. Latem 1964 roku „przygotowywano” mnie do roli lidera na obozie szkoleniowym w południowo-zachodniej Francji, a od lutego do lipca 1966 roku pracowałem w pełnym wymiarze godzin w spółdzielni rolniczej Machanaim w Górnej Galilei.

Ta nader intensywna edukacja sentymentalna z początku bardzo dobrze się sprawdzała. Tak było przynajmniej latem 1967 roku, kiedy ze społecznej pracy w kibucu awansowałem

do służby pomocniczej w izraelskich siłach zbrojnych. Byłem idealnym rekrutem: wygadany, zaangażowany, nieznaną ideologicznych kompromisów. Jak uczestnicy tanecznego kręgu z *Księgi śmiechu i zapomnienia* Milana Kundery wraz z ludźmi czującymi podobnie brałem udział w radosnych zbiorowych imprezach, wykluczając myślących inaczej i radując się jednością ducha, celów i stroju, która dodawała nam otuchy. Idealizowałem odrębność Żydów, intuicyjnie chłonałem i odtwarzałem typowe dla syjonizmu przywiązywanie wagi do separowania się i odmienności etnicznej. Zaproszono mnie nawet – co zakrawało na absurd, jako że byłem nieopierzonym szesnastolatkiem – do wygłoszenia zasadniczej mowy na kongresie młodzieży syjonistycznej w Paryżu. Miałem potępić palenie jako „burżuazyjną dewiację”, zagrażającą zdrowym zajęciom na świeżym powietrzu, jakim powinni się oddawać młodzi Żydzi. Bardzo wątpię, czy nawet wtedy wierzyłem w to (w końcu sam paliłem), ale przemówienie wypadło bardzo dobrze.

Istotą socjalistycznego syjonizmu, wtedy jeszcze wiernego założycielskim dogmatom, była nadzieja związana z Żydowską Pracą: ideą, w myśl której młodych Żydów należało ratować przed jałową egzystencją w krajach, gdzie się asymilowali, a ratunek polegał na przewożeniu ich do osiedli w dalekiej, rolniczej Palestynie, gdzie mieli stworzyć (oraz, zgodnie z ideologią, odtworzyć) prawdziwe żydowskie chłopstwo, przez nikogo niewyzyskiwane ani niewyzyskujące innych. Socjalistyczny syjonizm, wywodzący się zarówno od socjalistycznych utopii z początku XIX wieku, jak i późniejszych rosyjskich mitów o egalitarnych wiejskich wspólnotach, dzielił się w znamienny sposób na skłócone ze sobą sekty. Jedni uważali, że wszyscy członkowie kibucu powinni się jednakowo ubierać, razem wychowywać dzieci, razem jadać,

używać takich samych (choć niebędących ich własnością) mebli, sprzętów domowych, a nawet czytać te same książki, a na obowiązkowych cotygodniowych zebraniach wspólnie decydować o wszystkich aspektach życia swojej zbiorowości. Łagodniejsze wersje doktryny dopuszczały pewne zróżnicowanie stylu życia, a nawet odrobinę własności prywatnej. No i były jeszcze rozmaite niuanse, nierzadko rezultat konfliktów personalnych lub rodzinnych przybierających postać fundamentalistycznych rozdzźwięków.

Wszyscy jednak uznawali ogólniejszy cel moralny: należy sprowadzić Żydów z powrotem na ich ziemię, ocalić przed degeneracją, jakiej, wykorzenieni, ulegają w diasporze. Dla piętnastoletniego neofity z Londynu pierwsze zetknięcie z kibucem było radosnym przeżyciem. Oto „muskularny judaizm” w najbardziej uwodzicielskim wydaniu: zdrowie, sprawność fizyczna, wydajność, wspólny cel, samowystarczalność, dumny separatyzm – nie mówiąc o uroku wychowanych w kibucu rówieśników, z pozoru wolnych od wszystkich kompleksów i zahamowań swoich europejskich kolegów (wolnych także od większości ich kulturowego bagażu – choć to wzbudziło mój niepokój dopiero później).

Nie posiadałem się z zachwyty. Osiem godzin żmudnej, niewymagającej intelektualnego wysiłku pracy na parnych plantacjach bananów nad brzegami Jeziora Galilejskiego, a po pracy – pieśni, wycieczki, długie dyskusje ideologiczne (starannie reżyserowane, żeby zmniejszyć ryzyko młodzieńczego buntu i zwiększyć atrakcyjność wspólnych celów), do tego zaś wszechobecny element seksu wolnego od poczucia winy. W tamtych czasach w kibucach i towarzyszącej im ideologii zachował się jeszcze ślad etosu niewinnej „wolnej miłości”, typowego dla radykalnych sekt z początków xx wieku.

W rzeczywistości była to społeczność zaściankowa i raczej konserwatywna. Sztywność ideologiczna maskowała ograniczone horyzonty wielu kibucników. Już w połowie lat sześćdziesiątych było wiadomo, że gospodarka Izraela przestała się opierać na drobnych gospodarstwach rolnych. Zapobiegliwość, z jaką lewicowy ruch kibucowy starał się unikać zatrudniania arabskich pracowników, służyła nie tyle upiększaniu własnego egalitarnego wizerunku, ile izolowaniu się od niewygodnych przejawów bliskowschodniej rzeczywistości. Jestem pewien, że wtedy sobie tego wszystkiego nie uświadamiałem, choć pamiętam, że zastanawiałem się, dlaczego podczas długich pobytów w kibucach nie spotkałem ani jednego Araba. A przecież mieszkalem tak blisko najgęściej zaludnionych arabskich osad w Izraelu.

Dość szybko jednak zrozumiałem, nawet jeśli nie przyznawałem tego otwarcie, jak bardzo ograniczony jest kibuc i jego mieszkańcy. Kolektywny samorząd czy egalitarny rozdział trwałych dóbr konsumpcyjnych nie wystarczają, by ludzie stali się bardziej subtelni czy bardziej tolerancyjni. Przeciwnie, sprzyjając samozadowoleniu i samolubstwu, umacniają one etniczny solipsyzm w najgorszym wydaniu.

Do tej pory pamiętam, jak mnie zaskoczyło, że mieszkańcy kibucu tak niewiele wiedzą o świecie zewnętrznym i tak mało się nim interesują – chyba że coś dotyczyło bezpośrednio ich samych albo ich kraju. Zajmowały ich głównie sprawy gospodarstwa, żona bliźniego oraz jego mienie (w obu wypadkach porównywane z własnymi). W dwóch kibucach, w których spędziłem dłuższy czas, wyzwolenie seksualne sprowadzało się w znacznej mierze do niewierności małżeńskiej i towarzyszących jej plotek i wymówek – pod tym względem te modelowe wspólnoty socjalistyczne znacznie bardziej przypominały średniowieczne wsie, a ci, którzy narazili się na zbiorową dezaprobatę, ponosili podobne konsekwencje.

Dzięki tym obserwacjom dość wcześnie doświadczyłem swojego dysonansu poznawczego dotyczącego moich złudzeń związanych z syjonizmem. Z jednej strony bardzo chciałem wierzyć w kibuc jako sposób życia i wcielenie „lepszego” judaizmu. Przy swojej skłonności do ulegania dogmatom bez trudu wmawiałem sobie przez całe lata, że ma on zalety wynikające z zasad. Z drugiej strony, czułem do kibucu niechęć. Nie mogłem się doczekać, kiedy pod koniec tygodnia będę mógł stamtąd uciec i autostopem albo autobusem dojechać do Hajfy (najbliższego większego miasta), gdzie spędzę szabas, objadając się kwaśną śmietaną i tęsknie spoglądając z nabrzeża na promy pasażerskie odpływające do Famagusty, Izmiru, Brindisi i innych kosmopolitycznych miejscowości. W Izraelu czułem się w owym czasie jak w więzieniu, a w kibucu – jak w przeludnionej celi.

Pozbyłem się wątpliwości dzięki dwóm całkiem odmiennym wydarzeniom. Moi koledzy z kibucu, na wieść, że zostałem przyjęty do Cambridge i mam zamiar tam studiować, zareagowali przerażeniem. Cała kultura aliji – „wznoszenia się” (ku Izraelowi) – zakładała zerwanie więzów z diasporą i poniesienie szans, jakie stwarzała. Ówczesni przywódcy syjonistycznego ruchu młodzieżowego świetnie wiedzieli, że jeśli nastolatkowi z Anglii czy Francji pozwoli się pozostać tam na studia, będzie prawdopodobnie całkiem stracony dla Izraela.

Tak więc zgodnie z oficjalnym stanowiskiem młodzież w wieku studenckim powinna zrezygnować ze studiów w Europie, poświęcić kilka lat na pracę w kibucu – przy zbiorze pomarańczy, prowadzeniu traktora, sortowaniu bananów – a następnie, jeśli warunki na to pozwolą, zgłosić kibucowej społeczności zamiar podjęcia nauki na wyższej uczelni. Kibuc zbiorowo wtedy zadecyduje o kierunku studiów (jeśli dopuści

taką możliwość), z uwzględnieniem przyszłej użyteczności dla kolektywu.

Krótko mówiąc, gdyby szczęście mi dopisało, zostałbym w Izraelu wysłany na studia w wieku około dwudziestu pięciu lat, zapewne na elektrotechnikę, a przy wyjątkowo fortunnym zrządzeniu losu i przyzwoleniu towarzyszy mógłbym się może wykształcić na nauczyciela historii w szkole podstawowej. Do piętnastolatka to jeszcze przemawiało, ale dwa lata później, kiedy ciężką pracą zapewniłem sobie miejsce w King's College, nie miałem zamiaru rezygnować z tej szansy, a tym bardziej poświęcać się pracy na roli. Całkowity brak zrozumienia kibucowej społeczności dla mojej decyzji i wyraźna pogarda, jaką dano mi odczuć, sprawiły tylko, że teoria i praktyka wspólnotowej demokracji stały mi się jeszcze bardziej obce.

Do rozstania z kibucem przyczyniły się również, rzecz jasna, moje przeżycia w wojsku na Wzgórzach Golan po wojnie sześciodniowej. Ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że większość Izraelczyków to nie żadni współcześni agraryści socjaliści, ale pełni uprzedzeń młodzi Żydzi z miast, różniący się od europejskich czy amerykańskich rówieśników męską butą i dostępem do broni. Ich stosunek do niedawno pokonanych Arabów zaszokował mnie (jakże się łudziłem podczas lat spędzanych w kibucu), a niefrasobliwość, z jaką przewidywali przyszłą okupację i zawłaszczenie arabskich ziem, przerażała nawet wtedy. Po powrocie do galilejskiego kibucu Hakuk, w którym wówczas mieszkałem, poczułem się obco. W ciągu kilku tygodni spakowałem się i wyjechałem do domu. Po dwóch latach, w 1969 roku, wróciłem do Izraela z moją ówczesną dziewczyną, żeby zobaczyć, co tam pozostało. W kibucu Machanaim natknąłem się na Uriego, z którym kiedyś pracowałem przy zbiorze pomarańczy. Nie raczył mi nawet skinąć na powitanie, a tym bardziej wypowiedzieć przyjętej

grzecznościowej formułki. Mijając nas, zatrzymał się tylko, żeby zapytać: *Ma ata osea kan?* (A ty co tu robisz?). No właśnie, co?

Nie uważam tamtych lat za zmarnowane. Pozostawiły mi wiele wspomnień, dostarczyły też lekcji bogatszych, niż te, które przypadłyby mi w udziale, gdybym w owej dekadzie podzielał zainteresowania i skłonności typowe dla mojego pokolenia. Do Cambridge przyjechałem, mając za sobą doświadczenie uczestnictwa w ruchu ideologicznym, z jakim większość moich rówieśników mogła zetknąć się tylko w teorii. Nie ominęła mnie także rola lidera. Wiedziałem, co to znaczy być „wyznawcą” – ale wiedziałem też, jaką cenę się płaci za tak dogłębne utożsamienie się i bezwarunkową wierność ruchowi. Jeszcze przed dwudziestką zdążyłem zostać, być i przestać być syjonistą, marksistą i osadnikiem w kolektywnej wspólnoty. Nie lada osiągnięcie jak na nastolatka z południowego Londynu.

W odróżnieniu od większości moich rówieśników z Cambridge byłem więc uodporniony na namiętności i uroki Nowej Lewicy, nie mówiąc o jej radykalnych odłamach – maoizmie, goszyzmie, *tiers-mondismie* itp. Z tych samych powodów nie przemawiały do mnie dogmaty antykapitalistycznej transformacji ze studentami w roli głównej, a co dopiero syrenie śpiewy feminomarksizmu czy w ogóle polityki seksualnej. Byłem i nadal jestem podejrzliwy wobec wszelkich form polityki tożsamości, zwłaszcza żydowskiej. Dzięki socjalistycznemu syjonizmowi stałem się, może nieco za wcześnie, uniwersalistycznym socjaldemokratą. Ten niezamierzony skutek przeraziłby moich izraelskich nauczycieli, gdyby śledzili moją karierę. Oczywiście nie czynili tego. Byłem stracony dla sprawy, a więc praktycznie „martwy”.

## **Pokojowa**

Wychowywałem się bez służących. Nic dziwnego, byliśmy małą rodziną z niższej klasy średniej gnieźdzącą się, jak inne, w małym mieszkaniu. Przed wojną rodziny takie mogły sobie zazwyczaj pozwolić na pokojówkę, a czasami i na kucharkę. Prawdziwej klasie średniej powodziło się, rzecz jasna, o wiele lepiej – przedstawiciel wolnego zawodu mógł zatrudniać w gospodarstwie domowym kilka osób służby. Jednakże w latach pięćdziesiątych, z powodu podatków i wyższych uposażeń pracowników domowych, stać już na to było nielicznych ludzi, będących naprawdę przy forsie. Moi rodzice mogli najwyżej zgodzić nianię, która zajmowała się mną za dnia – byłem wtedy mały, a matka pracowała. W późniejszych latach, kiedy fortuna bardziej nam sprzyjała, miejsce niani zajęły kolejne dziewczyny au pair. Poza tym od czasu do czasu przychodziła pani do sprzątanía, i to wszystko.

Byłem więc kompletnie nieprzygotowany na to, co zastałem w Cambridge. Hołdując długowiecznej tradycji, uniwersytety zarówno w Oksfordzie, jak i w Cambridge zatrudniały personel, którego zadanie sprowadzało się wyłącznie do dbania o młodych mężczyzn. W Oksfordzie osoby takie nazywano



„scouts”, w Cambridge – „bedders”. Różnica była umowna – choć nazwy wskazują na ciekawy niuans jeśli chodzi o formę sprawowanej opieki\* – ale funkcja identyczna. Jedne i drugie pokojowe rozpały ogień (ogrzewanie zapewniały wtedy kominki), sprzątały pokoje młodych dżentelmenów, słały im łóżka, zmieniały pościel, robiły dla nich drobne zakupy. Ogólnie rzecz biorąc, oddawały usługi, do których młodzi ludzie, jak zakładano, przywykli w rodzinnych domach.

Ten zakres obowiązków zawierał w sobie oczywiście i inne ukryte założenia. Uważano, że studenci obu uczelni niezdolni są do wykonywania tak podrzędnych zajęć. Nie tylko dlatego, że nigdy tego nie robili – aspiracje i zainteresowania plasowały ich powyżej tak przyziemnych spraw. Co więcej, i to może było najistotniejsze, do zadań pokojowej należała dbałość o właściwe prowadzenie się podopiecznego (w Oksfordzie wśród pokojowych zdarzali się mężczyźni, choć w latach sześćdziesiątych było ich już mniej. Ja miałem styczność wyłącznie z kobietami).

Rozpocząłem naukę w Cambridge w 1966 roku, kiedy instytucja pokojowej i jej obowiązki, choć jeszcze nie całkiem anachroniczne, znalazły się w pewnym konflikcie z szybko zmieniającą się obyczajowością. W King's College było już coraz więcej studentów, którzy dotąd nie mieli bezpośrednio do czynienia ze służbą domową. W całkiem niemałą konsternację wprawiał nas pierwszy kontakt z kobietą, która, przynajmniej z formalnego punktu widzenia, była do naszej „dyspozycji”.

Większość pokojowych stanowiły panie już niemłode, przeważnie z miejscowych rodzin z dawien dawna zatrudnianych przez uczelnię. Świetnie były więc obeznane z kulturą

---

\* „Scout” to w podstawowym znaczeniu „zwiadowca, wywiadowca”, „bedder” oznacza osobę ścielącą łóżka.

„służby” i tym subtelnym przenikaniem się władzy i pokory cechującym stosunki między panem a służącym. W połowie lat sześćdziesiątych na liście płac college’u figurowały jeszcze pokojowe, które pracowały tu od zawieszenia broni w 1918 roku. Wiedziały, czego się można spodziewać po młodych chłopakach. Znacznie starsze od naszych matek, bez trudu potrafiły zdobyć dla siebie właściwą dozę szacunku połączonego z przywiązaniem.

Ale były i młodsze pokojowe, później zatrudnione. Pocho-  
dzące z tej samej warstwy społecznej co ich starsze koleżanki,  
tak samo zakorzenione w wiejskiej społeczności Wschodniej  
Anglii, uważały nas – i słusznie – za niezaradnych, uprzywi-  
leżowanych outsiderów. Z naszego wszakże punktu widzenia  
były czymś egzotycznym: dziewczyny, często tylko o kilka lat  
od nas starsze, które zjawiają się wcześniej rano w naszych  
pokojach, żeby oddawać przysługi. „Przysługi” ograniczały  
się oczywiście do sprzątnięcia narobionego przez nas bałaga-  
nu. Kiedy pani (albo i panna) Mop krzątała się spokojnie po  
pokoju, prezentując młodzieńczej wyobraźni zaokrąglone  
kształty, o których dotknięciu nie mogło wszakże być mowy,  
my, rozparci niedbale w fotelach nad kawą i gazetą, robiliśmy  
wszystko, by upodobnić się do dżentelmenów, co nigdy nie  
skalali się pracą.

Pokojowa nie dała się zwieść, tak jak i my, choć obie strony  
miały interes w tym, by udawać, że jest inaczej. Zahamowania  
natury klasowej (nie mówiąc o groźbie utraty pracy) wystar-  
czyły, by kobietę powstrzymać. Student, nawet jeśli nie miał  
bezpośrednich doświadczeń z tego rodzaju relacją, nadzwyczaj  
szybko przyswajał sobie socjokulturową lekcję. Pod koniec  
pierwszego semestru traktowaliśmy już przydzieloną nam po-  
kojową tak, jakbyśmy przyszli na świat w majątku ziemskim.

Jeśli pojawiała się kwestia seksu, to raczej w związku z tym, że do obowiązków pokojowej należało, pośrednio, także wdrażanie studentom zasad moralnych obowiązujących na uczelni (co czyniła, meldując o wykroczeniach). W tamtych czasach w większości college'ów Oksfordu i Cambridge nocowanie dziewcząt w pokojach chłopców było surowo zabronione. Najpóźniej do dwudziestej trzeciej musiały opuścić teren college'u lub akademika. Władze traktowały dość dosłownie swoje obowiązki pełnione w zastępstwie rodziców. Pod tym względem, a także wieloma innymi, King's nieco się różnił od pozostałych college'ów. Formalne przepisy były co prawda te same, ale ich łamanie uchodziło do pewnego stopnia bezkarnie.

U większości z nas przemieszkowały więc od czasu do czasu dziewczyny (niekiedy jedna po drugiej, choć nie każdy miał takie szczęście). Bywały to studentki któregoś z trzech żeńskich college'ów, to znów nauczycielka stażystka albo pielęgniarka z miasta, nierzadko ktoś z naszej rodzinnej miejscowości. Dziekani i opiekuni naukowemu przyzymkali oko. Sami wyznawali poglądy typowe dla bohemy z klasy średniej, niektórzy też hołdowali jej stylowi życia. Uśmiechali się pobłażliwie, słysząc o naruszeniach regulaminu, który powinni byli egzekwować – świadomi byli, że uczelnia troskliwie kulturuje wyobrażenie o sobie jako o przybytku radykalnej kontestacji, a transgresyjna seksualność (choć jak dotąd raczej homoeroticzna) ma tu długie tradycje.

Oczywiście pokojowe zapatrywały się na to wszystko inaczej. Podobnie jak portierzy i personel administracyjny, piastowały swoje stanowiska dłużej niż ich pracodawcy. Wywodząc się z gospodarstw wiejskich albo z klasy robotniczej, miały znacznie bardziej konserwatywne poglądy na moralność niż intelektualiści i profesjonaliści z klasy średniej, nad

którymi sprawowały nieformalną pieczę i którym podlegały. Pokojowe z minionych dekad, popadłszy między niesfornych młodzianów i ich pobłażliwych przełożonych, mogły szukać oparcia w konwencjach moralnych oraz opinii publicznej.

Jednakże w latach sześćdziesiątych stare reguły przestały mieć zastosowanie, albo przynajmniej nie dawało się już ich narzucić. Zaczął więc powstawać nowy zbiór cichych porozumień, przypominający nieformalne zasady regulujące życie w państwach komunistycznych u schyłku ich istnienia: udajemy, że jesteśmy posłuszni, a wy udajecie, że nam wierzycie. Nie sądzę, żeby wielu z nas, nawet w 1968 roku, miało chęć zaprezentować pokojowej nie tylko dowody obecności młodej damy, ale i samą młodą damę. Z drugiej strony, nie wydawało się nam już konieczne nadgorliwe zacieranie śladów. Przypadkowy element kobiecej garderoby czy inne świadectwo wskazujące, że osoba płci żeńskiej dotrzymywała nam towarzystwa w nocy, raczej nie ściągają na nas oficjalnego potępienia. Zachowywaliśmy się tak, jak gdyby pokojowa zakładała, iż żyjemy jak mnisi w zakonie kontemplacyjnym, ona zaś – współwinna i lekko ubawiona – nie robiła nic, co mogłoby rozwiać nasze złudzenia.

Raz tylko narobiłem kłopotu swojej pokojowej, kiedy nocą – co nie było dla mnie typowe, a dlaczego się stało, nie pamiętam – wróciłem do pokoju urżnięty w sztok, osunąłem się na łóżko... i obudziłem się w kałuży wymiocin. Na drugi dzień rano moja pokojowa, starsza wiekiem weteranka imieniem Rose, bez słowa popatrzyła i zabrała się do pracy. Po dwóch godzinach byłem już czysty, ubrany, siedziałem w fotelu przy filiżance kawy i z zażenowaniem coś mamrotałem. Rose, nie dając niczego poznać po sobie, przywróciła moje łóżko i jego okolice do zwykłego idealnego stanu, gawędząc nonszalancko o swojej synowej, która ciężko pracuje

w supermarkecie. Ani ona w rozmowach ze mną, ani ja z nią nigdy nie nawiązaliśmy do tego incydentu. Nasze stosunki nie doznały żadnego uszczerbku.

Na Boże Narodzenie dałem chyba Rose nadzwyczaj dużą bombonierkę. Z całą pewnością nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Rose była uboga, niewykluczone, że wołała by gotówkę, ale w college'u napiwki w postaci pieniężnej były źle widziane, a poza tym nie znajdowałem się wcale w lepszej sytuacji materialnej niż moja pokojowa. Jeśli pominąć upodobania kulturalne, różnica między nami sprowadzała się do perspektyw na przyszłość, a nie aktualnej sytuacji. Oboje to rozumieliśmy, choć ona z pewnością pojmowała lepiej niż ja.

Dziesięć lat później byłem u władzy. Można rzec, że stałem się pracodawcą Rose. Jako członek zarządu King's College, a przez krótki czas zastępca dziekana, miałem od czasu do czasu udzielać studentom nagan za wyjątkowo niestosowne zachowanie. W ramach swoich obowiązków rozstrzygałem kiedyś pod koniec lat siedemdziesiątych konflikt między grupą studentów (płci obojga, jako że w 1972 roku w King's College wprowadzono koedukację), których widziano, jak wczesnym rankiem dokazywali nago na trawniku college'u, a pokojową, która poczuła się urażona taką nieobyczajnością. Studenci nie posiadali się ze zdumienia: nie mogli pojąć, jak ktokolwiek w tych postautorytarnych czasach może uznać ich zachowanie za niewłaściwe, a tym bardziej „nieprzyzwoite”. Przecież, jak wyjaśnił mi jeden z nich, „nie robili tego na drodze” – po facecie z pokolenia lat sześćdziesiątych mogli się spodziewać, że zrozumie nawiązanie do piosenki Paula McCartneya.

Pokojowa nie dała się jednak udobruchać. Do nagości była przyzwyczajona. Widowała całe pokolenia młodych rugbyistów, którzy podchmieleni brykali w samych majtkach,

zanim alkohol całkiem ich nie zamroczył. Ale ta sytuacja była inna. Po pierwsze, brały w tym udział dziewczęta, co ją wprowadziło z równowagi. Po drugie – nikt nie zadał sobie trudu, żeby cokolwiek udawać, zataić czy zakryć. A po trzecie – młodzi śmiali się z jej zakłopotania. Krótko mówiąc, złamali wszelkie zasady, a ona poczuła się upokorzona.

Studenci, jak się okazało, byli w większości absolwentami szkół państwowych – pierwsze pokolenie młodzieży z niższych warstw awansujące społecznie. To również wytrąciło pokojową z równowagi. Co innego zostać protekcjonalnie potraktowaną przez młodych dżentelmenów, którzy niegdyś tu studiowali – oni przeważnie na drugi dzień przeprosiliby, a do wyrazów ubolewania dodali jakiś prezent, czy nawet serdeczny uścisk na znak wyrzutów sumienia. Ci nowi studenci traktowali ją jednak jak równą sobie, co także uraziło jej uczucia. Pokojowa nie była osobą równą studentom, to absolutnie niemożliwe. Mogła jednak, odwołując się do tradycji, oczekiwać, że przynajmniej w czasie lat spędzanych na uczelni będą jej okazywali wyrozumiałość i szacunek. W przeciwnym razie jaki sens miałyby praca w charakterze nisko wynagradzanej służącej? Gdyby wzajemne relacje ograniczyć do zwykłego stosunku pracy, lepiej byłoby dla niej zatrudnić się w miejscowej fabryce konserw.

Niuanse tego konfliktu całkiem uszłyby mojej uwagi, gdyby okres moich studiów nie przypadł na koniec epoki, w której stosowano się jeszcze do zasady *noblesse oblige*. Próbowałem wytłumaczyć studentom, młodszym ode mnie zaledwie o dziesięć lat, dlaczego ta pani w średnim wieku poczuła się tak bardzo urażona. Do nich jednak docierało tylko to, że w epoce retorycznego egalitaryzmu usprawiedliwiam kontraktowe niewolnictwo. Z pewnością nie byli przeciwni wygodnej dla nich instytucji pokojowych. Uważali tylko, że

powinny być lepiej opłacane, jak gdyby mogło je to uodpornić na urazy wynikające z różnic klasowych i przykre konsekwencje utraty statusu – uwalniając chłopców i dziewczęta, którym ścieliły łóżka, od protekcjonalnych obowiązków okazywania grzeczności i taktu.

Studenci byli wiernym odbiciem współczesnych tendencji. Tak jak dzisiejsi ekonomiści – i bez względu na własne naiwnie wyrażane radykalne poglądy – uznawali, że wszystkie stosunki między ludźmi najlepiej zredukować do racjonalnych kalkulacji korzyści własnej. Czyż pokojowa nie powinna zarabiać dwa razy więcej i zgodzić się przemykać oko na zachowanie, które uważała za obraźliwe?

Kiedy się jednak nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że to pokojowa wykazała się subtelniejszym zrozumieniem podstawowych prawd o stosunkach międzyludzkich. Studenci, nie zdając sobie z tego sprawy, bezmyślnie naśladowali ograniczoną, zubożoną kapitalistyczną wizję: ideał pojedynczych jednostek produkcyjnych, maksymalizujących korzyść prywatną i obojętnych na konwencje czy względy społeczne. Pokojowa wiedziała o czymś innym. Może i była słabo wykształconą półanalfaberką, ale dzięki nieomylnemu instynktowi rozumiała, na czym polegają stosunki społeczne, niepisane zasady, które je podtrzymują, i przyjmowana *a priori* etyka interpersonalna, na której się opierają. Z pewnością nigdy nie czytała Adama Smitha, ale autor *Teorii uczuć moralnych* niewątpliwie by jej przyklasnął.

### **Paryż był wczoraj**

Co się stało z francuskimi intelektualistami? Kiedyś mieliśmy Camusa, „współczesnego dziedzica długiej linii moralistów, których dzieła stanowią być może najbardziej charakterystyczny składnik francuskiej literatury” (Sartre). Mieliśmy samego Sartre’a. Mieliśmy François Mauriac, Raymonda Arona, Maurice’a Merleau-Ponty i „*inénarrable* Mme de Beauvoir” (Aron). Po nich nastali Roland Barthes, Michel Foucault i bardziej kontrowersyjny Pierre Bourdieu. Wszyscy mogą rościć sobie prawo do miana wybitnych powieściopisarzy, filozofów czy po prostu ludzi pióra. Lecz także, i przede wszystkim, byli francuskimi intelektualistami.

Są co prawda i poza Francją ludzie bardzo godni uznania, jak na przykład Jürgen Habermas czy Amartya Sen. Kiedy jednak myślimy o Habermasie, przychodzi nam do głowy przede wszystkim jego prace socjologiczne. Amartya Sen jest czołowym produktem eksportowym Indii z ostatniego półwiecza, świat jednak zna go jako ekonomistę. Poza tym – na niższych już poziomach – mamy Slavoję Žižka, którego słowotok przywodzi na myśl niezamierzoną peryferyjną parodię oryginału z metropolii. Žižek, a może i Antonio Negri plasują



się w gronie intelektualistów najbardziej znanych z tego, że... są intelektualistami, tak jak Paris Hilton sławna jest z tego, że jest sławna.

Jednakże prawdziwych intelektualistów większość ludzi nadal wypatruje we Francji, a ściślej rzecz biorąc, w Paryżu. Alain Finkielkraut, Julia Kristeva, Pascal Bruckner, André Glucksmann, Régis Debray i Bernard-Henri Lévy – dziś najbardziej zaznaczający swoją obecność – zyskali sławę i nazwisko dzięki częstemu udziałowi w debatach na kontrowersyjne lub modne tematy. Łączy ich wszystkich ze sobą, a także ze zdecydowanie wybitniejszymi poprzednikami, umiejętność rozwodzenia się z dużą pewnością siebie nad zdumiewająco szerokim zakresem spraw publicznych i kulturalnych.

Dlaczego zyskuje to w Paryżu aż takie uznanie? Trudno wyobrazić sobie, żeby amerykański lub angielski reżyser nakręcił film w rodzaju *Mojej nocy u Maud* (1969) Érica Rohmera, gdzie Jean-Louis Trintignant zadreżca się przez prawie dwie godziny dylematem, czy przespać się z Françoise Fabian, czy nie, przywołując w trakcie tych rozmyślań wszystko – od Pascalskiego zakładu o istnienie Boga po dialektykę Leninowskiej rewolucji. Tak jak w wielu francuskich filmach owej epoki fabuła rozwija się nie dzięki akcji, lecz niezdecydowaniu. Włoski reżyser dodałby seks, niemiecki – politykę, ale francuskiemu wystarczyły idee.

Francuski intelektualizm ma niezaprzeczalny urok. W środkowych dekadach XX wieku każdy myśliciel z ambicjami, od Buenos Aires po Bukareszt, żył w wymagowanym Paryżu. Francuscy intelektualiści ubierali się na czarno, palili gitanes'y, mówili teorią i mówili po francusku, a myśmy ich naśladowali. Świetnie pamiętam, jak podczas spotkań z innymi angielskimi studentami na Lewym Brzegu przechodziliśmy

na francuski, świadomi, jakie to robi wrażenie. *Précieux*, owszem, ale *de rigueur*.

Samo słowo „intelektualista”, używane jako komplement, ubawiłoby z pewnością pisarza nacjonalistę Maurice’a Barrèsa, który pierwszy użył go w negatywnym sensie, żeby wydrwić Emila Zolę, Léona Bluma i innych obrońców „żydowskiego zdrajcy” Dreyfusa. Od tamtej pory intelektualiści „mieszają się” do drażliwych spraw publicznych, powołując się na szczególnie autorytet, jaki nadaje im dorobek akademicki lub artystyczny (dzisiaj sam Barrès zaliczony byłby do „intelektualistów”). Nieprzypadkowo prawie wszyscy z nich ukończyli tę samą niewielką, prestiżową uczelnię: *École Normale Supérieure*.

By zrozumieć sekret francuskiego życia intelektualnego, musimy zacząć właśnie od *École Normale*. Uczelnia, założona w 1794 roku, by przygotowywać nauczycieli liceów, stała się inkubatorem republikańskiej elity. W latach 1850–1970 do jej absolwentów zaliczał się dosłownie każdy wybitny francuski intelektualista (kobiety zaczęto przyjmować dopiero niedawno): od Pasteura do Sartre’a, od Émile’a Durkheima do Georges’a Pompidou, od Charlesa Péguy po Jacques’a Derridę (który nie raz, ale dwa razy ściał się na egzaminach wstępnych), od Léona Bluma po Henriego Bergsona, Romaina Rollanda, Marca Blocha, Louisa Althussera, Régisa Debraya, Michela Foucaulta, Bernarda-Henri Lévy’ego i wszystkich ośmiu francuskich zdobywców Medalu Fieldsa przyznawanego za osiągnięcia w dziedzinie matematyki.

Kiedy przyjechałem tu w 1970 roku jako *pensionnaire étranger*, *École Normale* nadal niepodzielnie królowała. Ma ona swój kampus – rzecz niezwykła jak na Francję – znajdujący się w spokojnym budynku w samym środku Piątej Dzielnicy. Każdy student dostaje własną małą sypialnię w czworoboku otaczającym dziedziniec podobny do parku.

Poza sypialniami są tu pomieszczenia do wypoczynku, sale seminaryjne i wykładowe, jadalnia, biblioteka nauk społecznych oraz wspaniała Bibliothèque des Lettres z wolnym dostępem do półek, której zasobom i udogodnieniom nic nie dorówna.

Czytelnikom amerykańskim, przyzwyczajonym do świetnie zaopatrzonych bibliotek w każdej dotowanej centralnie uczelni, od Connecticut po Kalifornię, niełatwo będzie pojąć, co to znaczy: większość francuskich uniwersytetów przypomina fatalnie niedofinansowany college stanowy. Ale przywileje *normaliens* wykraczają daleko poza bibliotekę i sypialnię. Dostać się do ENS było (i nadal jest) niezwykle trudno. Absolwent szkoły średniej, który ma ambicje zostać jej studentem, musi poświęcić dwa lata na wmuszenie w siebie (co przywodzi na myśl obraz tuczonych gęsi) ogromnej porcji wiedzy z dziedziny klasycznej kultury francuskiej albo współczesnej nauki. Następnie zdaje egzamin wstępny, a jego wyniki zostają porównane z osiągniętymi przez innych kandydatów i podane do wiadomości publicznej. Mniej więcej pierwszych stu dostaje się do École – co gwarantuje im stały dochód do końca życia, pod warunkiem że podejmą pracę w służbie państwowej.

W kraju liczącym sześćdziesiąt milionów mieszkańców ta elitarna uczelnia humanistyczna kształci więc zaledwie trzystu młodych ludzi naraz. To tak, jakby wszystkich absolwentów wszystkich amerykańskich szkół średnich przepuścić przez filtr, zapewniając niespełna tysiącowi z nich miejsce na jednej uczelni łączącej status i wyjątkowość Harvardu, Yale, Princeton, Columbii, Stanforda, Chicago i Berkeley. Nic dziwnego, że *normaliens* mają o sobie wysokie mniemanie.

Młodzi ludzie, których poznałem w École Normale, sprawili na mnie wrażenie o wiele mniej dojrzałych od moich

rówieśników z Cambridge. Do Cambridge niełatwo było się dostać, ale nie wykluczało to normalnego życia, jakie prowadziła aktywna młodzież. Żeby jednak znaleźć się w gronie studentów École Normale, należało dla tego celu poświęcić całe życie nastolatka, i to było widoczne. Nieustannie zdumiewał mnie ogrom wkutej na pamięć wiedzy, do której potrafili się odwoływać moi francuscy równolatkowie. To bogactwo wydawało się niekiedy wręcz niestrawne. Rzeczywiście, *pâté de foie gras*.

Ale przy całej kulturze tych dobrze zapowiadających się francuskich intelektualistów często brakowało im wyobraźni. Pod tym względem pouczające okazało się moje pierwsze śniadanie w École. Siedząc naprzeciwko nieogolonych pierwszoroczników w piżamach, skupiłem się na swoim kubku kawy. W pewnym momencie nachylił się do mnie poważny młody człowiek przypominający Trockiego i zapytał (po francusku): „Gdzie robiłeś *khagne*?”. Chodziło o intensywny policealny kurs przygotowujący do egzaminów na wyższe uczelnie. Odparłem, że przyjechałem z Cambridge, więc nie robiłem *khagne*. „Aha, więc robiłeś *khagne* w Anglii?”. „Nie – próbowałem dalej wyjaśniać – u nas nie ma *khagne*. Przyjechałem tu prosto z angielskiego uniwersytetu”.

Młody człowiek spojrział na mnie z niewysłowioną pogardą. „Nie można dostać się do École Normale bez przygotowania, jakie daje *khagne* – wyjaśnił. – Skoro jesteś tutaj, musiałeś zrobić *khagne*”. Efektownie rozstrzygnąwszy sprawę po kartezjańsku, odwrócił się ode mnie do bardziej godnych uwagi rozmówców. Ten wyraźny rozróżnienie między nieciekawym świadectwem własnych oczu i uszu a niezaprzeczalnymi wnioskami wyprowadzonymi z niepodważalnych przesłanek był dla mnie wprowadzeniem w podstawowy aksjomat francuskiego życia intelektualnego.

W 1970 roku École Normale mogła się pochwalić kilkoma samozwańczymi „maoistami”. Jeden z nich, utalentowany matematyk, bardzo się starał, żeby mi wytłumaczyć, dlaczego wspaniała Bibliothèque des Lettres powinna zostać doszczętnie spalona. *Du passé faisons table rase* („przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”). Jego logika była nienaganna: przeszłość rzeczywiście przeszkadza nieograniczonym innowacjom. Nie bardzo potrafiłem mu wyjaśnić, dlaczego jednak byłby to błąd. W końcu powiedziałem, że za kilka lat inaczej na to spojrzy. „Bardzo angielski wniosek” – powiedział mnie.

Mój znajomy maoista i jego koledzy nie spalili biblioteki (choć pewnej nocy próbowano bez większego przekonania się do niej wdrzeć). Radykalny odłam francuskiego ruchu studenckiego, w odróżnieniu od niemieckiego i włoskiego, nigdy nie przeszedł od teoretyzowania o rewolucji do przemocy w praktyce. Ciekawe byłoby poszukać odpowiedzi, dlaczego tak się stało: przemoc w słowach z pewnością znacznie się nasiliła podczas roku, który spędziłem w École, maoiści *normaliens* zaś „okupowali” od czasu do czasu jadalnię, pokrywając ściany napisami: *les murs ont la parole*. Nie udało im się jednak połączyć sił z podobnie „gniewnymi” studentami niedalekiej Sorbony.

Nie powinno nas to zaskakiwać. Status *normalien* w ówczesnym Paryżu oznaczał, że posiadało się znaczny kapitał kulturowy, jak by się wyraził Pierre Bourdieu (także *normalien*). Studenci École Normale więcej by stracili na przewróceniu świata do góry nogami niż większość europejskich studentów, i dobrze o tym wiedzieli. Wizerunek intelektualisty jako wykorzonego kosmopolity (importowany z Europy Środkowej) – klasy ludzi zbędnych, pozostających w konflikcie z nieprzyjaznym społeczeństwem i represyjnym

państwem – nigdy nie pasował do Francji. Nigdzie indziej intelektualności nie byli bardziej *chez eux*.

Raymond Aron, który znalazł się w École w 1924 roku, pisał w swoich *Wspomnieniach*: „Nigdy nie spotkałem tak wielu inteligentnych ludzi na tak małej przestrzeni”. Podzielałam to spostrzeżenie. Większość poznanych przeze mnie *normaliens* zrobiła świetne kariery akademickie lub publiczne (wyróżniającym się wyjątkiem jest Bernard-Henri Lévy, o którym można wszelako powiedzieć, że też spełnił pokładane w nim nadzieje). Jednakże z pewnymi godnymi uwagi wyjątkami są jako grupa uderzająco jednorodni: utalentowani, oschli, a przy tym dziwnie prowincjonalni.

Za moich czasów Paryż był intelektualną stolicą świata. Dziś zszedł na margines międzynarodowej debaty. Francuscy intelektualiści nadal od czasu do czasu podnoszą temperaturę, ale światło, którym świecą, pochodzi z dalekiego, może wygasłego już słońca. Ambitni młodzi Francuzi płci obojga, co znamienne, uczęszczają dziś do École Nationale d'Administration, kolebki przyszyłych biurokratów. Albo wybierają szkoły biznesowe. Młodzi *normaliens* są błyskotliwi, jak zawsze, ale w życiu publicznym odgrywają niewielką rolę (ani Finkelkraut, ani Glucksmann, Bruckner czy Kristeva nie ukończyli École Normale). Szkoda. Intelektualny polor nie był jedynym atutem Francji, ale – podobnie jak język, inny jej zanikający atut – stanowił cechę wyróżniającą. Czy Francuzom służy to, że stają się tacy jak my, tylko trochę mniej?

Kiedy wracam myślami do czasu spędzonego w Normale Sup, przypomina mi się inżynier (absolwent École Polytechnique, odpowiednika École Normale w dziedzinie nauk stosowanych), którego król wysłał w 1830 roku do Anglii, żeby przyjrzał się próbom „Rakiety” George’a Stephensona na nowo otwartej linii kolejowej Manchester–Liverpool. Francuz

siedział przy torach, robiąc staranne notatki, a solidna, mała lokomotywa ciągnęła pierwszy w świecie pojazd szynowy tam i z powrotem między dwoma miastami. Dokonawszy na podstawie swoich obserwacji sumiennych obliczeń, przesłał raport do Paryża: „To niemożliwe – napisał. – Takie coś nie ma prawa działać”. Oto francuski intelektualista w każdym calu.

## **Rewolucjoniści**

Urodziłem się w Anglii w 1948 roku: na tyle późno, żeby uniknąć poboru do wojska, ale w sam raz na Beatlesów – miałem czternaście lat, kiedy nagrali *Love Me Do*. Trzy lata później pojawiły się pierwsze minispódniczki. Byłem już dość duży, by docenić ich zalety, a wystarczająco młody, żeby z nich skorzystać. Dorastałem w epoce dobrobytu, bezpieczeństwa i komfortu, no i dlatego, ukończywszy w 1968 roku dwadzieścia lat, zbuntowałem się. Jak wielu z pokolenia wyżu demograficznego, byłem konformistą w swoim nonkonformizmie.

Nie ulega wątpliwości, że w latach sześćdziesiątych dobrze było być młodym. Wszystko zdawało się zmieniać z nieznaną dotąd szybkością, można było odnieść wrażenie, że świat zdominowany jest przez młodych (co da się potwierdzić statystycznie). Z drugiej strony, zmiana bywała zwodnicza, przynajmniej w Anglii. My, studenci, sprzeciwialiśmy się hałaśliwie poparciui udzielanemu przez rząd laburzystowski wojnie Lyndona Johnsona w Wietnamie. Pamiętam co najmniej jeden protest w Cambridge, po wystąpieniu Denisa Healeya, ówczesnego ministra obrony. Przepędziliśmy jego samochód z miasta. Mój kolega, dziś mąż wysokiej przedstawiciel UE do



spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, wskoczył na maskę i wściekle walił w okna.

Dopiero kiedy Healey spiesznie odjechał, zorientowaliśmy się, że jest późno – do kolacji w uczelnianej stołówce zostało parę minut, a my nie chcieliśmy jej stracić. W drodze powrotnej do miasta szedłem obok umundurowanego policjanta, wyznaczonego do obserwowania tłumu. Spojrzeliśmy na siebie. „Jak według pana wypadła demonstracja?” – zapytałem. Przyjmując pytanie ze spokojem – wcale nie wydało mu się dziwne – odparł: „Całkiem nieźle, proszę pana”.

Najwyraźniej Cambridge nie dojrzało do rewolucji. To samo można powiedzieć o Londynie. Na sławetnej demonstracji na Grosvenor Street pod ambasadą amerykańską (znowu przeciwko wojnie w Wietnamie – jak wielu moich rówieśników najłatwiej dawałem się zmobilizować do manifestowania przeciw niesprawiedliwości popełnianej tysiące mil od naszego kraju), wciśnięty między znudzonego policyjnego konia a jakieś ogrodzenie, poczułem, że coś ciepłego i mokrego spływa mi po nodze. Popuściłem mocz? Zostałem zraniony? Nic z tych rzeczy. Pękł mi w kieszeni woreczek z czerwoną farbą, którym zamierzałem rzucić w ambasadę.

Tego samego wieczora miałem jeść kolację z moją przyszłą teściową, niemiecką damą o nieskazitelnie konserwatywnych zapatrywaniach. Wątpię, czy jej sceptyczna opinia o mojej osobie poprawiła się, kiedy zjawiłem się w jej domu umazany od pasa do stóp lepką czerwoną substancją. Wystraszyło ją samo odkrycie, że jej córka chodzi z jednym z tych niechlujnych lewaków skandujących „Ho, Ho, Ho-Szi-Min”, których z niesmakiem oglądała tego popołudnia w telewizji. Ja oczywiście żałowałem tylko, że to farba, a nie krew. Nie ma to jak *épater la bourgeoisie*.

Na prawdziwą rewolucję jechało się oczywiście do Paryża. Jak wielu moich przyjaciół i rówieśników wyprawiłem się tam wiosną 1968 roku, żeby popatrzeć na bunt w autentycznym wydaniu i nawdychać się tej atmosfery. Albo zobaczyć chociaż wierne odtworzenie autentycznej rewolucji. Albo, jak się sceptycznie wyraził Raymond Aron, psychodramę wystawioną w teatrze, który miał kiedyś w repertuarze prawdziwe wydarzenie. Paryż naprawdę był sceną rewolucji – większość wizualnych skojarzeń, jakie budzi w nas to słowo, wywodzi się z naszej domniemanej wiedzy o tym, co tu się rozgrywało w latach 1789–1794 – trudno więc było czasami odróżnić politykę od parodii, pastiszu... i performance'u.

Z jednej strony wszystko było takie, jakie być powinno: prawdziwy bruk, prawdziwe sprawy (albo dostatecznie prawdziwe dla uczestników tych wydarzeń), prawdziwa przemoc i niekiedy prawdziwe ofiary. Na innym wszakże poziomie wszystko wydawało się nie do końca poważne – nawet wtedy trudno mi było uwierzyć, że pod brukiem znajduje się plaża (*sous les pavés la plage*), a tym bardziej że społeczność studencka, bezwstydnie zaabsorbowana planowaniem letnich wakacji – pamiętam, że podczas gwałtownych demonstracji i zażartych debat wiele się gadało o wycieczkach na Kubę – naprawdę zamierza obalić prezydenta Charles'a de Gaulle'a i jego Piątą Republikę. Niemniej jednak wielu francuskich komentatorów utrzymywało, że wierzy, iż może do tego dojść, i okazywało należytą nerwowość, bo przecież to ich dzieci demonstrowały na ulicach.

Tak na poważnie, nic się nie zdarzyło i wszyscy wróciliśmy do domu. Uważałem wtedy, że Aron jest niesprawiedliwy w swym lekceważeniu – o niestrawność przyprowadził go służalczy entuzjazm części kolegów z uczelni, którym zawróciły w głowie utopijne banały ich atrakcyjnych, młodych

podopiecznych, do których za wszelką cenę chcieli się przyłączyć. Dziś byłbym skłonny podzielać jego pogardę, ale wtedy wydawała mi się cokolwiek przesadzona. Arona najbardziej chyba irytowało to, że wszyscy się bawili – mimo całego sweo geniuszu nie potrafił dostrzec, że choć zabawa to nie to samo co robienie rewolucji, wiele rewolucji rozpoczynało się wśród swawoli i śmiechu.

Po kilku latach odwiedziłem kolegę studiującego na niemieckiej uczelni – chyba w Getyndze. Jak się okazało, „rewolucja” w Niemczech oznaczała coś zupełnie innego. Nikt się nie bawił. Z punktu widzenia Anglika wszyscy wydawali się niesamowicie wprost poważni i niepokojąco zaabsorbowani seksem. Było to coś nowego – angielscy studenci wiele myśleli o seksie, ale robili zaskakująco mało. Francuscy byli znacznie aktywniejsi na tym polu (albo tak mi się wydawało), ale oddzielali seks od polityki. Jeśli nie liczyć rozlegającego się od czasu do czasu nawoływania, żeby „uprawiać miłość zamiast prowadzić wojnę”, polityka w ich wydaniu była bardzo – nawet do absurdu – teoretyczna i oschła. Kobiety, jeśli w ogóle w niej uczestniczyły, parzyły kawę i były partnerkami do łóżka (a także noszonymi na barana wizualnymi akcesoriami na użytek fotoreporterów). Nic dziwnego, że wkrótce pojawił się radykalny feminizm.

W Niemczech jednak polityka związana była z seksem, a seks w znacznej mierze z polityką. Odwiedzając niemiecki kolektyw studencki (chyba wszyscy znani mi niemieccy studenci mieszkali w komunach, dzieląc wielkie stare mieszkania oraz partnerów seksualnych), ze zdumieniem odkryłem, że moi rówieśnicy z Bundesrepubliką naprawdę wierzą w to, co mówią. Absolutnie wolne od kompleksów podejście do przygodnych stosunków płciowych było, jak mi tłumaczyli, najlepszym sposobem na pozbycie się wszelkich złudzeń co do

amerykańskiego imperializmu – służyło także terapeutycznemu oczyszczeniu się z nazistowskiego dziedzictwa rodziców, określanego jako maskowanie stłumionej seksualności nacjonalistycznym kultem macho.

Koncepcja, zgodnie z którą dwudziestolatek z Europy Zachodniej mógł egzorcyzmować winy rodziców, odzierając siebie (i swoją partnerkę) z ubrania i zahamowań – metaforycznie odrzucając symbole represyjnej tolerancji – była dla mnie, hołdującego praktycznej angielskiej lewicowości, cokolwiek podejrzana. Świetnie się składa, że walka z nazizmem wymaga wielokrotnego orgazmu (i do niego się właściwie sprowadza). Jednakże po namyśle przychodzi refleksja: kim właściwie jestem, żeby narzekać? Student z Cambridge, którego polityczne horyzonty wyznaczają grzeczni policjanci oraz czyste sumienie zwycięskiego kraju, co nie zaznał okupacji, nie powinien chyba oceniać cudzych strategii oczyszczenia.

Gdybym więcej wiedział o tym, co się rozgrywało jakieś czterysta kilometrów dalej na wschód, nie miałbym zapewne takiego poczucia wyższości. Co o hermetycznie zamkniętym świecie Europy Zachodniej w epoce zimnej wojny mówi fakt, że ja – dobrze wykształcony student historii, wywodzący się z rodziny Żydów z Europy Wschodniej, władający kilkoma językami i dużo podróżujący po swojej połowie kontynentu – kompletnie nie miałem pojęcia o wydarzeniach wstrząsających wtedy Polskę i Czechosłowacją? Pociągała mnie rewolucja? To dlaczego nie pojechałem do Pragi, najbardziej fascynującego miejsca ówczesnej Europy? Albo do Warszawy, gdzie moi rówieśnicy narażali się na wyrzucenie z uczelni, banicję i więzienie za swoje poglądy i ideały?

Co mówi nam o ułudach maja 1968 roku fakt, że nie przypominam sobie, by w naszych żarliwych, radykalnych

debatach padła choć jedna aluzja do Praskiej Wiosny, nie mówiąc o wystąpieniach studenckich w Polsce? Gdybyśmy byli mniej zaściankowi (po czterdziestu latach trochę trudno przekazać, z jaką żarliwością potrafiliśmy dyskutować na temat niesprawiedliwości wyrażającej się zamykaniem bram college'u o określonych godzinach), zostawilibyśmy być może trwalszy ślad. Tymczasem umieliśmy do późna w noc rozwodzić się nad chińską rewolucją kulturalną, zamieszkami w Meksyku, czy nawet strajkami okupacyjnymi na Columbia University. Nikt jednak nie mówił o Europie Wschodniej, nie licząc jakiegoś Niemca, który się przypadkowo napatoczył i z pogardą wyrażał się o Dubczeku, widząc w nim jeszcze jednego reformistycznego renegata.

Spoglądając wstecz, nie mogę się pozbyć uczucia, że coś przegapiliśmy. Uważaliśmy się za marksistów? Dlaczego więc nie było nas w Warszawie, dlaczego nie dyskutowaliśmy z wielkim Leszkiem Kołakowskim i jego studentami o ostatkach komunistycznego rewizjonizmu? Byliśmy buntownikami? W jakiej sprawie? Za jaką cenę? Nawet ci nieliczni odważni spośród moich znajomych, którzy mieli na tyle pecha, że spędzili noc w areszcie, wracali przeważnie na obiad do domu. Co wiedzieliśmy o tym, jakiej odwagi wymagało wytrzymanie tygodni przesłuchań w warszawskich więzieniach, a potem wyroki – rok, dwa lub trzy lata dla studentów, którzy odważyli się upomnieć o rzeczy dla nas oczywiste?

Choć znaliśmy wielkie teorie historii, nie zauważyliśmy jednego z jej doniosłych zwrotów. To w Pradze i Warszawie latem 1968 roku marksizm sam doprowadził do tego, że osiadł na mieliźnie. To zbuntowani studenci z Europy Środkowej podkopali, zdyskredytowali i obalili nie tylko kilka walących się reżimów komunistycznych, ale samą ideę komunizmu. Gdybyśmy nieco bardziej troszczyli się o los idei, o których

tak gładko debatowaliśmy, zwrócilibyśmy może więcej uwagi na działania i opinie ludzi dorastających w ich cieniu.

Nikogo nie powinno dręczyć poczucie winy za to, że urodził się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. My z Zachodu byliśmy szczęśliwym pokoleniem. Nie zmienialiśmy świata – to on usłużnie zmieniał się dla nas. Wszystko wydawało się możliwe. W odróżnieniu od dzisiejszej młodzieży nigdy nie wątpiliśmy, że znajdziemy ciekawe zajęcie, nie musieliśmy więc marnować czasu na coś tak degradującego jak „szkoła biznesu”. Większość z nas podjęła pożyteczną pracę w oświacie albo służbie publicznej. Poświęciliśmy energię na dyskusje o tym, co jest nie tak ze światem i jak tę sytuację zmienić. Protestowaliśmy, i słusznie, przeciw temu, co się nam nie podobało. We własnych oczach byliśmy rewolucyjnym pokoleniem. Szkoda, że przegapiliśmy rewolucję.

## Praca

Zawsze chciałem zostać historykiem. W wieku dwunastu lat zacząłem obliczać, ile czasu mi zajmie uzyskanie potrzebnych stopni naukowych. Jak historycy zarabiają na życie? Jedyнным, którego moja rodzina widziała kiedykolwiek na oczy, był A. J. P. Taylor – przypuszczając, że płacą mu za wysmakowane pogadanki w telewizji, nigdy nie podejrzewałem, iż większość historyków z tego się utrzymuje. Jak się robiło „karierę” w dziedzinie historii? I w ogóle, jak się „robi karierę”? Czy się ją planuje już w wieku pokwitania? Czy po prostu sama wychodzi? A jeśli nie wyjdzie? Była gdzieś przede mną jakaś przyszłość, ale na razie musiałem zarabiać pieniądze.

Pierwszą pracę podjąłem w dziale muzycznym londyńskiej księgarni W.H. Smith Booksellers. Jako czternastolatek mogłem pracować tylko w soboty. Główną atrakcją była siedemnastoletnia April. Siedziała na kasie i była podobna do Janis, członkini jury oceniającego muzykę pop, która zyskała przelotną sławę dzięki wypowiedzianej z charakterystycznym akcentem ocenie najnowszego przeboju: „daję pionę!”.

Było to jeszcze w czasach p.e.B. (przed erą Beatlesów). Półki pełne były niewartych zapamiętania naśladownictw Elvise. Amerykańskie oryginały – Gene Vincent, Eddie Cochran – były o klasę lepsze od nieciekawych angielskich odpowiedników (Cliffa Richarda, z którego już się nabijano, Adama Faitha i kilkunastu innych). W jazzie gustowała mniejszość, o folku nikt nie słyszał – przynajmniej na High Street w Putney, gdzie pracowałem. Był to rok 1962, ale myśmy wciąż tkwili w latach pięćdziesiątych.

Cztery lata później, mając zapewnione miejsce na studiach w Cambridge, rzuciłem szkołę średnią i załatwiłem sobie podróż do Izraela w zamian za pracę na frachtowcu. Miał przepływać przez Kanał Kiloński, przecinający półwysep Holsztyn kilka kilometrów na północ od Hamburga. Trampy takie jak ten statek kursowały nieregularnie – kiedy zjawiłem się w kilońskim porcie, Hechalutza (płynącego z Gdańska) nigdzie nie było widać: dopiero go „oczekiwano”. Znalazłem nocleg w pobliskim hostelu i co kilka godzin zaglądałem do portu i śluz.

Kilonia była ponurym miastem. Zostało z powodzeniem odbudowane ze zniszczeń wojennych, ale w wyniku tego powstała – jak często w powojennych Niemczech Zachodnich – pozbawiona wszelkiego wdzięku miejska przestrzeń, jednolita i bez jakichkolwiek historycznych odniesień. Hostel nie należał do gościnnych – zaraz po śniadaniu wyrzucano mnie na ulicę, mogłem wrócić dopiero o zmierzchu. Współlokator okradł mnie z pieniędzy. Podczas nocnych wypraw do portu, w oczekiwaniu przyływu, a wraz z nim statków, posiłałem się kanapkami z kielbasą, którymi częstował mnie litościwy straganiarz. W końcu Hechalutz wyłonił się z bałtyckiej mgły. Przez jeden satysfakcjonujący moment, kuląc ramiona od wiatru, poczułem się jak Gabin w filmie Marcela Carné – chyba *Ludzie za mgłą*.



Kapitan przyjął mnie podejrzliwie. Figurowałem co prawda w manifeście, ale nie miał pojęcia, co zrobić z osiemnastoletnim wędrowcem. „Co potrafisz?” – zapytał. „Mówię po francusku, niemiecku i hebrajsku” – odparłem, jakbym ubiegał się o tymczasową pracę w biurze tłumaczeń. „Ja też, *az ma* (i co z tego)?” – brzmiała pogardliwa odpowiedź. Wskazano mi kabinę, miałem nazajutrz rano zgłosić się w maszynowni. Przez następne cztery tygodnie pracowałem od ósmej rano do czwartej po południu wśród ogłuszającego hałasu tłoków. Silnik Diesla na statku przemierzającym oceany nie wymaga ciągłej obsługi, dyżur pełnił tylko jeden mechanik, nadzorujący różne wskaźniki, dźwignie oraz mnie. Maszyna pokrywała się grubą warstwą smaru. Moim zadaniem było ją czyścić.

Przez pierwsze dni na przemian skrobałem kotły i wymiotowałem w fale Morza Północnego. W końcu się zaaklimatyzowałem. Nie miałem wyboru. Nie udało mi się awansować do pracy na pokładzie. Bosman (ponury Izraelczyk o posturze karłowatego czołgu) kazał mi raz wtoczyć beczki pod zadaszenie, bo zbliżał się sztorm. Nie potrafiłem ruszyć ich z miejsca, zostałem więc z powrotem odesłany do moich podpokładowych zajęć. Ostatniego wieczora naszej podróży kapitan wezwał mnie i szorstko przyznał, że sprawiłem mu niespodziankę: „Nie sądziłem, że wytrzymasz”. Po cichu przyznałem mu rację. Ja też nie sądziłem.

Prosta praca fizyczna na statku przynosiła niekiedy satysfakcję. Spędziłem nocną wachtę na mostku z trzecim marynarzem, starszym ode mnie o kilka lat. Gdy naszym stateczkiem miały wichry i fale wschodniego Atlantyku, słuchaliśmy pirackich stacji z muzyką rozrywkową nadających z Hiszpanii, Portugalii i Maroka. Na Cyprze zapoznano mnie z „najpiękniejszymi paniami z Famagusty”. Tego samego wieczora jako

najmłodszy członek załogi zgoliłem wąsy i przebrałem się za „najpiękniejszą panią na Hechalutzu”, żeby zabawić kolegów, okazujących podejrzaną entuzjasm. Moja własna edukacja sentymentalna.

Gdy po powrocie do kraju zatrudniłem się w cegielni w Sussex, zrewidowałem poglądy na pracę fizyczną: w takich niewymagających kwalifikacji zajęciach nie ma nic szlachetnego. Są ciężkie, brudne i przeważnie niewdzięczne. Nie sposób się oprzeć całkiem racjonalnej chęci uniknięcia nadzoru, obijania się i wykonywania roboty na odwal. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, odszedłem z cegielni i siadłem za kierownicę. To zajęcie, wymagające pewnego przyuczenia, choć nie lepiej opłacane, zapewniało mi przynajmniej niezależność i prywatność. Od 1966 do 1970 roku woziłem między innymi dywany, dostawy z magazynów oraz towary sypkie.

Kiedy wspomnę o tamtych czasach, gdy rozwoziłem artykuły spożywcze po południowym Londynie, zdumiewa mnie, jak skromne były te zamówienia. Typowe gospodarstwo domowe zaopatrywało się najwyżej w dwie niewielkie skrzynki tygodniowo. Całą resztę pani domu kupowała codziennie w pobliskim warzywniaku, mleczarni, u rzeźnika lub sprzedawcy drobiu. Supermarketów prawie nie znano. Hurtowe zakupy były bez sensu – większość ludzi miała małe lodówki, wielu nie miało ich wcale. Moim zielonym dostawczym morrisem z nazwiskiem sprzedawcy dumnie wymalowanym na karoserii dostarczałem za jednym kursem dwadzieścia kilka zamówień. Dzisiaj typowa wyprawa do centrum handlowego wypełniłaby małego morrisa tygodniowymi zapasami dla jednego gospodarstwa domowego.

Pod koniec lat sześćdziesiątych przez dwa lata porzucałem w czasie wakacji to zajęcie i zatrudniałem się jako pilot

amerykańskich grup studenckich zwiedzających Europę Zachodnią. Zapłata była niewygórowana, uboczne korzyści – wyjątkowe. W tamtych czasach dziewczęta z porządnymi amerykańskimi rodzinami nie podróżowały samotnie za ocean. Rodzice woleli nagrodzić dyplom wakacjami w Europie w towarzystwie młodych kobiet o podobnej mentalności oraz odpowiedzialnego opiekuna.

Firma, dla której pracowałem, chwaliła się, że zatrudnia wyłącznie studentów Oksfordu i Cambridge. Z jakichś tajemniczych powodów uznano, że tylko my się nadajemy do pilotowania czterdziestu paru amerykańskich dziewcząt podczas dziewięcioletnich wakacji. Wszystkie uczestniczki tych wycieczek uczyły się w college'u albo niedawno go ukończyły, ale żadna nie wyjechała dotąd poza kontynent amerykański. Nie miały pojęcia o Europie, nawet o najbardziej znanych miejscach (Paryż, Londyn, Rzym).

Pewnej nocy w Waldstätterhof Seehotel nad Jeziorem Czterech Kantonów obudziła mnie o piątej rano przerażona uczestniczka wycieczki. „Chodź szybko, ktoś próbuje się wdrzeć do pokoju Lizbeth!” Dwa piętra niżej zastałem nocnego portiera, który wściekle dobijał się do drzwi sypialni, wykrzykując męskie imię. Odsunąłem go, głośno się przedstawiłem i zostałem wpuszczony. Lizbeth stała na łóżku w bardzo niekompletnym stroju. „On nas zabije!” – syknęła. Nas? Wskazała na szafę, z której wyłonił się młody blondyn w samych majtkach – zastępca szefa kuchni. „To o mnie mu chodzi” – wyjaśnił z zażenowaniem po niemiecku. Wy tłumaczyłem sytuację goszczącej go Amerykance. Nie posiadała się ze zdziwienia. „Bywają mężczyźni – klarowałem – których pociągają inni mężczyźni”. Idealnie obojętna na swój negliz, Lizbeth popatrzyła na mnie z niesmakiem: „W Biloxi nie ma czegoś takiego”.

Był to lipiec 1968 roku. Kilka dni później w Monachium kazałem niemieckiemu kierowcy autokaru zawieźć nas do Dachau. Horst bezceremonialnie odmówił. Nie ma tam nic do oglądania – zapewniał mnie – a poza tym to amerykańska propaganda. Holokaust i obozy nie stały się jeszcze uniwersalnym moralnym punktem odniesienia, a w Missisipi nie było homoseksualistów. Bardzo dawne czasy.

Ostatnią pracę podjąłem w Blue Boar, hotelu zdołującym centrum Cambridge. Odpowiadałem za przygotowanie śniadań, pracowałem w kuchni od wpół do szóstej rano do przybycia zmiany obsługującej lunch. Tu nie było studentek, ale trafiła mi się idealna pod innymi względami nieakademicka posada. Tak jak czescy intelektualiści, którzy w latach „normalizacji” skazani byli na pracę w kotłowniach (ja swoją sam wybrałem), mogłem do woli oddawać się poważnym lekturom. W przerwach między opiekaniem grzanek, parzeniem kawy i smaženiem jajek dla wędrownych akwizytorów i rodziców odwiedzających dzieci na studiach, przeczytałem znaczną część materiałów źródłowych do swojej rozprawy doktorskiej. Przygotowywanie szybkich dań, kiedy się już je opanuje, nie tylko umożliwia aktywność intelektualną, ale ją ułatwia.

I na odwrót, quasi-akademicka harówka, zrzucana przeważnie na barki ubogich pracowników naukowych – korepetycje z historii dla uczniów szkół średnich, dodatkowe wykłady czy ocenianie prac egzaminacyjnych (wszystko to zaliczyłem) absorbuje umysł, nie przynosząc rzeczywistej satysfakcji. Rozwożąc ciężarówką dywany po przedmieściach, można rozmyślać o różnych skomplikowanych sprawach, ale sprawdzanie i ocenianie prac egzaminacyjnych pod presją czasu wyjaławia umysł.

Prosto z Blue Boar trafiłem na etat w King's College w Cambridge. Nie było to wcale nieuniknione, przedtem moje podania wszędzie odrzucano i gdyby King's College mnie nie uratował, z pewnością podjąłbym gdzieś stałą pracę zupełnie innego rodzaju. Ten szczęśliwy traf pozostawił we mnie trwałe przekonanie o przypadkowości karier zawodowych. Wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Nie sądzę, żebym przez resztę życia opiekał tosty w Blue Boar, rozwodził dywany albo czyścił silniki Diesla. Nie wygląda też na to, żeby moim zawodem miało się stać towarzyszenie młodym dziewczętom podróżującym po Europie, jakkolwiek byłoby to kuszące. Mogłem się jednak zajmować jedną lub kilkoma z tych rzeczy przez czas nieokreślony i ta perspektywa każe mi szczególnie współczuć tym, którzy przez przypadek lub niefortunny zbieg okoliczności znaleźli się na przegranych pozycjach.

Ciąży nad nami zrodzone w epoce przemysłowej przekonanie, że to, czym się zajmujemy, określa naszą tożsamość, ale dzisiaj w przypadku przeważającej większości ludzi jest ono ewidentnie fałszywe. Jeśli już musimy nawiązywać do dziewiętnastowiecznych frazesów, lepiej przypomnieć *The Right to Laziness* (Prawo do lenistwa), niezamierzenie proroczą broszurę, którą w 1883 roku opublikował zięć Marksa Paul Lafargue. Zawarł w niej myśl, że współczesne życie będzie stwarzało ludziom coraz więcej okazji do samookreślenia się przez sposób spędzania czasu wolnego oraz hobby. Rola samej pracy będzie dzięki Bogu słabnąć.

Zajmuję się ostatecznie tym, co zawsze chciałem robić – i jeszcze mi za to płacą. Większość ludzi nie ma takiego szczęścia. Praca w większości zawodów jest przeważnie uciążliwa, nie przynosi bogactwa ani nie zapewnia utrzymania. A jednak (jak nasi przodkowie z epoki wiktoriańskiej) znów uważamy

bezrobocie za stan wstydlivy, coś w rodzaju skazy charakteru. Świetnie zarabiający specje są pierwsi do prawienia „księżniczkom na zasiłku” kazań o moralnej ohydzie finansowej zależności, niestosowności pobierania świadczeń z kasy publicznej oraz zaletach ciężkiej pracy. Powinni przez jakiś czas sami spróbować, jak smakuje.

## Merytokraci

Rozpocząłem studia w King's College w 1966 roku. Byliśmy pokoleniem przejściowym, zapewne w pełnym tego słowa znaczeniu. Mieliśmy za sobą połowę lat sześćdziesiątych – modsi zjawili się i przeminęli, a Beatlesi mieli niebawem nagrać *Sierżanta Pieprza* – ale kolegium, do którego mnie przyjęto, wciąż w zadziwiający sposób przestrzegało tradycji. Kolacja w wielkiej sali miała charakter formalny, przychodziło się na nią w togach, a obecność była obowiązkowa. Studenci zajmowali miejsca, czekali na przybycie wykładowców, po czym wstawali, by patrzeć na długi rząd starszych panów sunących mimo nich w drodze do Wysokiego Stołu.

„Starszy” nie jest w tym wypadku pojęciem względnym. Wśród emerytowanych wykładowców, którym przewodził sir John Shepherd, były rektor (rocznik 1881), byli sir Frank Adcock (rocznik 1886), E. M. Forster (rocznik 1879) oraz inni, równie czcigodni. Od razu można było sobie uświadomić więź między pokoleniem młodych mężczyzn urodzonych w powojennym państwie opiekuńczym a światem King's ze schyłkowych lat epoki wiktoriańskiej – czasów Forstera, Ruberta Brooke'a i Johna Maynarda Keynesa, emanujących tym

rodzajem kulturalnej i społecznej pewności siebie, do jakiej próżno by nam aspirować. Odnosiło się wrażenie, że star-si panowie stapiają się z wyblakłymi portretami wiszącymi na ścianach – ciągłości, która nas zewsząd otaczała, nikt nie musiał podkreślać.

A jednak byliśmy grupą, która torowała nowe drogi. Gdy kończyliśmy studia, togi, birety, zamykanie bram o określonej godzinie i cały regulamin dotyczący pomniejszych kwestii – wszystko, co obowiązywało, kiedy przybyliśmy na uczelnię – budziło już nostalgię pomieszaną z rozbawieniem. Na pierwszym roku, jako pełen entuzjazmu, choć przeciętny gracz w rugby, wybrałem się autobusem naszej drużyny do Oksfordu na (przeegrany) mecz z New College. Wróciliśmy późno, do czego przyczyniła się nie do końca udana próba zdemontowania pisuaru u naszych gospodarzy, a także jesien-na mgła. Okazało się, że wejście do akademika jest zamknięte, ja zaś nie miałem przepustki na późny powrót. Gradem kamyków zdołałem obudzić kolegę, który zszedł do mnie zdrętwiały z przerażenia: „Żeby cię tylko strażnik nie usłyszał!”. Rozumie się samo przez się, że dzisiejszym studentom King’s College trudno byłoby wyjaśnić tę historię, ale wydałaby się równie niewiarygodna tym, którzy przyszli dwa lata po nas. Nowe obyczaje nastąpiły nagle.

King’s College szczylił się tym, że z entuzjazmem przyjmuje zmiany i radykalne wstrząsy. Opiekun naukowy wyjaśniał pierwszorocznikom, że zamykanie bram i przepisy dotyczące dyscypliny należy traktować z pewnym przymrużeniem oka. Było to niezbyt taktowne wobec portierów i strażników w akademiku, odpowiedzialnych za przestrzeganie regulaminu – tak wyglądało wprowadzenie w subtelności hierarchii społecznej w Cambridge: większość pracowników college’u, o poglądach, a bywało, że i stylu życia, typowych dla bohemy



z klasy średniej, z uśmiechem pobłażania traktowała naruszanie przepisów, na których straż powinna stać.

To również w tym college'u otwarto wkrótce po naszym przybyciu koszmary nowy bar dla studentów. Wykładowcy, w każdej dziedzinie idący z duchem czasu, zaaprobowali projekt, który najbardziej ze wszystkiego przypominał salę odlotów na lotnisku Gatwick – i właśnie dlatego został wybrany. Uczelnia (założona w 1441 roku) miała nie zapominać swojego dziedzictwa, zwłaszcza teraz, kiedy studiowało tutaj tak wielu młodych ludzi, dla których środowisko wyższych klas z Oksfordu i Cambridge nic nie znaczyło. Jako jeden z tych „nowych” – pierwszy w naszej rodzinie ukończyłem szkołę średnią, nie mówiąc o studiach wyższych – mogę stwierdzić, że o wiele bardziej by mi odpowiadała napuszona atmosfera dziewiętnastowiecznego klubu dla dżentelmenów niż namiastka bezklasowości, jaką stwarzał bar. Na szczęście eksperyment ten nie odzwierciedlał ducha szkoły. Uczelnia zachowała dość pewności siebie, by zapewnić studentom kojące poczucie ciągłości i tożsamości.

Mnie, chłopakowi z południowego Londynu, który nigdy nie zapuścił się dalej na północ niż do Leicester, nasze pokolenie studentów King's wydawało się różnorodne nie tylko pod względem społecznym, ale i geograficznym. Po raz pierwszy w życiu spotkałem swoich rówieśników z Wirral, Yorkshire, Tyneside, wschodniej Anglii i celtyckiego obrzeża. Dało się zauważyć, że byli to, tak jak ja, awansujący społecznie absolwenci elitarnych bezpłatnych szkół państwowych. To, że znaleźliśmy się w Cambridge, zawdzięczaliśmy ustawie Butlera o edukacji, uchwalonej w 1944 roku, choć dla części z nas przepaść społeczna, którą musieliśmy pokonać, była naprawdę ogromna. Matka Johna Bentleya, pierwszego chłopaka, który

dostał się do King's po ukończeniu powszechnej szkoły średniej (*comprehensive school*)<sup>1</sup>, opowiadała moim rodzicom na przyjęciu z okazji wręczenia dyplomów, że kiedy pytano ją na ulicy, gdzie jest syn i co porabia, miała ochotę odpowiedzieć, że jest w poprawczaku, co brzmiałoby bardziej przekonująco i wzbudziło większy respekt, niż gdyby przyznała, że John wozi łodzią dziewczęta po rzece Cam.

Z pewnością tu i ówdzie można się było w college'u natknąć na enklawy absolwentów elitarnych szkół prywatnych. Może nawet stanowili większość? Ja zaznajomiłem się bliżej tylko z jednym z nich – moim sąsiadem Martynem Poliakoffem, którego stryjeczny pradziadek zbudował rosyjskie koleje. Ten ostrzyżony na jeża ekscentryk, absolwent Westminster School, został później komandorem Orderu Imperium Brytyjskiego, członkiem Towarzystwa Królewskiego i zyskał za służoną sławę popularyzatora chemii wśród młodzieży. Nie był raczej typowym przedstawicielem wyższych sfer.

King's College za moich czasów był ucieleśnieniem powojennej Wielkiej Brytanii ceniącej merytokrację. Większość z nas zaszła daleko dzięki temu, że dobrze wypadaliśmy na egzaminach. Zdumiewająco wielu z nas podjęło pracę w zawodach odpowiadających naszym talentom i zainteresowaniom, które wcześniej dały znać o sobie. Rocznik 1966 wyróżnił się, jeśli chodzi o wybór drogi zawodowej: ani przedtem, ani potem nie było grupy, z której tak wielu znalazło zatrudnienie w oświacie, służbie publicznej, dziennikarstwie wysokich lotów, kulturze i wolnych zawodach nieprzynoszących dużego zysku.

Nic więc dziwnego, że najbardziej obiecujący ekonomista naszego pokolenia, Mervyn King, został prezesem Banku Anglii, a nie bankierem inwestycyjnym czy specjalistą od funduszy hedgingowych. Przed nami utalentowani absolwenci

King's College niewątpliwie obierali podobne drogi kariery. Wystarczy jednak spojrzeć na nekrologi starszego pokolenia, żeby się przekonać, jak wielu wróciło do firm rodzinnych albo tradycyjnych zawodów swoich ojców i dziadków.

Co się zaś tyczy tych, którzy przyszli po nas, przygnębiające wrażenie robi fakt, że tak wielu absolwentów z lat siedemdziesiątych i późniejszych tak szybko znalazło drogę do świata prywatnych banków, handlu oraz dochodowych dziedzin prawa. Może nie należy ich ganić. Za naszych czasów łatwo jeszcze było o pracę, mogliśmy się pławić w gasnących promieniach powojennej prosperity. Niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że mieliśmy inne preferencje.

Wypytywałem swoich rówieśników, dlaczego wybrali King's College. Zaskakująco wielu nie potrafiło udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Mówili, że zdecydowali się ze względu na nazwę, że spodobała im się kaplica, że uczelnia wydała im się wyjątkowa. Kilku – głównie ekonomistów – stwierdziło, że wybrali ją z powodu Keynesa. Mnie jednak poradzono złożyć papiery do King's z bardzo szczególnych przyczyn. W szkole średniej byłem buntownikiem – przerwałem naukę w szóstej klasie – i nauczyciele zgryźliwie mnie zapewniali, że nie mam czego szukać w żadnym innym college'u Oksfordu i Cambridge. King's był w ich odczuciu na tyle ekscentryczny, że tylko on mógł uznać we mnie odpowiedniego kandydata. Nie mam pojęcia, czy jakakolwiek inna uczelnia rozpatrzyła by moje podanie. Na szczęście nie musiałem tego sprawdzać.

System nauczania w college'u miał swoją specyfikę. Większość moich opiekunów naukowych – John Saltmarsh, Christopher Morris, Arthur Hibbert – byli to zapoznani naukowcy, którzy niewiele publikowali, znani jedynie kolejnym pokoleniom studentów King's. Zawdzięczam im nie tylko patynę intelektualnej wiary we własne siły, ale i nieprzemijający

szacunek dla nauczycieli obojętnych na sławę (i majątek) oraz wszystko poza fotelem, z którego sprawują opiekę nad studentami.

Nie uczono nas po to, żebyśmy dobrze wypadli na egzaminach końcowych (zwanych w Cambridge *trijos*). Moich opiekunów absolutnie nie interesowały żadne publiczne wystąpienia. Nie chodzi o to, że lekceważyli wyniki egzaminów, po prostu uważali za oczywiste, że dzięki wrodzonym talentom damy sobie radę. Dziś trudno wyobrazić sobie takich ludzi, choćby dlatego, że przy obowiązującym systemie ewaluacji badań naukowych, na podstawie których rząd brytyjski ocenia „wydajność uczelni” i zależnie od tego przydziela fundusze, poważnie szkodziliby finansom college’u.

Może powinienem się wstrzymać z ocenianiem okresu lat sześćdziesiątych w King’s College. Zrobiłem tu magisterium i przez sześć lat pracowałem na etacie, zanim w 1978 roku zrezygnowałem do Berkeley. To, co się działo później, wywarło wpływ na moje wspomnienia. King’s Noela Annana – rektora w latach 1956–1966 – ustępował miejsca uczelni kierowanej przez Edmunda Leacha (1966–1979), znanego w świecie antropologa ze szkoły Lévi-Straussa. Przyrodzona wiara w siebie cechująca pokolenie Annana<sup>2</sup> miała zostać zastąpiona przez swego rodzaju ironiczny dystans. W kontaktach z rektorem Leachem nigdy się do końca nie odczuło, że bardzo mu na czymś zależy albo że przekonany jest niezbitnie, iż college stanowi repozytorium wszystkiego, co najlepsze w tradycji dysydenckiego liberalizmu epoki edwardiańskiej. Dla niego był to jeszcze jeden mit, dojrzały do zdemaskowania.

Leach wierzył jednak – w większym stopniu niż Annan i z pewnością bardziej niż niewyróżniający się intelektualnie John Shepherd – w zwykły rozum. Jeszcze większy nacisk

położono na to, kiedy na miejsce Leacha przyszedł niezrównany Bernard Williams. Przez jakiś czas byłem bardzo młodym członkiem College Fellowship Electors (grona wybierającego kadrę naukową), wraz z Williamsem, Johnem Dunnem, Sydneyem Brennerem (laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny), sir Frankiem Kermodéem, Geoffreyem Lloydem (historykiem nauki starożytnej) i sir Martinem Reesem (Królewskim Astronomem). Na zawsze pozostało mi wrażenie, że na tym właśnie polega nauka: przenikliwa inteligencja, wszechstronność, a nade wszystko zdolność do (jak w innym kontekście wyraził się Forster) wewnętrznego przymierza.

Choć wtedy nie w pełni to doceniałem, najwięcej zawdzięczam Dunnowi, który był wówczas bardzo młodym pracownikiem naukowym, dziś zaś jest szacownym emerytowanym profesorem. To właśnie John podczas długiej rozmowy na temat politycznej myśli Johna Locke'a przebił się przez pancierz mojego młodzieńczego marksizmu i jako pierwszy ukazał mi wyzwania historii myśli ludzkiej. Dokonał tego w prosty sposób: uważnie wysłuchał wszystkiego, co miałem do powiedzenia, traktując to nadzwyczaj poważnie, po czym spokojnie i stanowczo dokonał krytycznego rozbioru w sposób, który mogłem zarówno zaakceptować, jak i uszanować.

Na tym polega uczenie, a także określony rodzaj liberalizmu – taki, który w dobrej wierze podejmuje dyskusję z krytycznymi (lub zwyczajnie błędnymi) opiniami mieszczącymi się w szerokim spektrum politycznym. Oczywiście taką tolerancyjną otwartość intelektualną spotykało się nie tylko w King's College. Słuchając jednak przyjaciół i rówieśników opowiadających o swoich doświadczeniach z innych uczelni, czasem się dziwię. Wykładowcy z innych placówek często sprawiali wrażenie obojętnych na wszystko i zajętych albo pochłoniętych sprawami własnej kariery w sposób przywodzący

na myśl najgorsze cechy amerykańskich wydziałów uniwersyteckich.

W King's College zjawiska te występują dziś w większym nasileniu niż dawniej. Nasze pokolenie także i pod tym, jak pod wieloma innymi względami, miało szczęście. Dostało się nam to, co najlepsze z obu światów. Awansowani dzięki zdolnościom i zasługom do klasy i kultury, które już zaczynały zanikać, poznaliśmy Oksford i Cambridge tuż przed upadkiem – za który, co muszę przyznać, odpowiedzialność ponosi w znacznej mierze moja generacja, odkąd dorwała się do władzy i urzędów.

Brytyjski system oświaty jest od czterdziestu lat ofiarą serii katastrofalnych w skutkach „reform”, które w założeniu miały ograniczyć dziedziczenie przynależności do elity i zinstytucjonalizować „równość”. Spustoszenie, jakie dotknęło szkolnictwo wyższe, dobrze podsumował na łamach „The New York Review” Anthony Grafton<sup>3</sup>, ale najgorsze szkody wyrządzone szkolnictwu średniemu. Politycy, zamierzający zniszczyć szkoły państwowe dokonujące selekcji kandydatów, które mojemu pokoleniu zapewniły pierwszorzędną edukację na koszt społeczeństwa, narzucili państwowemu sektorowi oświaty system wymuszonej uniformizacji, równającej w dół.

Skutek, który od początku dał się przewidzieć, był taki, że rozkwitły niedostępne dla ogółu szkoły prywatne (public schools). Zdesperowani rodzice płacą wysokie czesne, żeby wyrwać dzieci z dysfunkcyjnych szkół państwowych. Presja wywierana na uniwersytety każe przyjmować na studia niedostatecznie przygotowanych absolwentów tych ostatnich, zaniżono więc odpowiednio kryteria przyjęcia. Każdy nowy rząd wprowadza reformy mające naprawić nieudane „inicjatywy” poprzedników.

Dziś, kiedy rząd brytyjski zaleca, żeby pięćdziesiąt procent absolwentów szkół średnich podejmowało studia wyższe, przepaść między jakością wykształcenia uzyskiwanego przez mniejszość uczęszczającą do szkół prywatnych a poziomem całej reszty jest większa niż kiedykolwiek od lat czterdziestych. Absolwenci szkół prywatnych pod każdym względem spisują się lepiej niż ich rówieśnicy ze szkół państwowych – nikt nie chce tego niemiłego, zatajanego faktu otwarcie uznać, ale rządy Nowej Partii Pracy wprawił on w panikę. To dziwne, że wyklina się szkoły prywatne za to, że tak świetnie radzą sobie na rynku, a za to samo z entuzjazmem nagradza się bankierów.

Kolejni ministrowie oświaty autoryzowali i wspierali „akademie”\*, wprowadzając na powrót tylnymi drzwiami (z pomocą prywatnych pieniędzy) ten sam proces selekcji, którego zniesieniem w myśl egalitarnych zasad tak się kiedyś chełpili. W brytyjskim rządzie mamy dziś więcej absolwentów szkół prywatnych niż w ostatnich dekadach (naliczyłem ich siedemnastu), a premier po raz pierwszy od 1964 roku jest wychowankiem Eton. Może jednak należało pozostać przy merytokracji.

Gdy od czasu do czasu odwiedzam Cambridge, uderza mnie panująca tu atmosfera zwątpienia i upadku. Oxbridge nie oparł się demagogicznej modzie: to, co jeszcze w latach siedemdziesiątych było ironiczną kpinią z samych siebie („W King’s College mamy za sobą pięćset lat tradycji i zasad, ale niewiele sobie z tego robimy, ha, ha!”), przerodziło się w prawdziwe pomieszanie pojęć. Szczera, samokrytyczna troska o egalitaryzm, z jaką zetknęliśmy się w 1966 roku, przerodziła się w niezdrową

---

\* Szkoły państwowe niezależne od lokalnych władz oświatowych, dofinansowane bezpośrednio przez rząd, nierzadko też przez prywatnych sponsorów.

obsesję na punkcie zachowania pozorów, że jest to miejsce, gdzie nigdy nie stosowano żadnych elitarystycznych kryteriów selekcji ani praktyk nawiązujących do podziałów społecznych.

Nie jestem pewien, czy można coś jeszcze z tym zrobić. King's College, jak tyle innych rzeczy we współczesnej Wielkiej Brytanii, stał się obiektem dziedzictwa narodowego. Szczyci się tradycjami kontestacji, łamania konwencji, obojętności dla hierarchii: spójrzcie na nas – czyż nie jesteśmy i n n i? Ale cechami, które przesadzają o czyjejs wyjątkowości, można się szczyścić tylko wtedy, kiedy ma się ugruntowaną świadomość tego, co sprawiło, że są wyjątkowe, i co nadało im wartość. Instytucje potrzebują konkretnych tradycji, obawiam się zaś, że King's – tak jak cały Oxbridge – zatracił kontakt ze swoimi.

Podjeżdżam, że zaczęło się to właśnie w owej epoce przejściowej, połowie lat sześćdziesiątych. Oczywiście nie byliśmy tego świadomi. Stykaliśmy się zarówno z tradycją, jak i z transgresją; z kontynuacją i zmianą. To, co przekazaliśmy naszym następcom, okazało się jednak znacznie mniej istotne od tego, co sami dostaliśmy w spadku (ogólna prawda o pokoleniu powojennego wyżu demograficznego). Liberalizm i tolerancja, obojętność na cudze opinie, dumne poczucie wyjątkowości połączone z postępowymi poglądami politycznymi – te sprzeczności są do pogodzenia, ale tylko w ramach instytucji, która nie boi się przyznawać, iż jest na swój szczególnie elitarna.

Uniwersytety są elitarne – ich zadanie polega na wybraniu najzdolniejszej grupy z danego pokolenia i wykształceniu jej tak, by mogła przekroczyć granice, wejść do elity i ją odnowić. Równość szans i równość wyników to nie to samo. Społeczeństwo, w którym majątek i dziedzictwo decydują o podziałach, nie naprawi tej niesprawiedliwości kamuflowaniem jej w instytucjach oświatowych – zaprzeczając



zróżnicowaniu uzdolnień lub ograniczając możliwości selekcji – podczas gdy jednocześnie, powołując się na wolny rynek, sprzyja rosnącemu zróżnicowaniu dochodów. To zwykła obłuda i hipokryzja.

Moje pokolenie uważało się za radykalne, a zarazem elitarne. Jeśli wydaje się to sprzeczne, to jest to niekonsekwencja wywodząca się z określonej odmiany liberalizmu, którą przyswajaliśmy sobie w trakcie naszych studiów. Tak właśnie niekonsekwentny był patrycjusz Keynes, kiedy dla dobra ogółu finansował Royal Ballet i zakładał Arts Council, pilnując przy tym, by obiema instytucjami kierowali prawdziwi znawcy. Jest to niekonsekwencja merytokracji: dać każdemu szansę, po czym zapewniać przywileje utalentowanym. W taki sposób niekonsekwentny był King's College za moich czasów, a ja miałem szczęście tej niekonsekwencji doświadczyć.

1. Niedawno wprowadzone szkoły średnie przyjmujące dzieci niezależnie od wyników w nauce. Wkrótce się upowszechniły, a w planach ówczesnych rządów Partii Pracy miały zastąpić wszystkie szkoły państwowe dokonujące selektywnego naboru uczniów.
2. Zob. Noel Annan, *Our Age: English Intellectuals Between the World Wars – A Group Portrait*, London: Random House 1990. Jest to pełna nadzwyczajnej wiary w siebie relacja o pokoleniu, które jeszcze w siebie nie wątpiło.
3. Anthony Grafton, *Britain: The Disgrace of the Universities*, „The New York Review”, 8 kwietnia 2010.

## Słowa

Wychowałem się na słowach. Spływały kaskadą z kuchennego stołu na podłogę, gdzie siedziałem: dziadek, wujkowie i różni uchodźcy przerzucali się stwierdzeniami i pytaniami w rosyjskim, polskim, jidysz i czymś, co uchodziło za angielski. Po naszej kuchni pałętali się moralizujący rozbitkowie Socjalistycznej Partii Wielkiej Brytanii z epoki edwardiańskiej, propagatorzy Prawdziwej Sprawy. Długie, szczęśliwe godziny upływały mi na wysłuchiwanie dyskutujących do późna w noc samouków z Europy Środkowej: *Marxismus*, *Zionismus*, *Sozialismus*. Wydawało mi się, że życie ludzi dorosłych sprowadza się do mówienia. Nigdy się tego wrażenia nie pozbyłem.

Sam też mówiłem, żeby znaleźć swoje miejsce w życiu. Moje numery popisowe polegały na tym, że zapamiętywałem słowa, odtwarzałem je, tłumaczyłem. „Ho, ho, zostanie adwokatem” – słyszałem. „Będzie czarował sikorki, że hej” – przez jakiś czas bezowocnie próbowałem tego w parkach, później zaś, w latach dojrzewania, zastosowałem się do tej sugestii w znaczeniu przenośnym, nie dosłownym, bez większego zresztą powodzenia. Wtedy zdążyłem już przejść od

emocjonalności wielojęzycznych rozmów do chłodniejszej elegancji BBC English.

W latach pięćdziesiątych, kiedy uczęszczałem do szkoły podstawowej, nauczanie angielskiego oraz posługiwanie się nim było obwarowane wieloma regułami. Wpajano nam, że niedopuszczalne są nawet najmniejsze odstępstwa od reguł składni. „Dobry” angielski święcił triumfy. Dzięki audycjom radiowym BBC i kronikom filmowym funkcjonowały uznawane w skali całego kraju normy właściwego wystawiania się. Klasa i region przesądzały nie tylko o tym, jak się mówiło, ale i o czym wypadało mówić. „Akcentów” było wiele (włącznie z moim własnym), ale klasyfikowano je zależnie od szacunku, jakim się cieszyły, co było przeważnie funkcją pozycji społecznej oraz odległości od Londynu.

Urzekł mnie ówczesny blask angielskiej prozy w jej przemijającym apogeum. Była to epoka powszechnej kultury słowa, której zmierzch przepowiedział Richard Hoggart w swoim elegijnym eseju *The Uses of Literacy* (1957)\*. Coraz silniej dawała o sobie znać literatura protestu i buntu. W takich utworach jak *Jim szczęściarz*, *Miłość i gniew*, w dramatach „kuchennego zlewu” z końca dekady szturmowano klasowe granice duszącej przyzwoitości i „właściwej” mowy. Ale barbarzyńcy atakujący dziedzictwo kulturowe posługiwali się doskonałymi kadencjami wyuczonyj angielszczyzny. Przy lekturze ich dzieł nigdy nie odnosiłem wrażenia, że bunt wymaga odstępstwa od dobrej formy.

Gdy rozpoczynałem studia, słowa były już moją „dziezina”. Jak dwuznacznie zauważył jeden z wykładowców, miałem zadatki na „złotoustego mówcę”. Łączyłem bowiem

---

\* Polskie wydanie: *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, przeł. Aleksandra Ambros, Warszawa: PIW 1976.

(co naiwnie sobie wmawiałem) przyrodzoną temu środowisku pewność siebie z krytycyzmem outsidera. SeminaRIA w Oxbridge faworyzują studenta umiejącego trafnie się wysłowić. Neosokratejski styl („dlaczego to napisałeś?”, „co miałeś na myśli?”) zachęca władającego nim studenta do długich wypowiedzi, odbierając szanse jego nieśmiałowemu, skłonnemu do refleksji koledze, który wolałby wycofać się do tylnych rzędów. Moja niebezinteresowna wiara w sztukę wymowy została umocniona. Uznałem tę sztukę nawet nie za oznakę inteligencji, ale wręcz za samą inteligencję.

Czy przyszło mi do głowy, że zasadnicze znaczenie ma w tej sytuacji milczenie nauczyciela? Z pewnością milczenie nie było nigdy moją mocną stroną ani jako studenta, ani wykładowcy. Niektórzy z moich znakomitych kolegów z biegiem lat do tego stopnia zamknęli się w sobie, że przestali się gładko wysławiać podczas dyskusji, czy nawet zwykłych rozmów. Zanim zajmą stanowisko, długo się zastanawiają. Zazdroścę im tej powściągliwości.

Dar wymowy uważa się na ogół za talent świadczący o energii. W moim jednak pojęciu pełnił znacząco defensywne funkcje. Elastyczna retoryka pozwala na swego rodzaju udawaną bliskość – podkreśla ją, przy jednoczesnym zachowaniu dystansu. To właśnie robią aktorzy, ale świat nie jest przecież sceną, a ta praktyka ma w sobie coś sztucznego. Widać to u obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ja również narzucałem językowi dyscyplinę, żeby nie dopuścić do zażyłości – co tłumaczy być może romantyczną słabość do dwóch kultur ceniących powściągliwość: protestantów i amerykańskich Indian.

Przybysze z zewnątrz często dają się zwieść, gdy chodzi o sprawy języka. Pewien starszy wiekiem amerykański

partner firmy konsultingowej McKinsey opowiadał mi kiedyś, jak zaczęli rekrutację w Anglii i przekonał się, że trudno mu wybrać młodych pracowników. Każdy wydawał się taki elokwentny, pisanie analiz przychodziło im z nadzwyczajną lekkością. Jak ustalić, kto jest naprawdę inteligentny, a kto tylko ogładzony?

Słowa mogą prowadzić na manowce. Bywają wredne i niegodne zaufania. Pamiętam, jak oczarowała mnie fikcyjna historia Związku Radzieckiego, którą w swoje wykłady im. Trevelyana wygłaszane w Cambridge wplótł stary trockista Isaac Deutscher (ukazały się drukiem w 1967 roku pod tytułem *The Unfinished Revolution: Russia 1917–1967*). Forma tak kunsztownie górowała nad treścią, że tę drugą przyjęliśmy na wiarę. Odrzuwanie zajęło jakiś czas. Sam dar retoryki, choćby nie wiem jak pociągający, nie musi oznaczać oryginalności i głębi.

A jednak nieumiejętność wyśłowienia się sugeruje niedostatki rozumowania. Może to się wydać dziwne pokoleniu chwalonemu za to, co próbuje wypowiedzieć, a nie za rzecz wypowiedzianą. Sam dar wymowy stał się w latach siedemdziesiątych podejrzany. Odejście od „formy” sprzyjało bezkrytycznej aprobacie dla „autoekspresji”, przede wszystkim w sali wykładowej. Ale zachęcanie studentów do swobodnego wyrażania poglądów i pilnowanie, żeby nie zdławił ich ciężar przedwcześnie narzuconego autorytetu, to jedno. Czymś innym będzie powstrzymanie się nauczycieli od formalnej krytyki w nadziei, że zapewni to wolność sprzyjającą niezależnemu myśleniu: „Nie kłopotz się, jak to powiesz, liczą się pomysły”.

Od lat sześćdziesiątych upłynęło czterdzieści wiosen. Nie wielu zostało nauczających, którzy z pewnością siebie (albo tak wyszkoleni) skrytykowałiby niezręczne wyrażenie i wyjaśnili po prostu, w jaki sposób hamuje to inteligentną refleksję. Rewolucja dokonana przez moje pokolenie odegrała istotną

rolę w tej demaskacji: nie należy lekceważyć priorytetu, jaki w każdej dziedzinie życia przyznano autonomicznej jednostce. „Róbcie swoje” przybrało proteuszową formę.

Dzisiaj zarówno w języku, jak i w sztuce przedkłada się „naturalną” ekspresję nad biegłość. Bez cienia refleksji zakładamy, że w taki sposób skuteczniej przekazuje się zarówno prawdę, jak i piękno. Alexander Pope lepiej się na tym wyznawał<sup>1</sup>. W tradycji Zachodu przez wiele stuleci umiejętność zręcznego sformułowania stanowiska miała ścisły związek z wiarygodnością argumentacji. Styl wypowiedzi mógł być różny – od spartańskiego po barokowy – ale sam jako taki nigdy nie był obojętny. „Poprawność stylistyczna” zaś nie sprowadzała się tylko do zgrabnych zdań. Nieumiejętność wysłowienia się skrywała nieudolne rozumowanie. Niejasne sformułowania wskazywały w najlepszym razie na pomieszanie pojęć, w najgorszym – na dysymulację.

„Profesjonalizacja” akademickiego pisania – oraz asekurowanie się przez humanistów mającą wyrzucić wrażenie „teorii” i „metodologią” – sprzyja mętniactwu. To z kolei stworzyło zachętę do powstania fałszywej waluty gładkiego, „popularnego” stylu. W dziedzinie historii przykładem tego zjawiska jest pojawienie się „profesora z telewizji”, którego atrakcyjność polega na umiejętności przyciągnięcia masowego odbiorcy w epoce, kiedy inni naukowcy stracili zainteresowanie komunikacją. Ale o ile dawniejsze pokolenie popularyzatorów nauki umiało w prostym tekście zawrzeć wiedzę i autorytet, dzisiejsi „przystępni” autorzy atakują świadomość odbiorców. Uwagę publiczności przyciąga wykonawca, a nie temat.

Kulturowa niepewność rodzi językowego doppelgängera. To samo można powiedzieć o postępie technicznym. W świecie Facebooka, MySpace i Twittera (nie mówiąc o sms-ach)

związła aluzja zastępuje wyłożenie treści. Kiedyś internet wydawał się szansą na nieograniczoną komunikację, teraz coraz większa komercjalizacja tego medium – „jestem tym, co kupuję” – sprowadza zubożenie. Moje dzieci zauważyły na przykładzie swojego pokolenia, że stenografia narzucona przez sprzęt, jakim się posługują, zaczęła przenikać do samej komunikacji: „ludzie mówią językiem SMS-ów”.

Powinno nas to zaniepokoić. Kiedy słowa tracą integralność, to samo dotyka wyrażane przez nie idee. Jeśli osobistej ekspresji dajemy pierwszeństwo przed formalną konwencją, prywatyzujemy język tak samo, jak sprywatyzowaliśmy tyle innych rzeczy. „Jeżeli ja używam jakiegoś słowa – stwierdził Humpty Dumpty tonem dość pogardliwym – znaczy ono dokładnie to, co ja sobie życzę: ni mniej, ni więcej”. „Tylko pytanie – odparła Alicja – czy pan może nadawać słowom aż tyle rozmaitych znaczeń”\*. Alicja miała rację. Skutkiem jest anarchia. Orwell w eseju *Politics and the English Language* ganił współczesnych sobie za posługiwanie się językiem w celu zaciemniania, a nie informowania. Krytykował działających w złej wierze: ludzie kiepsko pisali, ponieważ próbowali wyrazić coś niejasno albo umyślnie lawirowali. Nasz problem, jak mi się zdaje, polega na czymś innym. Dzisiejsza byle jaka proza wyraża intelektualną niepewność: fatalnie mówimy i piszemy, ponieważ brak nam przekonania co do własnych opinii i niechętnie je jednoznacznie wyrażamy („To tylko mój osobisty pogląd...”). Zagraża nam nie tyle nowomowa, ile „niemowność”.

Dziś jestem tego wszystkiego świadom bardziej niż kiedykolwiek. Dotknięty schorzeniem neurologicznym, szybko tracę kontrolę nad słowami, choć mój kontakt ze światem

---

\* Przekład Roberta Stillera.

ograniczył się do nich. Nadal z nienaganną dyscypliną formują się wśród ciszy moich myśli, a ich zestaw nie uległ ograniczeniu – spojrzenie od wewnątrz jest tak bogate jak zawsze – ale ich przekazanie nastęrcza mi już trudności. Samogłoski i syczące spółgłoski wyślizgują mi się z ust, pozbawione kształtu i niezrozumiałe nawet dla mojego bliskiego współpracownika. Mięsień głosowy, od sześćdziesięciu lat moje niezawodne *alter ego*, nieuchronnie słabnie. Komunikowanie się, publiczne wystąpienia, upominanie się o swoje są obecnie moimi naj-  
słabszymi stronami. Już niedługo przekładanie istnienia na myśl, myśli na słowa, a słów na porozumienie stanie się dla mnie zbyt trudne. Będę uwięziony w retorycznym krajobrazie swoich wewnętrznych refleksji.

Choć bardziej dziś współczuję ludziom zmuszonym do milczenia, nadal pogardzam kulawym językiem. Gdy sam nie mogę się już komunikować z otoczeniem, bardziej niż kiedykolwiek doceniam znaczenie aktywnej komunikacji dla życia społecznego: jest nie tylko środkiem, dzięki któremu tworzymy wspólnotę, ale i częścią tego, co wspólnota oznacza. Bogactwo słów, w jakim zostałem wychowany, stanowiło samo w sobie publiczną przestrzeń, a odpowiednio zachowanych publicznych przestrzeni właśnie nam dzisiaj brakuje. Jeśli słowa zniszczają, co je zastąpi? Są wszystkim, co mamy.

1. Dowcip jest to natura przybrana gustownie. / Co wielu myśleć mogło, nikt nie wydał równie. (Alexander Pope, *Wiersz o krytyce*, w: *Poematy. Wybór*, przeł. Ludwik Kamiński, Kraków: Universitas, 2002, s. 16).



## **część trzecia**



### **Na Zachód, młody Judcie**

Nie każdy wybiera Amerykę. Mało kto budzi się pewnego dnia ze słowami: „Mam dość Tadżykistanu, przenieśmy się do Ameryki!”. Moi rodzice po wojnie zwątpili w Anglię (uczucie powszechne w tamtych ponurych czasach), ale jak wielu Brytyjczyków z owej epoki spoglądali w sposób naturalny raczej ku jej posiadłościom. Na głównych ulicach mojego dzieciństwa sprzedawcy i rzeźnicy zachwalali jagnięcinę i sery z Nowej Zelandii, australijską baraninę i południowoafrykańskie sherry, ale amerykańskie produkty były rzadkością. Różne okoliczności oraz wykryte u ojca zmiany po przebytej gruźlicy pokrzyżowały jednak plany osiedlenia się w Nowej Zelandii (i hodowli owiec?). Urodziłem się w Londynie, jak Pan Bóg przykazał, i dobiegałem trzydziestki, kiedy po raz pierwszy wybrałem się do Ameryki.

Każdemu się wydaje, że zna Stany Zjednoczone. To, co o nich „wiemy”, zależy oczywiście w dużej mierze od naszego wieku. Dla starszych Europejczyków Ameryka to kraj, który zjawiał się późno, uratował ich przed historią ich kontynentu i irytował pewnym siebie dobrobytem: „Co jest nie tak z Jankesami? Za dużo zarabiają, za bardzo są napaleni i za dużo ich

tutaj”. W Londynie krążył dowcip nawiązujący do taniej damskiej bielizny produkowanej w ramach rządowego programu czasów wojny: „Słyszeliście, jakie praktyczne są te nowe majtki? Same spadają na widok Jankesa”.

Europejczykom z Zachodu wychowanym w latach pięćdziesiątych „Ameryka” kojarzyła się z Bingiem Crosbym, Hopalongiem Cassidym oraz przewartościowanymi dolarami wysypującymi się obficie z kieszeni kraciastych spodni turystów ze Środkowego Zachodu. W latach siedemdziesiątych wyobrażenie o Ameryce się zmieniło: miejsce Dzikiego Zachodu i kowbojów zajęły kaniony Manhattanu, po których krążył porucznik Kojak. Moje pokolenie z entuzjazmem zastąpiło Binga Elvisem, a Elvisa wykonawcami wytwórni Motown i zespołem Beach Boys, ale nie mieliśmy zielonego pojęcia, jak naprawdę wyglądają Memphis, Detroit czy południowa Kalifornia.

Ameryka była więc czymś bardzo swojskim – i zupełnie nieznanym. Zanim tu przybyłem, przeczytałem Steinbecka, Fitzgeralda i niektórych wspaniałych nowelistów z Południa. Jeśli do tego dodać strawę duchową w postaci kina noir z lat czterdziestych, miałem pewne wizualne wyobrażenia o Stanach Zjednoczonych. Nic się jednak nie składało w całość. Poza tym, urodzony jak większość Europejczyków w kraju, który w ciągu iluś tam dni można było przejść na piechotę, nie miałem pojęcia o ogromie i zróżnicowaniu USA.

Po raz pierwszy znalazłem się tu w 1975 roku. Po wylądowaniu w Bostonie miałem zadzwonić do kolegi z Harvardu, który ofiarował nam gościnę, ale automat telefoniczny zażądał *dime*, całkiem nieznannej mi monety (Kojak ich nigdy nie używał). Z tarapatów wybawił mnie życzliwy policjant, którego bardzo ubawiła moja nieznajomość amerykańskiego bilonu.

Planowaliśmy z żoną, też Angielką, przejechać przez cały kraj do Davis w Kalifornii, dokąd mnie zaproszono na rok na wykłady. Myślałem, że kupię używanego garbusa, ale pierwszy napotkany sprzedawca samochodów namówił mnie na buicka LeSabre z 1971 roku – złotego, z automatyczną skrzynią biegów, długiego na prawie pięć i pół metra, który na sto kilometrów potrzebował dwudziestu litrów benzyny (przy sprzyjającym wietrze). Pierwsze, co zrobiliśmy, to zajechaliśmy buickiem do pizzerii. W Anglii pizze należały jeszcze do rzadkości, a ich rozmiary były niewielkie – jako duża liczyła się taka o osiemnastocentymetrowej średnicy i nieco ponad centymetrze grubości. Kiedy chłopak za ladą zapytał, jaką sobie życzymy, odpowiedzieliśmy bez wahania: „dużą” i zamówiliśmy dwie. Cokolwiek nas zaskoczył widok dwóch ogromnych tekturowych pudeł – każde zawierało pizzę w stylu Chicago, gruby placek o średnicy czterdziestu centymetrów, którym najadłoby się dziesięć osób. Była to dla mnie pierwsza oznaka amerykańskości: obsesja na punkcie wielkości.

Mając niewiele grosza w kieszeni, podążyliśmy na zachód, zatrzymując się tylko, żeby się pokrzepić i uzupełnić paliwo w naszym żarłocznym buicku. W Sioux Falls w Dakocie Południowej zatrzymałem się po raz pierwszy w amerykańskim motelu. Cena wydała mi się tak niewiarygodnie niska, że nieśmiało zapytałem, czy możemy dopłacić do pokoju z prysznicem. Recepcjonista, udający z początku, że nie rozumie mojego akcentu, wyjaśnił z nieskrywaną pogardą, że „wszystkie nasze pokoje są wyposażone w prysznice”. Dla europejskiego ucha brzmiało to niewiarygodnie. Uwierzyliśmy dopiero, kiedy zobaczyliśmy na własne oczy. Oznaka numer dwa: Amerykanie mają hysia na punkcie czystości.

Kiedy dotarliśmy do Davis, przez Rapid City w Dakocie Południowej („gdzie skończyła się Wojna o Prerię”) i Reno,

zdążyliśmy nabrać szacunku dla głębi amerykańskiego kontynentu, jeśli nie dla amerykańskich samochodów. Jest to wielki kraj – wielkiego nieba, wielkich gór, rozległych pól – a przy tym przepiękny. Nawet bezspornie brzydkie aspekty bywają w jakiś sposób oswojone przez otoczenie, w którym się znajdują – stacje benzynowe i tanie motele, które na zachód od Amarillo występują naprzemiennie na przestrzeni całych mil, każdemu krajobrazowi europejskiemu przyniosłyby zgubę (ich włoskie odpowiedniki pod Mediolanem wyglądają groteskowo), ale w wielkim planie zachodniego Teksasu wtapiają się romantycznie w wieczorną mgiełkę.

Od tej pierwszej podróży przez kontynent siedem razy przemierzyłem Stany. Stare osiedla o ustalonej już pozycji – Cheyenne, Knoxville, Savannah – mają po swojej stronie ciągłość i tradycję, ale kto mógłby pokochać współczesne Houston, Phoenix czy Charlotte? Smutne skupiska biurowców i skrzyżowań od dziewiątej do piątej tętnią życiem, ale jest to zwodnicze, bo o zmierzchu wymierają. Te sztuczne miasta tak jak posąg Ozymandiasa znów znikną w bagnach lub w pustyni, skąd wyrosły, kiedy tylko skończy się woda albo ceny benzyny położą kres ich egzystencji.

Są też stare osiedla na wybrzeżach, krzepiąco zakorzenione w kolonialnej przeszłości. Kiedyś, znalazłszy się bez grosza w Nowym Orleanie (obrabowano mnie w publicznej pralni), dostałem propozycję dostarczenia do Harrisburga w Pensylwanii samochodu pewnego zawodnika drużyny Steelers z Pittsburgha. Był to długi, smukły podrasowany wóz, na którego masce widniał szczerzący zęby tygrys, lubieżnie wyciągnięty na futrzanej szubie. Nietrudno przewidzieć, że co kilkadziesiąt kilometrów byliśmy zatrzymywani. Gлина na motorze, który kazał nam zjeżdżać na bok, podchodził zamasztywym krokiem, gotów obsunąć jakiegoś zbyt pewnego siebie

gogusia w za szybkiej bryce – a natrafiał na wątłego profesora z Cambridge i jego wystraszoną żonę. Po jakimś czasie zaczęło nas to bawić.

Kiedyś w North Plate w Nebrasce przeżyłem coś, co mógłbym nazwać negatywnym objawieniem. Było to w samym środku pustkowia, setki mil od czegokolwiek przypominającego miasto i tysiące mil od najbliższej słonej wody – jeśli ja poczułem się odcięty od świata, otoczony polami ponad dwumetrowej kukurydzy, to jak czuje się ktoś, kto mieszka w takim miejscu? Nic dziwnego, że większości Amerykanów nic a nic nie interesuje to, co robi reszta świata i co sobie o nich myśli. Średnie Państwo? Chińczycy nie znali jego połowy.

Miasteczka i osady, którymi usiany jest krajobraz od delty Missisipi do południowej Kalifornii, sprawiają przygnębiające wrażenie. Gdy jedzie się na północny zachód od Dallas w stronę Decatur, położonego najdalej na wyżynie teksańskiej, napotyka się miejscowości składające się z jednej lub dwóch stacji benzynowych, zaniedbanego motelu (często o zamkniętych okiennicach), sklepiku z mydłem i powidłem oraz małych skupisk mieszkalnych przyczep. Nie ma jednak nic, co wskazywałoby na istnienie wspólnoty.

Jeśli nie liczyć kościoła. W oczach Europejczyka wygląda on zazwyczaj jak magazyn z wielkim krzyżem na dachu. Ale ten budynek wyróżnia się na tle przydrożnych sklepów i domów. Religia to nie tylko jedyny możliwy wybór – stanowi często jedyną więź z czymś, co ma wyraźnie społeczny charakter, z wyższymi aspiracjami. Gdybym żył w takim miejscu, też dołączyłbym do Wybranych.

W mojej branży nie byłem jednak do tego zmuszony. Najlepsza rzecz w Ameryce to bez wątpienia jej uniwersytety. Nie Harvard, Yale *e tutti quanti* – choć wspaniałe, nie są czymś typowo amerykańskim, ich korzenie sięgają za ocean,

do Oksfordu, Heidelbergu i nie tylko. Żaden kraj na świecie nie może się wszakże pochwalić takimi publicznymi uniwersytetami. Jedzie się całymi milami przez zapomniany przez Boga i ludzi krajobraz pipidówek Środkowego Zachodu, usiany wysypką billboardów, tanich moteli i ustawionych jak na defiladzie restauracji fast food, gdy nagle, niczym pedagogiczny miraż wyśniony przez dziewiętnastowiecznych angielskich dżentelmenów, pojawia się... biblioteka! I to nie lada jaka. Uniwersytet stanu Indiana w Bloomington może się pochwalić zbiorem liczącym 7,8 miliona tomów w ponad dziewięćset językach, mieszczącym się we wspaniałym mauzoleum z dwiema wieżami, zbudowanym z miejscowego wapienia.

Ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód, za kolejnym pustkowiec porośniętym kukurydzą, wyłania się na horyzoncie oaza Champaign-Urbana, nieciekawe miasto uniwersyteckie, którego biblioteka liczy ponad dziesięć milionów tomów. Nawet najmniejsze z tych uniwersytetów dotowanych centralnie – choćby Uniwersytet stanu Vermont w Burlington czy odosobniony kampus stanu Wyoming w Laramie – mogą się pochwalić zbiorami, źródłami, obiektami i ambicjami, jakich większość starych instytucji europejskich powinna im tylko pozazdrościć.

Kontrast między bibliotekami uniwersyteckimi stanu Indiana czy Illinois a falującymi polami, które zazwyczaj widać z ich okien, obrazuje zdumiewającą skalę i różnorodność amerykańskiego śródłądowego imperium. Z daleka nie da się tego pojąć. O kilka mil na południe od kosmopolitycznej akademickiej społeczności Bloomington leży ośrodek starego Ku-Klux-Klanu, a niemające sobie równych zbiory literackie Uniwersytetu Tekszańskiego znajdują się, co zakrawa na nieprawdopodobieństwo, wśród wzgórz zaściankowej i pełnej



uprzedzeń okolicy. W przybywszu z zewnątrz kontrasty te budzą pewien niepokój.

Amerykanie przyjmują te paradoksy ze spokojem. Trudno sobie wyobrazić, żeby europejski uniwersytet, rekrutując profesora, uwzględnił bliską lokalizację lotniska międzynarodowego, dzięki czemu będzie on mógł łatwo „uciec” (takimi argumentami zachęcano mnie kiedyś do przyjęcia posady na uczelni koło Atlanty). Naukowiec z Europy, którego los rzucił do Aberystwyth, raczej nie będzie chciał na ten fakt zwracać uwagi. Podczas gdy Amerykanie są bezwstydnie skłonni do zwierzeń – „Jak się, do licha, stało, że wyłądownałem na uniwersytecie stanowym w Cheyenne?” – podobnie odizolowany Brytyjczyk będzie smętnie jęczał o urlopie naukowym spędzonym w Oksfordzie.

Moją perspektywę wciąż ubarwia pamiętny rok spędzony w Davis. Uczelnia w tym mieście, pierwotnie wydział rolniczy Uniwersytetu Kalifornijskiego, ryzykownie usadowiony wśród pól ryżowych delty Sacramento – w pół drogi między San Francisco a pustkowiem – może się dziś pochwalić 3,3 miliona tomów, zespołem pracowników naukowych światowej klasy i wiodącym w skali kraju programem zielonej energii. Niektórzy z najbardziej interesujących kolegów po fachu, jakich znam, spędzili życie w Davis. Wtedy jednak było to dla mnie zagadką. Kiedy rok minął, ostrożnie wróciłem do swojego jak stara Anglia Cambridge. Nic jednak nie było już takie samo. Nawet Cambridge wydało mi się jakieś mniejsze i ograniczające: płaskie jak naleśnik Fenland, odległe niczym pole ryżowe. Każde miejsce może być głuszą w porównaniu z jakimś innym.

John Donne opisuje swoją kochankę jako „Amerykę” – nowo odkrytą krainę czekającą na erotyczne poznanie. Sama Ameryka jest jednak kochanką, która na przemian odtrąca

i kusi – nawet w średnim wieku, chętna i z nadwagą, zachowuje jakiś powab. Sprzeczności i osobliwości są dla zblazowanych Europejczyków częścią tego powabu. Jest to stara-nowa ziemia, wiecznie odkrywająca samą siebie (przeważnie cudzym kosztem) – imperium w otocze preindustrialnych mitów, niebezpieczne i niewinne.

Uwiodło mnie. Z początku, nie mogąc się zdecydować, kursowałem tam i z powrotem przez Atlantyk, darząc oba brzegi swoimi ambiwalentnymi uczuciami. Moi przodkowie emigrowali z konieczności, wyгнаły ich strach i nędza. Nie mając wyboru, niewiele zaznali wątpliwości. Ja byłem dobrowolnym emigrantem, mogłem więc sobie powiedzieć, że mój wybór jest tymczasowy, a nawet odwracalny. Przez długi czas rozważałem możliwość powrotu na europejską uczelnię, ale to właśnie w Ameryce poczułem się najbardziej Europejczykiem. Byłem przybyszem z innej części świata: dwadzieścia lat po wyładowaniu w Bostonie stałem się Amerykaninem.

**Kryzys wieku średniego**

Jedni mężczyźni zmieniają żony. Niektórzy zmieniają samochody. Jeszcze inni zmieniają płeć. W kryzysie wieku średniego chodzi o to, by robiąc coś szokująco odmiennego, wykazać, że młodość jeszcze trwa. „Odmienny” to co prawda pojęcie względne – ktoś, kto zмага się z takim kryzysem, robi poważnie to samo co wszyscy inni, i stąd wiemy, że mamy do czynienia z kryzysem wieku średniego. Mój się jednak trochę różnił. Osiągnąłem odpowiedni wiek, byłem w odpowiednim stadium (w trakcie rozwodu z żoną numer dwa) i przeżywałem normalne niepokoje związane z wiekiem średnim (o co w tym wszystkim chodzi?). Poradziłem sobie wszakże na swój sposób. Nauczyłem się czeskiego.

Na początku lat osiemdziesiątych wykładałem nauki polityczne na Oksfordzie. Miałem zapewnioną posadę, obowiązki zawodowe i przyjemny dom. Oczekiwać na dodatek szczęścia rodzinnego byłoby przesadą, ale przyzwyczailem się do jego braku. Czułem jednak, że moje akademickie zajęcia stają się dla mnie coraz bardziej obce. Historia Francji popadła w owym okresie w niewłaściwe ręce: tak zwany przełom kulturowy i trendy post-wszystkiego w historii społecznej

zmusiły mnie do czytania niekończących się mętnych elaboratów podniesionych do akademickiej rangi przez nowo powstałe „subdyscypliny”, których akolici zaczęli kolonizować tereny położone trochę za blisko mojego podwórka. Byłem tym znudzony.

Dwudziestego czwartego kwietnia 1981 roku „New Statesman” opublikował list czeskiego dysydenta piszącego pod pseudonimem Václav Racek. Grzecznie wyraził on sprzeciw wobec eseju E. P. Thompsona, w którym wybitny brytyjski historyk wyraził myśl, że Wschód i Zachód ponoszą wspólną odpowiedzialność za zimną wojnę i związane z nią zbrodnie. Chyba jednak komunizm – sugerował Racek – ma trochę więcej na sumieniu? Thompson, w rozwlekłej odpowiedzi utrzymanej w protekcyjnym tonie, zestawiał „naiwne” pragnienie wolności czeskiego dysydenta ze swoją „obroną brytyjskich swobód”. Przyznał jednak, że „nietrudno zrozumieć, dlaczego czeski intelektualista może myśleć tak, a nie inaczej” w swojej niezawinionej ignorancji.

Tak mnie rozwścieczyła arogancja Thompsona, że napisałem w tej sprawie list do redakcji. Na skutek tego wystąpienia – i wyrażonych w nim sympatii – zostałem zaproszony do Londynu na spotkanie z Janem Kavanem, emigrantem z 1968 roku. Zastałem go w stanie hysterii. Udzielił właśnie dla Thames Television wywiadu, w którym, poniesiony entuzjazmem, nieumyślnie ujawnił, jak się obawiał, pewne informacje o czeskim podziemiu, mogące przysporzyć kłopotów opozycjonistom. Czy mógłbym wstrzymać emisję tego programu?

Pochlebilo mi, że Kavan przypuszcza, iż skromny wykładowca z Oksfordu ma aż takie wpływy. Wiedziałem, co naprawdę mogę, ale udałem, że jest inaczej, i skierowałem kroki

do studia. Redaktor z szacunkiem mnie wysłuchał, szybko się zorientował, że nie mam zielonego pojęcia o Czechosłowacji, nielegalnej opozycji i nawet samym Kavanie, ocenił, że nawet w świecie akademickim wyjątkowo niewiele znaczę, i uprzedmiotowo wyrzucił mnie za drzwi.

Nazajutrz wieczorem program wyemitowano w telewizji. O ile wiem, nikt poważnie nie ucierpiał z powodu tego, co w nim ujawniono, zaszkodził natomiast bardzo reputacji Kavana. Po wielu latach, kiedy jego polityczni przeciwnicy w postkomunistycznej Republice Czeskiej oskarżyli go o kolaborację z dawnym reżimem, wywiad dla Thames Television został przypomniany jako dowód.

Wróciwszy wieczorem do Oksfordu, zażenowany niepowodzeniem próby pomocy i upokorzony, że na jaw wyszła moja zaściankowość, podjąłem decyzję, która, na swój sposób, miała się okazać brzemienna w skutki. Nauczę się czeskiego. Thames może mnie ignorować – nie przejmuję się, że mało znaczę. Uraziło mnie jednak, że zostałem uznany za nieważnego i niedouczonego zarazem. Po raz pierwszy w życiu przyłapałem się na tym, że wypowiadam się na temat spraw i kraju, którego języka nie znałem. Wiem, że notorycznie robią to politolodzy, ale właśnie dlatego nie jestem politologiem.

Na początku lat osiemdziesiątych przystąpiłem więc do pracy i nauczyłem się nowego języka. Najpierw zaopatrzyłem się w samouczek *Teach Yourself Czech*. Korzystając z długich (i coraz bardziej mi odpowiadających) nieobecności żony numer dwa, poświęcałem każdego wieczoru dwie godziny na studiowanie tej książki. Opierała się na przestarzałej, a więc dobrze mi znanej i dodającej otuchy metodzie: kolejne strony poświęcone gramatyce, z naciskiem na skomplikowane koniugacje i deklinacje typowe dla języków słowiańskich, a wszystko to przeplatane nauką słówek, tłumaczeniami, ważnymi

wyjatkami itd. Krótko mówiąc, tak właśnie uczono mnie niemieckiego.

Po kilku miesiącach pracy nad podstawami języka uznałem, że jeśli mam wyjść poza ograniczenia izolowanego samouka, potrzebuję nauczyciela z prawdziwego zdarzenia. Na Oksfordzie można się było w owych latach uczyć dziesiątków znanych i egzotycznych języków, poziom kursów był świetny, zapisałem się więc na kurs czeskiego dla początkujących i średnio zaawansowanych. Było nas, jak pamiętam, tylko dwoje – ja i żona pewnego starszego historyka z Oksfordu, utalentowana lingwistka. Trzeba się było napracować, żeby dotrzymać jej kroku.

Pod koniec lat osiemdziesiątych posiadałem bierną znajomość czeskiego. Podkreślam – bierną. Rzadko poza audiowizualnym laboratorium słyszałem język mówiony, kraj odwiedziłem zaledwie kilka razy i przekonywałem się, że człowiekowi wchodzącemu w wiek średni trudniej już opanować język obcy. Czytałem jednak całkiem znośnie. Moją pierwszą czeską lekturą były *Hovory s T. G. Masarykem* [Rozmowy z Tomaszem Masarykiem] Karela Čapka, wspaniały zbiór wywiadów i rozmów najwybitniejszego czeskiego dramaturga z pierwszym prezydentem kraju. Od Čapka przeszedłem do Havla, o którym zacząłem pisać.

Nauka czeskiego zawiodła mnie do Czechosłowacji, którą odwiedziłem w 1985 i 1986 roku jako piechur małej armii zwerbowanych przez Rogera Scrutona przemytników książek. Pomagaliśmy wykładowcom i studentom relegowanym z tamtejszych uczelni albo mającym zakaz podejmowania studiów. Wygłaszałem w prywatnych mieszkaniach wykłady dla tłumów młodych ludzi żądnych dyskusji. Nie liczyła się dla nich akademicka reputacja i nieświadomi byli najnowszych mód, co było ożywcze. Wykładałem oczywiście po angielsku (choć

starsi profesorowie woleli niemiecki). Czeskiego miałem okazję używać, odpowiadając na niby przypadkowe pytania tajniaków, którzy wystawali pod latarniami nieopodal mieszkań dysydentów i zagadywali gości o godzinę, żeby ustalić, czy są cudzoziemcami.

Ówczesna Praga była szara i smutna. Czechosłowacja Gustáva Husáka była może krajem zamożnym jak na komunistyczne standardy (na drugim miejscu po Węgrzech), ale ponurym i stłamszonym. Nikt, kto w tamtych latach widział komunizm, nie mógł żywić złudzeń co do przyszłości martwego dogmatu zamkniętego w podupadającym społeczeństwie. Ja dostałem się tam jednak w wir entuzjazmu i podniecenia, a do Oksfordu wracałem za każdym razem z nową energią i pomysłami.

Zacząłem wykładać historię Europy Wschodniej, a także – z pewną obawą – pisać ją. Bardzo mnie zwłaszcza zainteresowała tamtejsza nielegalna opozycja, w której sprawy głęboko się zaangażowałem. Lektury, wymiana poglądów, a w końcu spotkania z takimi ludźmi, jak Václav Havel, Adam Michnik, János Kis i ich przyjaciele, sprawiły, że na nowo odkryłem polityczne namiętności oraz akademickie i intelektualne pasje nieznanne – przynajmniej mnie – od schyłku lat sześćdziesiątych, a przy tym o wiele poważniejsze i bardziej brzemienne w konsekwencje niż cokolwiek, co pamiętałem z tamtej dekady. Niewielką (a może nawet żadną) przesadą będzie stwierdzenie, że dzięki pogrążeniu się w sprawach Europy Wschodniej wróciłem do życia.

W Oksfordzie odwiedzałem specjalistów i uchodźców z regionu. Zorganizowałem programy stypendialne dla intelektualistów wypędzonych z bloku sowieckiego. Zacząłem nawet promować młodszych historyków i przedstawicieli innych dyscyplin, którzy przejawiali zainteresowanie tą zapoznaną częścią Europy, absurdalnie pomijaną przez badaczy.

Projekt ten, ze znacznie większymi funduszami, rozwijałem dalej po przeniesieniu się do Nowego Jorku.

Poprzez Polskę i nowych przyjaciół zyskanych tam oraz na emigracji udało mi się ustanowić więzi ze swoją własną wschodnioeuropejską żydowską przeszłością. Przede wszystkim, co nieustannie przyprawiało mnie o zażenowanie, odkryłem bogatą, pasjonującą literaturę, z której istnienia prawie zupełnie nie zdawałem sobie do tej pory sprawy. Mankament ten można bez wątpienia wytłumaczyć zaściankowością najlepszej nawet brytyjskiej edukacji, ale i ja sam ponoszę odpowiedzialność za to zaniedbanie.

Innymi słowy, dzięki nauce czeskiego stałem się zupełnie innym naukowcem, historykiem i człowiekiem. Czy byłoby inaczej, gdybym na przykład wybrał język polski? Moi przyjaciele z pewnością tak uważali – dla nich czeski był małym językiem słowiańskim (podobnie rosyjscy koledzy wyrażali się później o polskim). W sposób niewytłumaczalny wybrałem specjalizację w czymś, co dla nich było odpowiednikiem, dajmy na to, historii Walii. Ja odczuwałem to inaczej – specyficznie polskie (lub rosyjskie) poczucie kulturalnej wielkości było czymś, czego właśnie chciałem uniknąć. Wolałem takie typowo czeskie cechy, jak zwątpienie, kulturowa niepewność, sceptyczna autoironia. Znałem je już z żydowskich źródeł, przede wszystkim z dzieł Kafki – ale Kafka jest także przecież *par excellence* czeskim pisarzem.

Gdyby nie moja czeska obsesja, nie znalazłbym się w listopadzie 1989 roku w Pradze, nie zobaczyłbym, jak Havel na balkonie ratusza obejmuje urząd prezydenta. Nie słuchałbym w Hotelu Gellerta w Budapeszcie wystąpienia Jánosa Kisa, prezentującego swoje plany dla postkomunistycznych, lecz socjaldemokratycznych Węgier – najlepszej nadziei dla regionu, ale już nawet wtedy nierealnej. Nie znalazłbym się kilka lat później



w Maramureszu w północnej Transylwanii, gdzie spisywałem notatki do eseju o postkomunistycznych traumach Rumunii.

A przede wszystkim nigdy nie napisałbym *Powojnia*, mojej historii Europy po 1945 roku. Pomimo niedociągnięć jest to książka wyjątkowa ze względu na determinację, z jaką starałem się połączyć we wspólnej opowieści dwie połówki Europy. *Powojnie* wyraża na swój sposób moją próbę zostania historykiem całej Europy, a nie pozbawionym złudzeń krytykiem francuskich mód historycznych. Czeskie przygody nie dały mi nowej żony (dopiero o wiele później i tylko pośrednio), a tym bardziej nowego samochodu. Okazały się jednak najlepszym kryzysem wieku średniego, jakiego mogłem sobie życzyć. Wyleczyły mnie raz na zawsze z metodologicznego solipsyzmu postmodernistycznej nauki. Dzięki nim stałem się, na dobre i na złe, miarodajnym publicznym intelektualistą. Więcej było rzeczy na niebie i ziemi, niżli się śniło naszej zachodniej filozofii, a ja – z opóźnieniem – część z nich ujrzałem.

### **Zniewolone umysły**

Kilka lat temu odwiedziłem Krasnogrudę, odrestaurowany dwór Czesława Miłosza blisko granicy polsko-litewskiej. Gościł mnie Krzysztof Czyżewski, dyrektor Fundacji Pogranicze, stawiającej sobie za cel uznanie skonfliktowanej pamięci tego regionu i pojednanie miejscowych społeczności. Był środek zimy, jak okiem sięgnąć ciągnęły się pokryte śniegiem pola, a na nich od czasu do czasu wyrastały kępy skutych lodem drzew i słupy graniczne.

Mój gospodarz rozpływał się nad perspektywami wymiany kulturalnej, jaka miała się odbywać w rodzinnym domu Miłosza. Ja pogąrzyłem się we własnych myślach: sto kilkanaście kilometrów stąd na północ w Pilwiskach (dziś Pilviškiai na terytorium Litwy) żyli przodkowie mojego ojca – część rodziny nosząca nazwisko Avigail – i tam również umierali (niektórzy zabici przez nazistów). Nasz kuzyn Meyer London w 1891 roku wyemigrował z pobliskiej wsi do Nowego Jorku, gdzie w 1914 roku wybrano go na drugiego socjalistycznego członka Kongresu, po czym został usunięty ze stanowiska przez haniebnny sojusz bogatych nowojorskich Żydów, zaniepokojonych jego socjalistycznymi poglądami,

i amerykańskich syjonistów, przerażonych jego nieskrywanym podejrzanym stosunkiem do ich idei.

Dla Miłosza Krasnogruda – „czerwona ziemia” – była jego „rodzinną Europą”<sup>1</sup>. Dla mnie jednak, gdy patrzyłem na ten surowy, biały krajobraz, uosabiała znajdujące się nie tak znów daleko Jedwabne, Katyń i Babi Jar, nie mówiąc już o bliższych mrocznych wspomnieniach. Mój gospodarz z pewnością o tym wiedział, to on się osobiście przyczynił do opublikowania w języku polskim – co wzbudziło kontrowersje – relacji Jana Grossa o masakrze w Jedwabnem<sup>2</sup>. Ale obecność największego polskiego dwudziestowiecznego poety wzniosła się ponad tragedie nawiedzające ten region.

Miłosz urodził się w 1911 roku na Litwie, będącej wówczas pod zaborem rosyjskim. Jak wiele wybitnych postaci polskiej literatury nie był „Polakiem” w geograficznym tego słowa znaczeniu. Adam Zagajewski, jeden z najważniejszych żyjących poetów tego kraju, urodził się na Ukrainie, Jerzy Giedroyc – wielka postać dwudziestowiecznej emigracji literackiej – na Białorusi, tak jak Adam Mickiewicz, dziewiętnastowieczny symbol polskiego odrodzenia literackiego. Zwłaszcza Wilno było kosmopolitycznym tygłem, w którym mieszały się Polacy, Litwini, Niemcy, Rosjanie, Żydzi i inne narodowości. (Isaiah Berlin, tak jak Judith Shklar, filozof polityki z Harvardu, urodzili się w pobliskiej Rydze).

Miłosz, który dorósł w Polsce międzywojennej, przeżył okupację i był już poetą o wyrobionej pozycji, kiedy wysłano go do Paryża jako attaché kulturalnego nowej Polski Ludowej. Ale w 1951 roku został na Zachodzie, a dwa lata później opublikował swoje najbardziej wpływowe dzieło, *Zniewolony umysł*<sup>3</sup>. Zawsze obecne na półkach księgarskich, jest zdecydowanie najwnikliwszą, nietracącą znaczenia relacją o urzeczaniu intelektualistów stalinizmem, oraz, ogólniej rzecz

biorąc, o tym, jak inteligencja ulega powabom władzy i autorytaryzmu.

Miłosz analizuje sylwetki czterech współczesnych mu pisarzy oraz ułudy, jakim ulegli w drodze od autonomii do posłuszeństwa. Szczególny nacisk kładzie na to, co określa jako charakterystyczną dla intelektualistów „potrzebę przynależności”. Dwaj jego bohaterowie – Jerzy Andrzejewski i Tadeusz Borowski – są być może znani anglojęzycznym czytelnikom, Andrzejewski jako twórca *Popiołu i diamentu* (z ekranizowanego przez Andrzeja Wajdę), a Borowski jako autor przejmujących wspomnień z Auschwitz, *Proszę państwa do gazu*.

Książka najbardziej jednak zapada w pamięć dzięki dwóm motywom. Jeden z nich to „pigułki Murti-Binga”. Miłosz naktknął się na nie w mrocznej powieści Stanisława Ignacego Witkiewicza *Nienasylenie* (1927). U Witkiewicza mieszkańcy Europy Środkowej, mając w perspektywie najazd bliżej nieokreślonych azjatyckich hord, łykają małe pigułki uwalniające ich od strachu i niepokoju. Podniesieni przez nie na duchu, nie tylko akceptują nowych władców, ale są szczęśliwi, że mogą ich powitać.

Drugi motyw to Ketman, pojęcie zaczerpnięte z książki Arthura de Gobineau *Les religions et les philosophies dans l'Asie centrale*, w której francuski podróżnik opisuje znane w Persji zjawisko podwójnej tożsamości. Ci, którzy przyswoili sobie sposób funkcjonowania zwany „Ketmanem”, mogą żyć wśród sprzeczności – mówiąc jedno, a wierząc w coś innego, swobodnie się dostosowując do każdego z nowych wymogów, które stawiają im rządzący, przekonani zarazem, że w jakiś sposób zachowali w sobie autonomię człowieka wolnej myśli – a w każdym razie takiego, który dobrowolnie zdecydował się podporządkować obcym ideom i dyktatowi.

Ketman, jak pisze Miłosz, „jest dobrodziejstwem: pielęgnuje marzenie. Człowiek uczy się kochać wzniesione dokoła niego zagrody”. Pisanie do szuflady staje się oznaką wewnętrznej wolności. Odbiorcy przynajmniej potraktowaliby twórcę poważnie, gdyby tylko mogli go przeczytać.

Wśród intelektualistów ze Wschodu rozpowszechniony jest strach przed obojętnością, z jaką system gospodarczy Zachodu traktuje artystów i uczonych. Ich zdaniem lepiej mieć do czynienia z inteligentnym diabłem niż z dobrodusznym idiotą.

Między Ketmanem i pigułką Murti-Binga Miłosz genialnie analizuje stan umysłu poputczyka, zwiedzonego idealisty i cynicznego oportunisty. Jego esej jest subtelniejszy od *Ciemności w południe* Arthura Koestlera i mniej bezlitośnie logiczny niż *Opium intelektualistów* Raymonda Arona. Omawiałem go przez wiele lat na swoim ulubionym kursie, poświęconym przeglądowi esejów i powieści z Europy Środkowej i Wschodniej, między innymi pism Milana Kundery, Václava Havla, Ivo Andricia, Hedy Kovály, Paula Gomy i innych autorów.

Zacząłem jednak dostrzegać, że o ile powieści Kundery i Andricia lub wspomnienia Kovály i Jewgienii Ginsburg są dla amerykańskich studentów przystępne, pomimo obcej materii, to *Zniewolony umysł* spotykał się często z niezrozumieniem. Miłosz przyjmował za rzecz oczywistą, że jego czytelnicy intuicyjnie pojmują stan umysłu człowieka wierzącego: kobiety lub mężczyzny identyfikujących się z Historią i entuzjastycznie sprzymierzających się z systemem, który odbiera ludziom wolność słowa. W 1951 roku mógł zasadnie przypuszczać, że to zjawisko – niezależnie od tego, czy związane z komunizmem, faszyzmem, czy inną formą politycznej opresji – będzie czymś znajomym.

Kiedy po raz pierwszy omawiałem tę książkę w latach siedemdziesiątych, większość czasu zajęło mi wyjaśnianie radykalnie nastawionym studentom, dlaczego „zniewolony umysł” to nic dobrego. Trzydzieści lat później moi młodzi słuchacze po prostu się dziwią: dlaczego ktoś miałby sprzedawać duszę dla jakiegokolwiek idei, tym bardziej represyjnej? Na początku XXI wieku niewielu moich amerykańskich studentów miało kiedykolwiek styczność z marksizmem. Niezdolni byli wyobrazić sobie zaangażowanie w świecką wiarę wymagające samozaprzeczenia. Kiedy zaczynałem swój kurs, trudność polegała na wyjaśnieniu, dlaczego ludzie rozczarowali się marksizmem. Dziś przeszkodą nie do pokonania jest wytłumaczenie samego złudzenia.

Dzisiejsi studenci nie pojmują, o co w tej książce chodzi: całe ćwiczenie wydaje się jałowe. Potrafią zrozumieć represję, cierpienia, ironię, a nawet wiarę religijną. Ale ideologiczne samooszukiwanie się? Ci, którzy czytają Miłosza po jego śmierci, podobni są więc do tych ludzi Zachodu i emigrantów, których niezrozumienie tak trafnie opisuje: „Jak się płaci – tego za granicą nie wiedzą. Nie wiedzą, co się kupuje i za jaką cenę”.

Może tak jest. Ale istnieją i inne rodzaje zniewolenia. Przypomnijmy sobie tylko podobny do Ketmanu trans, który ogarnął intelektualistów, porwanych zaledwie kilka lat temu historycznym dążeniem George’a W. Busha do wojny. Niewielu przyznałoby się, że uwielbia prezydenta, co dopiero mówić o podzielaniu jego światopoglądu. Ich zachowanie było więc typowe: poparli go, choć prywatnie mieli niewątpliwie zastrzeżenia. Później, kiedy stało się jasne, że popełnili błąd, zrzucili winę na niekompetencję administracji. Zgodnie z zasadą Ketmanu oznajmiają więc dumnie „słusznie się pomyliliśmy” – wiele mówiące, choć nieświadome echo *plaidoyer*

francuskich popuczyków: „lepiej mylić się z Sartre’em, niż mieć rację z Aronem”.

Dziś wciąż słyszymy bełkotliwe echa próby rozniecenia na nowo zimnej wojny pod hasłem krucjaty przeciw „islamo-faszystom”. Jednakże prawdziwe zniewolenie umysłu w naszych czasach dotyczy czegoś innego. Współczesna wiara w „rynek” idzie dokładnie w ślady swojego radykalnego dziewniętnastowiecznego sobowtóra – niepodważalnej wiary w konieczność, postęp i Historię. Tak jak Philip Snowden, kanclerz z ramienia Partii Pracy w latach 1929–1931, bezradnie załamywał ręce w obliczu wielkiego kryzysu, oznajmiając, że opór wobec nieuchronnych praw kapitalizmu nie ma sensu, tak dzisiaj europejscy przywódcy uciekają się do oszczędności budżetowych, żeby ugłaskać „rynek”.

Ale „rynek”, tak jak „materializm dialektyczny”, to tylko abstrakcja: ultraracjonalna (odwołujące się do niego argumenty przebijają wszystko), a zarazem będąca szczytem bezrozumu (nie da się zakwestionować). Ma swoich prawdziwych wyznawców – myślicieli miernych w porównaniu z ojcami założycielami, niemniej jednak wpływowych – ma sympatyków, którzy prywatnie mogą powątpiewać w rynkowe dogmaty, ale nie widzą innego wyjścia, jak go wysławiać, ma też ofiary, z których wiele, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, posłusznie połknęło swoje pigułki i dumnie głosi zalety doktryny, której pożytków nigdy nie zobaczą.

Najlepszym miernikiem niewoli, w jakiej ideologia utrzymuje ludzi, jest ich zbiorowa niezdolność do wyobrażenia sobie innych rozwiązań. Świetnie wiemy, że ślepa wiara w nieuregulowany rynek jest zabójcza. Bezwzględne stosowanie w słabych krajach rozwijających się postanowień znanych do niedawna jako „konsensus waszyngtoński”, kładących nacisk na surową politykę fiskalną, prywatyzację, niskie cła

i deregulację, pozbawiło miliony ludzi środków utrzymania. Tymczasem rygorystyczne przestrzeganie „zasad handlowych” dotyczących dostępności podstawowych leków doprowadziło do znacznego skrócenia średniej długości życia w wielu regionach świata. Ale, jak głosi nieśmiertelna maksyma Margaret Thatcher, „nie ma innego wyjścia”.

Tak samo po II wojnie światowej przedstawiano komunizm jego beneficjentom. A ponieważ wydawało się, że Historia nie ma alternatywy dla komunistycznej przyszłości, tak wielu zagranicznych wielbicieli Stalina popadło w intelektualną niewolę. Kiedy jednak Miłosz opublikował *Zniewolony umysł*, zachodni intelektualiści nadal debatowali na temat autentycznie konkurencyjnych modeli społecznych, różnych wariantów liberalnego kapitalizmu – socjaldemokratycznego, społecznej gospodarki rynkowej czy regulowanego rynku. Dziś, choć od czasu do czasu z nizin społecznych słychać protest odwołujący się do haseł Keynesa, panuje konsensus.

Zdaniem Miłosza człowiekowi Wschodu „ludzie w krajach Zachodu, a zwłaszcza Amerykanie, wydają się niepoważni właśnie dlatego, że nie przeszli przez doświadczenia, które uczą o względności ich sądów i myślowych nałogów”. Tak niewątpliwie jest i to wyjaśnia sceptyczny stosunek mieszkańców Europy Wschodniej do niewinności Zachodu. W dobrowolnej służalczości zachodnich (i wschodnich) komentatorów wobec nowej panortodoksji nie ma jednak nic niewinnego. Wielu z nich, niczym praktykujący Ketman, wie swoje, ale woli się nie wychylać. W tym przynajmniej sensie mają naprawdę coś wspólnego z intelektualistami epoki komunizmu. Sto lat po narodzinach Miłosza, pięćdziesiąt siedem po publikacji jego wpływowej rozprawy sformułowane przezeń oskarżenie służalczego intelektualisty brzmi prawdziwiej niż



kiedykolwiek: „strach przed myśleniem na własny rachunek jest jego cechą”.

1. Czesław Miłosz, *Rodzinna Europa*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1994 (pierwsze wydanie 1958).
2. Jan T. Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny: Pogranicze, 2000.
3. Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1999 (pierwsze wydanie 1953).

### **Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta**

W 1992 roku byłem dziekanem Wydziału Historii na Uniwersytecie Nowojorskim – a także jedynym na wydziale nieżonatym heteroseksualnym mężczyzną poniżej sześćdziesiątki. Mieszanka wybuchowa – na tablicy na korytarzu przed moim gabinetem wyeksponowano adres i telefon uczelnianego Ośrodka ds. Molestowania Seksualnego. Zawód historyka szybko się feminizował, a studencka społeczność przygotowana była do tropienia wszelkich oznak dyskryminacji albo czegoś jeszcze gorszego. W kontakcie fizycznym dopatrywano się złych intencji, zamknięte drzwi stanowiły niepodważalny dowód.

Wkrótce po objęciu przeze mnie funkcji zajrzała do mnie słuchaczka drugiego roku studiów magisterskich, była zawodowa tancerka baletowa zainteresowana Europą Wschodnią. Ktoś ją zachęcił do pracy pod moim kierownictwem. W tym semestrze nie prowadziłem zajęć, mogłem jej więc powiedzieć, żeby przyszła innym razem. Zamiast tego zaprosiłem ją do środka. Po odbytej za zamkniętymi drzwiami dyskusji na temat reform gospodarczych na Węgrzech zaproponowałem niezależny kurs – pierwsze zajęcia miały się odbyć następnego

wieczora w miejscowej restauracji. Po kilku sesjach tak się ośmieliłem, że zaprosiłem ją na premierę *Oleanny* – kiepskiej sztuki Davida Mameta o molestowaniu seksualnym na uczelnianym kampusie.

Jak wyjaśnić takie autodestrukcyjne zachowanie? W jakimże świecie złudzeń żyłem, żeby sobie wyobrażać, iż właśnie mnie uda się uniknąć konsekwencji ówczesnej srogiej pruderii – że dzwon poprawności seksualnej nie wybije i dla mnie? Znałem Foucaulta równie dobrze jak każdy, nieobce mi były prace Firestone, Millet, Brownmiller, Faludi *e tutte quante*<sup>1</sup>. Na nic by mi się nie zdało tłumaczenie, że miała oczy, którym nie potrafiłem się oprzeć, a moje intencje były... niejasne. Co mam na swoje usprawiedliwienie? *Wysoki Sądzie, ukształtowały mnie lata sześćdziesiąte.*

Życie chłopaka dorastającego w latach sześćdziesiątych napotykało osobliwe ograniczenia. Nadal żyliśmy w moralnym świecie naszych rodziców. Randkowanie nie było łatwą sprawą – żaden z nas nie miał samochodu, domy były zbyt małe, by zapewnić prywatność, o środki antykoncepcyjne mógł się postarać tylko ten, kto był gotów stawić czoło aptekarzowi niekryjącemu dezaprobaty. Całkiem zasadnie zakładano, że zarówno chłopcy, jak i dziewczęta są niewinni i niewiele wiedzą. Większość znajomych chłopców uczęszczała do męskich szkół, rzadko stykaliśmy się z kobietami. Razem z kolegą zafundowaliśmy sobie za ciężko zarobione pieniądze lekcje tańca w Locarno Ballroom w Streatham, ale kiedy przyszedł czas na coroczną imprezę towarzyską, dziewczęta ze szkoły Godolphin & Latymer i tak nas wyśmiały. Zaprzestaliśmy eksperymentu.

Nawet jeśli zacząłeś chodzić z dziewczyną, przypominało to zalecanie się do własnej babci. Dostępu do dziewczęcego ciała broniła niemożliwa do sforsowania Linia Maginota,

na którą składały się haczyki, paski, pasy elastyczne, nylony, podwiązki, majtki i halki. Starsi chłopcy zapewniali mnie, że są to wszystko przeszkody czysto erotycznej natury, które łatwo obejść. Mnie jednak przerażały. I nie byłem odosobniony, o czym świadczą filmy i powieści z tamtej epoki. Wszyscy żyliśmy wtedy na plaży Chesil\*.

Później, ku swojemu zaskoczeniu, dowiedzieliśmy się, że jesteśmy bohaterami „rewolucji seksualnej”. W ciągu kilku miesięcy całe pokolenie młodych kobiet odrzuciło nawarstwiającą się od stu lat bieliznę i wskoczyło w minispódniczki, pod które wkładały rajstopy (albo i nie). Niewielu z moich znajomych urodzonych po 1952 roku słyszało o większości wymienionych powyżej elementów odzieży spodniej. Francuski piosenkarz Antoine, gwiazda muzyki pop, śpiewał optymistycznie o kupowaniu pigułek antykoncepcyjnych w Monoprix (francuski odpowiednik K-Marta)<sup>2</sup>. W Cambridge, nie tracąc głowy, pomogłem koledze załatwić skrobankę dla jego dziewczyny. Wszyscy „igrali z ogniem”.

Albo udawali. Moje pokolenie miało obsesję na punkcie różnicy między teorią i praktyką – poznałem w Kalifornii kogoś, kto napisał pracę doktorską na temat „Teoria i Praktyka w teorii i praktyce”. Przeżywaliśmy ten kontrast w sferze seksu. W teorii szczyliciliśmy się, że jesteśmy awangardą. W praktyce natomiast byliśmy konformistami, ukształtowanymi w większym stopniu przez doświadczenia młodości lat pięćdziesiątych niż okresu dorastania w latach sześćdziesiątych. Zaskakująco wielu z nas młodo się ożeniło, często z pierwszą

---

\* Nawiązanie do powieści Iana McEwana *Na plaży Chesil*, której tematem są perypetie tradycyjnie wychowanego młodego małżeństwa podejmującego życie seksualne.

dziewczyną, z którą chodzili na poważnie. Z tej grupy zaś wielu pozostało w związku małżeńskim. Broniąc niezbywalnego prawa wszystkich do robienia wszystkiego, rzadko mieliśmy okazję, żeby samemu wiele zdziałać.

Nasi poprzednicy dorastali w klaustrofobicznym świecie *Jima szczęściarza* oraz *Miłości i gniewu*. Skrępowani ograniczeniami, które nauczono ich szanować, mogli podejmować próby uwiedzenia jakiejś urzędniczki czy studentki, ale instynkt nakazywał im respektowanie zasad – nie oczekiwali, że wprowadzą w życie swoje fantazje. My natomiast mieliśmy kłopot z odróżnieniem fantazji od życia codziennego. Solipsyzm lat sześćdziesiątych – „make love, not war”, „róbcie swoje”, „daj se luz” – z pewnością niszczył różne tabu. Zarazem jednak tłumiał sumienie: nie było rzeczy zakazanych.

W 1981 roku, wkrótce po przybyciu do Oksfordu, zaprosiłem na obiad pewną studentkę razem z jej chłopakiem. Mieszkaliśmy z żoną poza miastem, kiedy zjawiła się młoda para, zaczęła się już śnieżyca. Musieli zostać u nas na noc. Beztrako wskazałem im pokój gościnny z dwuosobowym łóżkiem i powiedziałem dobranoc. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, czy oni w ogóle śpiją ze sobą. Kiedy po kilku dniach dyskretnie poruszyłem tę kwestię, dziewczyna poklepała mnie po ramieniu: „Nie przejmuj się, Tony, zrozumieliśmy. Ech, wy ludzie z lat sześćdziesiątych!”

Nasi następcy – uwolnieni ze staromodnych ograniczeń – narzucili sobie nowe restrykcje. Od lat siedemdziesiątych Amerykanie starannie unikają wszystkiego, co mogłoby skojarzyć się z molestowaniem, nawet za cenę wyrzeczenia się obiecujących przyjaźni i uciech flirtu. Podobnie jak mężczyźni z wcześniejszej dekady – choć z bardzo odmiennych powodów – zachowują się z nadludzką wprost ostrożnością, żeby tylko nie popełnić jakiejś gafy. Dla mnie jest to przygnębiające.

Purytanie, powściągając własne i cudze pragnienia, mogli się powołać na solidną podstawę teologiczną. Dzisiejsi konformiści nic takiego nie mają.

Lęki towarzyszące współczesnym relacjom między płciami zostają niekiedy rozładowane w komiczny sposób. Kiedy pełniłem funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego na Uniwersytecie Nowojorskim, pewien obiecujący młody wykładowca został oskarżony przez magistrantkę ze swojego instytutu o składanie nieprzyzwoitych propozycji. Podobno miał pójść za nią do schowka na materiały biurowe i wyznać swoje uczucia. Przyznał się do wszystkiego, błagając, żebym nie powiadamiał jego żony. Moje sympatie były podzielone: młody człowiek zachował się głupio, ale nie wchodziło w grę żadne zastraszanie ani nie proponował lepszych ocen w zamian za wiadome względy. Niemniej jednak dostał naganę. Jego kariera legła w gruzach – odmówiono mu etatu, bo żadna kobieta nie chciała uczęszczać na jego zajęcia. Tymczasem „ofiara” otrzymała zwyczajową pomoc psychologiczną.

Kilka lat później wezwano mnie do gabinetu uczelnianego prawnika. Czy nie mógłbym wystąpić jako świadek obrony w sprawie wytoczonej uniwersytetowi przez tę samą młodą kobietę? Prawnik uprzedził mnie, że „ona” to w rzeczywistości „on”, a skarży uczelnię za to, że nie bierze poważnie pod uwagę „jej” potrzeb jako transwestyty. Będziemy walczyć, ale nie wolno stworzyć wrażenia, że jesteśmy niewrażliwi na takie kwestie.

Zjawiłem się więc w sądzie na Manhattanie, żeby skosternowanej ławie przysięgłych, złożonej z hydraulików i gospodyń domowych, wyjaśnić złożone aspekty molestowania na uczelniach. Adwokat studentki wytoczył ciężkie argumenty: „Czy nie byliście uprzedzeni wobec mojej klientki z powodu jej transgenderowej tożsamości?”. „Nie sądzę, żebym mógł

żyć uprzedzenia – odparłem – myślałem, że jest kobietą. Czyż nie za nią chciała uchodzić w moich oczach?” Uniwersytet wygrał sprawę.

Innym razem studentka poskarżyła się, że ją „dyskryminuję”, ponieważ nie zaproponowała mi usług seksualnych. Kiedy uczelniana rzeczniczka praw – rozsądna pani o nieposzlakowanej reputacji – zbadała sprawę, okazało się, że powódka jest niezadowolona z tego, iż nie została zaproszona na moje seminarium. Przypuszczała, że jego uczestniczki muszą być faworyzowane (i same okazywać względy). Wyjaśniłem, że dostały się na seminarium, ponieważ są inteligentniejsze. Młoda kobieta nie posiadała się ze zdumienia. Nie potrafiła sobie wyobrazić innej formy dyskryminacji niż na tle płciowym. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogę być po prostu zwolennikiem elitaryzmu.

To wymowna historia. Kiedy omawiałem dzieła literackie o niedwuznacznie seksualnych motywach – oczywistym przykładem może być Milan Kundera – z europejskimi studentami, zawsze podczas dyskusji czuli się swobodnie. Natomiast młodzi Amerykanie i Amerykanki – na ogół tak bardzo otwarci – nerwowo milkli. Nie mieli ochoty podejmować tematu, żeby nie przekroczyć jakichś granic. Tymczasem seks – albo, by użyć fachowego terminu, *gender* – to pierwsze, co przychodzi im na myśl, kiedy próbują wyjaśniać zachowanie dorosłych ludzi w realnym świecie.

W tej dziedzinie, jak i w wielu innych, zbyt poważnie potraktowaliśmy lata sześćdziesiąte. Kiedy obsesyjnie skupiamy się na seksualności (lub *gender*), wypacza to rzeczywistość w równym stopniu jak jej wypieranie. Zastąpienie koncepcji klasy społecznej lub kategorii dochodu płcią kulturową (albo „rasą”, „etnicznością” lub „mną”) mogło przyjść do głowy

tylko tym, dla których polityka jest zajęciem uprawianym dla przyjemności w wolnym czasie, projekcją własnego „ja” na szeroki świat.

Dlaczego wszystko miałoby dotyczyć „mnie”? Czy moje obsesje mają jakieś znaczenie dla Republiki? Czy moje szczególne potrzeby odnoszą się z definicji do ogólniejszych spraw? Cóż to, do licha, znaczy, że „osobiste jest polityczne”? Jeżeli wszystko ma być polityczne, to nic nie jest. Przypomina mi się wykład Gertrudy Stein w Oksfordzie na temat literatury współczesnej. Ktoś zadał pytanie: „A co z kwestią kobiecą?”. Odpowiedź Stein należałoby umieścić na tablicach ogłoszeń wszystkich college’ów, od Bostonu po Berkeley: „Nie wszystko może dotyczyć wszystkiego”.

Żartobliwe mantry naszej młodości stały się dla późniejszych pokoleń stylem życia. W latach sześćdziesiątych wiedzieliśmy przynajmniej, że cokolwiek byśmy powiedzieli, w seksie chodzi o... seks. A jednak ponosimy winę za to, co nastąpiło. My – lewica, akademicy, nauczyciele – pozostawiliśmy politykę tym, których bardziej interesuje realna władza niż jej metaforyczne implikacje. Poprawność polityczna, polityka gender, a przede wszystkim przewrażliwienie na punkcie zranionych uczuć (jakby istniało prawo do tego, żeby nie być urażonym) – oto, co zostawimy w spadku po sobie.

Dlaczego nie wolno mi zamknąć drzwi od gabinetu albo zaprosić studentki do teatru? Czy wahanie nie świadczy o tym, że przyswoiłem sobie najgorszego rodzaju wspólnotową autocenzurę – że na długo przedtem, zanim zostanę oskarżony, z góry zakładam, iż mogę być winny, i daję innym przykład lękliwego zachowania? Tak, i choćby z tych powodów nie widzę w swoim postępowaniu nic złego. Ale gdyby nie godna mandaryna pewność siebie, jakiej nabyłem w Oxbridge, też mogłoby mi zabraknąć odwagi do manifestowania własnych



przekonań – choć przyznam, że ulotna mieszanka arogancji intelektualnej i poczucia pokoleniowej wyjątkowości może zrodzić złudzenie, iż jest się na wszystko odpornym.

Takie właśnie poczucie posiadania nieograniczonych uprawnień, posunięte do skrajności, może wyjaśnić autodestrukcyjne wykroczenia Billa Clintona czy upór Tony'ego Blaira obstającego przy tym, że miał prawo, posuwając się do kłamstw, wmanewrować się w wojnę, której konieczność tylko on był w stanie ocenić. Zauważmy jednak, że mimo bezczelnego flirciarstwa i pozerstwa Clinton i Blair – tak jak i Bush, Gore, Brown i wielu innych z mojego pokolenia – pozostają mężami swoich pierwszych dziewczyn, z którymi na poważnie zaczęli chodzić. Ja nie mogę o sobie powiedzieć tego samego – dwukrotnie się rozwiódłem, w 1977 i 1986 roku – ale pod innymi względami także i mnie usidliła ta osobliwa, typowa dla lat sześćdziesiątych mieszanina radykalnych postaw i konwencji na domowy użytek. Jak więc udało mi się wymknąć policji do spraw molestowania, która niechybnie podążała moim śladem, kiedy potajemnie umawiałem się z moją promiennooką baletnicą?

Ożeniłem się z nią, czytelniku.

1. Autorki następujących pozycji (według kolejności): *The Dialectics of Sex*, *Sexual Politics*, *Against Our Will* oraz *Backlash: The Undeclared War Against American Women*.
2. „Comment faire pour enrichir le pays? Mettez la pillule en vente dans le Monoprix” [Jak wzbogacić kraj? Wprowadźcie pigułki do sprzedaży w sieci Monoprix]. *Elucubrations*, 1966.

### **New York, New York**

W 1987 roku ni z tego, ni z owego zjawiłem się na Uniwersytecie Nowojorskim. Zaczynała się właśnie ofensywa thatcherystów na szkolnictwo wyższe w Wielkiej Brytanii i nawet w Oksfordzie perspektywy przedstawiały się ponuro. Uniwersytet Nowojorski miał dla mnie swój urok. Nie będąc nową instytucją – został założony w 1831 roku – jest najmłodszym z wielkich uniwersytetów Nowego Jorku. Będąc czymś mniej niż biblijne „miasto położone na górze”, jest bardziej otwarty na nowe prądy. W odróżnieniu od odosobnionych akademickich światów Oxbridge bezwstydnie reklamuje się jako „globalny” uniwersytet w sercu światowej metropolii.

Ale co właściwie nazwiemy „światową metropolią”? Miasto Meksyk z osiemnastoma milionami mieszkańców czy siedemnastomilionowe São Paulo to nieznośnie rozrośnięte molochy, nie są jednak „światowymi metropoliami”. I odwrotnie, Paryż, którego centralnych dzielnic nigdy nie zamieszkiwało więcej niż dwa miliony ludzi, był „stolicą XIX wieku”. Czy zależy to od liczby odwiedzających dane miasto? W takim razie Orlando na Florydzie byłoby wielką metropolią. Status stolicy niczego nie gwarantuje – pomyślcie o Madrycie czy

Waszyngtonie (dawnym odpowiedniku dzisiejszej Brasilii). Może to nawet nie być kwestia bogactwa – w przewidywalnej przyszłości Szanghaj (piętnaście milionów mieszkańców) i Singapur (pięć milionów) będą się z pewnością zaliczały do najbogatszych miejsc na ziemi. Ale czy staną się „światowymi metropoliami”?

Mieszkałem w czterech takich miastach. Londyn był handlowym i finansowym centrum świata od klęski Napoleona do pojawienia się Hitlera. Paryż, jego odwieczny rywal, stanowił międzynarodowy magnes kulturalny od zbudowania Wersalu do śmierci Alberta Camusa. Apogeum Wiednia trwało chyba najkrócej – jego wzlot i upadek zbiegły się z ostatnimi latami cesarstwa Habsburgów, choć pod względem intensywności przyćmiło inne miasta. Potem przyszła kolej na Nowy Jork.

Miałem to szczęście i pecha zarazem, że poznałem te miasta w okresie ich zmierzchu. W czasach swojej świetności były aroganckie i pewne siebie. U schyłku zarysowały się wyraźniej ich pomniejsze zalety – rzadziej się już słyszało od ich mieszkańców, jakie szczęście ma ktoś, kto tu przebywa. Nawet u szczytu sławy „swingującego Londynu” odczuwało się, że w autopromocji miasta jest coś niepewnego, jakby wiedziało, że to już tylko babie lato.

Z geograficznego punktu widzenia brytyjska stolica zajmuje dziś niewątpliwie centralne miejsce – jej okropne, rozrośnięte lotnisko jest najbardziej ruchliwym portem lotniczym na świecie. Miasto może się poszczycić najlepszym teatrem oraz wielobarwnym kosmopolityzmem, którego brakowało niestety w minionych latach. Wszystko się jednak chwiejnie opiera na niepewnym stosie cudzych pieniędzy – wszak to stolica kapitału.

W Paryżu znalazłem się, kiedy większość ludzi na świecie przestała już mówić po francusku (co Francuzi jakoś nieprędko

sobie uświadomili). Kto umyślnie odbudowałby dzisiaj swoje miasto – jak Rumuni pod koniec XIX wieku – tak, żeby stało się „Paryżem Wschodu”, z *grands boulevards*, jak Calea Victoriei? Francuzi mają słowo, którym określają skłonność do niepewnej introspekcji, do przesłuchiwania siebie: *nombrilisme* – zapatrzenie we własny pępek. Zajmują się tym od ponad stu lat.

Do Nowego Jorku przybyłem na czas, żeby poznać gorzko-słodki smak utraty. W dziedzinie kultury miasto przewodziło światu od 1945 roku do końca lat siedemdziesiątych. Jeśli chciało się zobaczyć nowoczesne malarstwo, zapoznać się z muzyką lub tańcem, przyjeżdżało się do Nowego Jorku Clementa Greenberga, Leonarda Bernsteina, George’a Balanchine’a. Kultura była czymś więcej niż obiektem konsumpcji, ludzie ściągali do Nowego Jorku również po to, żeby ją tworzyć. Manhattan był wtedy skrzyżowaniem, na którym zatrzymywały się ciekawe i oryginalne umysły, przyciągając inne. Z niczym innym nie da się porównać.

Żydowski Nowy Jork też ma za sobą czasy świetności. Kogo dziś obchodzi, co mają co powiedzenia świata albo sobie nawzajem „Dissent” i „Commentary”<sup>\*</sup> (zwłaszcza ten drugi)? W 1979 roku Woody Allen mógł liczyć na to, że szeroka publiczność zrozumie dowcip o fuzji obu pism w jedno – „Dissentary” (patrz: *Annie Hall*). A dzisiaj? Nieproporcjonalnie wiele energii inwestowanej w te i niektóre inne niskonakładowe magazyny poświęca się kwestii „izraelskiej”: może tak wygląda *nombrilisme* w amerykańskim wydaniu.

Intelektualne gangi Nowego Jorku odłożyły noże i udały się do domów na przedmieściach – albo toczą między sobą

---

\* Wpływowe amerykańskie czasopisma polityczno-kulturalne; „Dissent” reprezentuje nurt liberalny i socjaldemokratyczny, „Commentary” – neokonserwatywny.

walki na wydziałach uniwersyteckich, przy całkowitej obojętności reszty świata. To samo oczywiście można powiedzieć o autoreferencyjnych kłótniach rosyjskich czy argentyńskich elit kulturalnych. Ale z tej między innymi przyczyny ani Moskwa, ani Buenos Aires nie liczą się na arenie światowej. Nowojorscy intelektualiści kiedyś się liczyli, większość z nich jednak poszła drogą bywalców wiedeńskiej kawiarni – stali się parodią samych siebie, a ich instytucje i kontrowersje przybrały wymiar lokalny.

Nowy Jork pozostaje jednak światową metropolią. Nie jest wielkim amerykańskim miastem – tym zawsze będzie Chicago. Nowy Jork leży na skraju – tak jak Stambuł czy Bombaj, zawdzięcza swój szczególny urok swarom z metropolitalnym terytorium znajdującym się poza nim. Spogląda na zewnątrz, dlatego przyciąga ludzi, którzy nie najlepiej by się czuli dalej w głębi kraju. Nigdy nie był amerykański w takim sensie, jak Paryż jest francuski. Nowy Jork zawsze był też czymś innym.

Wkrótce po przybyciu do tego miasta zaszedłem do krawca, żeby oddać coś do poprawki. Starszy wiekiem właściciel zakładu, wzięwszy ze mnie miarę, podniósł wzrok: „Dokąd pan oddaje pranie?”. „Do chińskiej pralni na rogu” – odparłem. Podniósł się i obrzucił mnie długim, surowym spojrzeniem, zdzierając warstwy pozostawione przez Paryż, Cambridge, południowy Londyn, Amsterdam i miejsca dalej na wschodzie. „Dlaczego oddaje pan pranie do Chińczyka?”

Dzisiaj zostawiam rzeczy do prania u krawca Josepha, wymieniamy się powiedzonkami w jidysz i wspomnieniami (jego) o żydowskiej Rosji. Dwa kwartały dalej na południe zjadam obiad w barze Pitti, którego właściciel, florentyńczyk, nie uznaje kart kredytowych i podaje najlepsze w Nowym Jorku tokańskie potrawy. Kiedy mi się spieszy, mogę wybrać falafel

u Izraelczyków przecnicę dalej albo, jeszcze lepiej, skwierczącą jagnięcinę u Araba na rogu.

Pięćdziesiąt metrów dalej mam swoich fryzjerów: Giuseppego, Franca i Salvatore. Wszyscy pochodzą z Sycylii, ich „angielski” przypomina Chico Marxa. Od zawsze byli w Greenwich Village, ale nigdy tak naprawdę tu nie osiedli – jakżeby mogli? Przez cały dzień przekrzykują się w sycylijskim dialekcie, zagłuszając swoje główne źródło rozrywki i informacji, włoskojęzyczną stację radiową, nadającą przez okrągłą dobę. Po drodze do domu delectuję się wyśmienitą napoleonką od Claude’a, opryskliwego *pattisiera* z Bretanii, którego córka, dzięki staraniom ojca, ukończyła London School of Economics.

Wszystko to mam w zasięgu dwóch kwartałów od swojego mieszkania – a nie wspomniałem jeszcze o stoisku z gazetami prowadzonym przez Sikha, węgierskiej piekarni i greckiej knajpce (tak naprawdę albańskiej, ale udajemy, że o tym nie wiemy). Trzy ulice dalej na wschód znajduje się miniatura cesarstwa Habsburgów: ukraińska restauracja, kościół unicki, polski sklep spożywczy, no i oczywiście tradycyjne żydowskie delikatesy, oferujące wschodnioeuropejskie specjały z koszerną etykietą. Brakuje tylko wiedeńskiej kawiarni – tej trzeba szukać, co znamienne, w bogatych dzielnicach miasta.

Taką różnorodność można bez wątpienia spotkać i w Londynie, ale kultury brytyjskiej stolicy są obecnie zbałkanizowane według dzielnic i poziomu dochodów – Canary Wharf, ośrodek finansowy, dystansuje się od etnicznych enklaw śródmieścia. Tymczasem ode mnie spokojnie dojdzie się piechotą na Wall Street. Paryż ma swoje getta, gdzie wnuki algierskich *gastarbeiterów* są za pan brat z ulicznymi sprzedawcami z Senegalu, Amsterdam – dzielnice indonezyjskie i surinamskie, ale są to wszystko konsekwencje przeszłości imperium,

określane dziś przez Europejczyków mianem „kwestii imigrantów”.

Nie należy idealizować. Jestem pewien, że większość sprzedawców i rzemieślników z mojego sąsiedztwa nigdy się nie spotkała, niewiele mieliby sobie nawzajem do powiedzenia. Na noc wracają do domu do Queens lub New Jersey. Gdybym powiedział Josephowi albo Salowi, że mają szczęście mieszkać w „światowej metropolii”, zapewne by prychnęli. Ale tak właśnie jest – podobnie jak straganiarze z Hoxton na początku dwudziestego wieku byli obywatelami tego samego kosmopolitycznego Londynu, który Keynes uwiecznił w *The Economic Consequences of the Peace*, choć nie mieliby pojęcia, o czym pisał.

Pewnego razu na nowojorskim przyjęciu zapytano mnie, jakie są według mnie trzy największe atuty Ameryki. Odparłem bez wahania: Thomas Jefferson, Chuck Berry i „New York Review of Books”. Żeby nie kazano mi ich szeregować, wspomniałem też o chwalebnej Piątej Poprawce. Nie żartowałem. Thomas Jefferson nie wymaga wyjaśnień (choć w dzisiejszej atmosferze cenzurowania podręczników przydałaby mu się jakaś obrona). Chuck Berry nie wymaga przeprosin. Idealnym uosobieniem utrzymującego się wpływu miasta na arenie międzynarodowej jest jednak „NYRB”, ostatnie może, co przetrwało z dni świetności Nowego Jorku.

Nieprzypadkowo mamy dzisiaj „Londyński Przegląd Książek”, „Budapeszteński Przegląd Książek”, „Ateński Przegląd Książek”, projekt „Europejskiego Przeglądu Książek”, a nawet „Żydowski Przegląd Książek”. Każdy na swój sposób stanowi ukłon złożony wpływowi imiennika i prekursora. A jednak mu nie dorównują. Dlaczego? „Londyński Przegląd Książek” jest na swój sposób wzorowy (choć powinienem powstrzymać się od stawiania ocen, jako że sam do niego od czasu do czasu

pisują), ale stanowi wytwór Londynu, odzwierciedlający metropolitalną lewicowość, tak bardzo angielską, czy wręcz typową dla Oxbridge, że nie sposób jej pomylić z niczym innym. Zamówiony u mnie przez budapeszteński magazyn artykuł o Györgym Konrãdzie nie ujrzał światła dziennego z powodu obrazy majestatu. Próby powołania do życia „Paryskiego Przeglądu Książek” spaliły na panewce, panuje tam bowiem przekonanie, że czasopismo musi być trybuną dla przechwałek wydawców i wymiany uprzejmości między literatami.

„New York Review”<sup>1</sup> wyróżnia się tym, że nie skupia się na sprawach Nowego Jorku ani też nie pisują doń głównie jego mieszkańcy. Podobnie jak samo miasto, nie ma bezpośredniego związku z miejscem, w którym powstał. Jeżeli określamy Nowy Jork jako światową metropolię, to nie ze względu na ukraińskie restauracje na Drugiej Alei, a nawet nie z powodu Ukraińców, którzy skolonizowali Brighton Beach. Można ich znaleźć w wielu innych miastach, od Cleveland po Chicago. Chodzi o to, że wykształceni Ukraińcy w Kijowie czytają najbardziej znany nowojorski periodyk.

Przeżywamy schyłek wieku Ameryki. Ale w jaki sposób rozkład państwa czy imperium wpływa na cykl życiowy światowej metropolii? Współczesny Berlin robi karierę jako stolica kultury, choć jest stolicą państwa średniej wielkości, zaabsorbowanego raczej własnymi sprawami. Paryż, jak mogliśmy się przekonać, zachowywał swój czar przez prawie dwieście lat, jakie upłynęły, odkąd Francja zaczęła podupadać.

Nowy Jork – miasto, które bardziej zadomowione jest w szerokim świecie niż we własnej ojczyźnie – może wypaść jeszcze lepiej. Jako Europejczyk bardziej czuję się sobą w Nowym Jorku niż w na poły odłączonym brytyjskim satelicie Unii Europejskiej. Mam brazylijskich i arabskich przyjaciół, którzy czują to samo. Oczywiście każdy z nas ma się na co skarżyć.



O ile nie wyobrażałbym sobie życia w innym mieście, jest wiele miejsc, w których, z różnych powodów, wołałbym być. Ale to bardzo nowojorskie uczucie. Przez przypadek stałem się Amerykaninem, ale nowojorczykiem sam postanowiłem zostać. Być może zawsze nim byłem.

1. Ujawnię się: czasami publikuję na jego łamach.

### **Ludzie z pogranicza**

„Tożsamość” to niebezpieczne słowo. W dzisiejszych czasach trudno o jego przyzwoite zastosowanie. Mandaryni Nowej Partii Pracy w Wielkiej Brytanii – którym nie wystarczyło, że zainstalowali więcej kamer monitoringu niż którykolwiek kraj demokratyczny – starają się (jak dotąd bez powodzenia) pod pretekstem „wojny z terroryzmem” wprowadzić przymusowe dowody osobiste. We Francji i Holandii sztucznie wywoływane „narodowe debaty” na temat tożsamości nieudolnie maskują polityczne wykorzystywanie antyimigranckich nastrojów. Są zarazem ewidentnym wybiegiem, mającym skierować przeciw mniejszości niepokoje o podłożu ekonomicznym. We Włoszech polityka tożsamości sprowadziła się w grudniu 2009 roku do rewizji domów w gminie Brescia w poszukiwaniu niepożądanых ciemnych twarzy. W tym samym czasie lokalne władze bezwstydnie obiecywały „białe Boże Narodzenie”.

W świecie akademickim słowo „tożsamość” używane jest w sposób porównywalnie szkodliwy. Studenci mają dziś do wyboru cały szereg zajęć dotyczących tożsamości: *gender studies*, studia kobiece, studia poświęcone Amerykanom pochodzącym z rejonu Azji i Pacyfiku i dziesiątki innych. Wadą tych

wszystkich paraakademickich programów nie jest to, że zajmują się daną mniejszością etniczną czy geograficzną, ale że zachęcają członków tej mniejszości do studiów nad samymi sobą – negując tym samym cele liberalnej edukacji i umacniając sekciarską mentalność getta, którą mają jakoby podwajać. Zbyt często programy te służą stworzeniu miejsc pracy dla realizujących je osób, a zainteresowanie sprawami zewnętrznymi jest aktywnie zwalczane. Czarni studiują czarnych, geje – gejów i tak dalej.

Jak to często bywa, gust akademicki podąża za modą. Wspomniane programy są ubocznymi produktami wspólnotowego solipsyzmu. Dzisiaj wszyscy jesteśmy jakiegoś „pochodzenia”, okreśłani opisowo – Amerykanie pochodzenia irlandzkiego, rdzenni Amerykanie, Afroamerykanie itp. Większość ludzi nie mówi już językiem swych przodków, niewiele wie o kraju, skąd przybyli, zwłaszcza gdy rodzina pochodzi z Europy. Ale mając za sobą pokolenie chełpliwego cierpiętnictwa, obnoszą się z tą okrojoną wiedzą jak z dumną oznaką tożsamości: jesteś tym, co wycierpieli twoi dziadowie. W tej konkurencji wyróżniają się Żydzi. Wielu amerykańskich Żydów ma, a jest to smutne, nikłe pojęcie o własnej religii, kulturze, tradycyjnych językach lub historii. Wiedzą jednak o Auschwitz i to wystarczy.

To pławienie się w ciepłej kąpieli tożsamości zawsze było mi obce. Dorastałem w Anglii, myślę i piszę po angielsku. Londyn, gdzie się urodziłem, pozostaje mi bliski i znajomy pomimo wszystkich zmian, których był świadkiem przez dziesięciolecia. Dobrze znam ten kraj, podzielam nawet niektóre z tutejszych uprzedzeń i skłonności. Kiedy jednak myślę lub mówię o Anglikach, instynktownie używam trzeciej osoby. Nie utożsamiam się z nimi.

Po części wynika to może z faktu, że jestem Żydem. Kiedy dorastałem, Żydzi stanowili jedyną znaczącą mniejszość w chrześcijańskiej Wielkiej Brytanii. Panowało w stosunku do nich łagodne uprzedzenie kulturowej natury, co do którego wszakże nie sposób się było pomylić. Z drugiej strony, moi rodzice raczej dystansowali się od zorganizowanej społeczności żydowskiej. Nie obchodziliśmy żydowskich świąt (zawsze miałem choinkę i jajka wielkanocne), nie stosowaliśmy się do rabinicznych nakazów, z judaizmem utożsamialiśmy się wyłącznie podczas piątkowej kolacji u dziadków. Dzięki angielskim szkołom lepiej znam liturgię anglikańską niż wiele obzędów i praktyk judaizmu. Jeśli więc wyrosłem na Żyda, to z pewnością nieżydowskiego.

Czy ten luźny związek z angielskością wziął się stąd, że mój ojciec urodził się w Antwerpii? Być może, ale jemu też brakowało „tożsamości” w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Nie był obywatelem Belgii, lecz dzieckiem bezpieczeństwa imigrantów, którzy przybyli do Antwerpii z imperium carów. Dziś powiedzielibyśmy, że urodzili się w krajach, które później stały się Polską i Litwą. Żadne z tych nowo powstałych państw nie podałyby ręki – a tym bardziej nie przyznało obywatelstwa – parze belgijskich Żydów. Moja matka co prawda (tak jak ja) urodziła się w Londynie, w East Endzie, zaliczała się więc do prawdziwych Cockneyów, ale jej rodzice pochodzili z Rosji i Rumunii. Nic o tych krajach nie wiedziała i nie znała ich języków. Dziadkowie, jak setki tysięcy żydowskich imigrantów, porozumiewali się w jidysz, języku, który ich dzieciom na nic już nie mógł się przydać.

Nie byłem więc ani Anglikiem, ani Żydem, czułem jednak, że na różne sposoby i w różnych momentach jestem i jednym, i drugim. Może takie genetyczne identyfikacje są mniej istotne, niż przypuszczamy? A co powiedzieć o związkach, które

z latami dobrowolnie wybrałem – czy jestem francuskim historykiem? Nie da się zaprzeczyć, że studiowałem historię Francji i dobrze mówię po francusku, ale w odróżnieniu od większości moich anglosaskich kolegów po fachu, badaczy Francji, nigdy nie pokochałem Paryża i zawsze miałem wobec niego ambiwalentne uczucia. Zarzucano mi, że mówię, a nawet piszę jak francuski intelektualista – wątpliwy komplement. Jednakże francuscy intelektualiści, z wyjątkiem paru wybitnych, są mi raczej obojętni. Chętnie zostałbym wykluczony z ich klubu.

A co z tożsamością polityczną? Jako dziecko żydowskich samouków wychowanych w cieniu rewolucji rosyjskiej, zawarłem od najmłodszych lat pobieżną znajomość z tekstami marksistowskimi i historią w socjalistycznej wersji – wystarczyło, żebym nabrał odporności na co bardziej szalone nurty nowej lewicy lat sześćdziesiątych i zdecydowanie pozostał w obozie socjaldemokratów. Dziś, jako „publiczny intelektualista” (etykieta, która niewiele wyjaśnia), jestem związany z lewicą – cokolwiek z niej pozostało.

Ale na uniwersytecie wielu kolegów uważa mnie za reakcyjnego dinozaura. Nietrudno to zrozumieć: uczę tekstów, które pozostały po dawno zmarłych Europejczykach, źle toleruję „autoekspresję” jako substytut klarowności (sam wysiłek moim zdaniem nie zastępuje osiągnięcia, uważam, że moja dyscyplina opiera się przede wszystkim na faktach, a nie „teorii”), sceptycznie się zapatruję na większość tego, co dziś uchodzi za naukę historii. Według dominujących akademickich obyczajów zaliczam się do niepoprawnych konserwatystów. Jak więc naprawdę jest?

Jako urodzony w Anglii badacz historii Europy wykładający w Stanach Zjednoczonych, jako Żyd, któremu nie zawsze odpowiada to, co we współczesnej Ameryce uchodzi za

„żydowskość”, jako socjaldemokrata skłócony często z moimi określającymi się w ten sposób radykalnymi kolegami powinienem się chyba zadowolić znajomym obelżywym przydomkiem „kosmopolity bez korzeni”. Wydaje mi się to jednak za mało dokładne, zbyt umyślnie uniwersalne w swoich ambicjach. Jestem aż za dobrze zakorzeniony w rozmaitych, sprzecznych tradycjach.

W każdym razie niepokoją mnie tego rodzaju etykiety. Nasza wiedza o ruchach ideologicznych i politycznych wystarczy, by nieufnie traktować wykluczającą solidarność we wszystkich jej odmianach. Należy dystansować się nie tylko od jawnie niesympatycznychizmów – faszyzmu, jingoizmu, szowinizmu – ale i od bardziej kuszących wersji: oczywiście komunizmu, lecz także nacjonalizmu i syjonizmu. Jest jeszcze duma narodowa. Dwieście lat z górą po tym, jak po raz pierwszy sformułował to Samuel Johnson, patriotyzm – o czym może zaświadczyć każdy, kto ostatnią dekadę spędził w Ameryce – wciąż stanowi ostatnie schronienie łajdaka.

Wolę pogranicze, miejsce, gdzie kraje, społeczności, lojalności, sympatie i korzenie zahaczają o siebie, gdzie kosmopolityzm jest nie tyle tożsamością, ile normalnym stanem. Kiedyś było wiele takich miejsc. Jeszcze długo w dwudziestym wieku istniały liczne miasta skupiające różne społeczności i języki – często skłócone ze sobą, od czasu do czasu ścierające się, ale jakoś współistniejące. Jednym z nich było Sarajewo, innym Aleksandria. Zaliczały się do nich Tanger, Saloniki, Odessa, Bejrut i Sztambuł, a także mniejsze miejscowości, jak Czerniowce czy Użhorod. Według standardów amerykańskiego konformizmu Nowy Jork przypomina pewne aspekty tych nieistniejących już kosmopolitycznych miast. Dlatego tutaj mieszkam.

W stwierdzeniu, że zawsze znajdujemy się na pograniczu, na marginesie, jest co prawda coś z zarozumiałstwa. Taki stan dostępny jest wyłącznie komuś, kto cieszy się szczególnymi przywilejami, Większość ludzi przez większość czasu raczej się nie wyróżnia – to niebezpieczne. Jeśli wszyscy inni są szyitami, lepiej być szyitą. Jeśli wszyscy mieszkańcy Danii są wysocy i biali, któż – jeśliby miał wybór – wolałby być niski i śniady? Nawet w otwartej demokracji trzeba mieć silny charakter, żeby z własnej woli postępować na przekór swojej społeczności, zwłaszcza jeśli jest mała.

Jeśli ktoś jednak urodził się tam, gdzie przecinają się marginesy, i dzięki szczególnej instytucji, jaką jest etat na uczelni, może w takim miejscu pozostać, wydaje mi się to niewątpliwie korzystnym układem. Co wiedzieliby o Anglii ci, którzy znają wyłącznie Anglię? Gdyby identyfikacja z grupą pochodzenia miała podstawowe znaczenie dla mojego poczucia tożsamości, zawahałbym się prawdopodobnie przed tak ostrym krytykowaniem Izraela – „państwa żydowskiego”, „mojego ludu”. Intelktualiści o bardziej rozwiniętym poczuciu organicznej przynależności instynktownie się cenzurują – dwa razy pomyślą, zanim zaczną publicznie prać brudy.

Inaczej niż Edward Said uważam, że potrafię zrozumieć tych, którzy wiedzą, co to znaczy kochać jakiś kraj, umiem nawet wczuć się w ich sytuację. Takie uczucia nie są dla mnie czymś niepojętym, po prostu ich nie podzielam. Ale z biegiem lat takie zdecydowane, bezwarunkowe rodzaje lojalności – wobec kraju, Boga, idei czy człowieka – zaczęły mnie przerażać. Cienka powłoka cywilizacji zależy od iluzorycznej być może wiary w nasze wspólne człowieczeństwo. Czy jest jednak iluzoryczna, czy też nie, dobrze będzie się jej trzymać. Ta właśnie wiara – hamująca złe postęпки – pierwsza pada ofiarą wojen lub zamieszek.

Przypuszczam, że wkraczamy w niespokojny czas. Nie tylko terroryści, bankierzy czy klimat zniszczą nasze poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Sama globalizacja – ta „płaska” ziemia z tak wielu fantazji o pokoju – stanie się źródłem strachu i niepewności dla miliardów ludzi, którzy zwrócą się do swoich przywódców o obronę. „Tożsamości” będą skąpo wydzielane, gdy niezadowoleni i wykorzenieni zaczną się dobijać do wciąż rosnących murów grodzonych osiedli, od Delhi po Dallas.

Bycie „Duńczykiem”, „Włochem”, „Amerykaninem” czy „Europejczykiem” będzie oznaczało nie tylko tożsamość, stanie się równoznaczne z odrzuceniem i napiętnowaniem tych, których wyklucza. Państwo, które bynajmniej nie zniknie, być może umocni swoją pozycję: przywileje związane z obywatelstwem, ochronę zapewnianą przez prawo do pobytu będzie dzierżyć jak atuty. Nietolerancyjni demagodzy w starych demokracjach zażądają „testów” – z wiedzy, języka, poglądów – by ustalić, czy zdesperowani przybysze zasługują na brytyjską, holenderską lub francuską „tożsamość”. Już to robią. W tej wspaniałej nowej epoce będzie nam brak tych tolerancyjnych, tych z marginesu: tych z pogranicza. Mojego ludu.



**Toni**

Nigdy nie poznałem Toni Avegael. Urodziła się w lutym 1926 roku w Antwerpii i tam spędziła większość życia. Byliśmy spokrewnieni: Toni to cioteczna siostra mojego ojca. Dobrze pamiętam jej starszą siostrę Lily, wysoką, smutną panią, którą odwiedzałem z rodzicami w małym domku gdzieś w północno-wschodnim Londynie. Dawno straciłem z nią kontakt, a szkoda.

Siostry Avegael (była jeszcze średnia, Bella) przypominam sobie, ilekroć pytam siebie – albo ktoś mnie pyta – co to znaczy być Żydem. Na to pytanie nie ma uniwersalnej odpowiedzi. Zawsze jest to kwestia, co znaczy być Żydem dla mnie – nieco odmienna od znaczenia tego faktu dla moich żydowskich pobratymców. Ludziom z zewnątrz może się to wydać tajemnicze. Protestant niewierzący w Pismo Święte, katolik odrzucający autorytet papieża czy muzułmanin nieuznający Mahometa za proroka to kategorie nie-spójne. Ale Żyd odrzucający autorytet rabinów pozostaje Żydem (choćby nawet na mocy ustalonej przez rabinów definicji, jako urodzony z matki Żydówki). Kto może mu powiedzieć, że nie jest?

Nie uznaję autorytetu rabinów, i to wszystkich (dlatego mam po swojej stronie rabiniczny autorytet). Nie uczestniczę w życiu gminy, nie praktykuję żydowskich rytuałów. Nie staram się o utrzymywanie kontaktów towarzyskich szczególnie z Żydami, a większość moich żon nie była Żydówkami. Nie jestem „byłym” Żydem, bo nigdy nie stosowałem się do wymogów judaizmu. Nie „kocham Izraela” (ani we współczesnym sensie, ani w tradycyjnym, odnoszącym się do narodu żydowskiego) i nie obchodzi mnie, czy uczucie to jest odwzajemniane. Kiedy jednak pytają mnie, czy jestem Żydem, bez wahania odpowiadam twierdząco i wstyd by mi było udzielić innej odpowiedzi.

Pozorny paradoks tej sytuacji stał się dla mnie jaśniejszy, odkąd znalazłem się w Nowym Jorku. Tutaj osobliwe aspekty żydowskiej tożsamości uwydatniają się wyraźniej. Większość znanych mi amerykańskich Żydów ma raczej niewielkie pojęcie o żydowskiej kulturze czy historii; nie znają jidysz ani hebrajskiego i nic sobie z tego nie robią, rzadko biorą udział w ceremoniach religijnych, a kiedy już w nich uczestniczą, zachowują się w dziwaczny dla mnie sposób.

Wkrótce po przyjeździe do Nowego Jorku zostałem zaproszony na bar micwę. W drodze do synagogi zorientowałem się, że zapomniałem kapelusza, i wróciłem po niego do domu. Tymczasem okazało się, że podczas krótkiej, jakby markowanej ceremonii religijnej prawie nikt nie miał nakrycia głowy. Co prawda była to synagoga „reformowana”, a ja powinienem był wiedzieć: żydzi reformowani (w Anglii nazywani „liberalnymi”) od ponad pół wieku mogą nie nakrywać głowy w synagodze. Niemniej jednak kontrast między obłudnym odprawianiem rytuału a wybiórczym odejściem od ustalonych tradycji zaszokował mnie wtedy i szokuje nadal. Jest to klucz do kompensacyjnego charakteru żydowskiej tożsamości w Ameryce.

Kilka lat temu brałem udział w galowym przyjęciu charytatywnym na Manhattanie, na które zaproszono sławy świata kultury i dziennikarstwa. W połowie imprezy pewien pan w średnim wieku nachylił się przez stół i utkwiał we mnie wzrok. „Tony Judt? Niech pan przestanie wypisywać te okropne rzeczy o Izraelu!” Przyzwyczajony do takich przesłuchań zapytałem, co takiego okropnego wyczytał w moich publikacjach. „Nie wiem. Może ma pan rację – nigdy nie byłem w Izraelu. Ale my, Żydzi, musimy trzymać się razem. Może pewnego dnia będziemy potrzebować Izraela”. Nawrót eliminacyjnego antysemityzmu był tylko kwestią czasu – niewykluczone, że nie da się już żyć w Nowym Jorku.

Uznałem za dziwne – i tak mu powiedziałem – żeby amerykańscy Żydzi mieli zabezpieczać się terytorialną polisą na Bliskim Wschodzie. Przecież nie jesteśmy w Polsce 1942 roku. Jeszcze dziwniejsza była sceneria, w jakiej odbywała się ta rozmowa: przytłaczającą większość osób odbierających tego wieczoru nagrody stanowili Żydzi. Żydom w Ameryce lepiej się powodzi, są bardziej zintegrowani, poważani i wpływowi niż gdziekolwiek i kiedykolwiek w swoich dziejach. Dlaczego więc współczesna żydowska tożsamość w Stanach Zjednoczonych ma tak obsesyjnie ścisły związek ze wspomnieniami – i oczekiwaniem – własnej zagłady?

Gdyby nie Hitler, judaizm naprawdę mógłby zaniknąć. Gdy w drugiej połowie XIX wieku w większości krajów Europy przełamana została izolacja Żydów, religijne, wspólnotowe i rytualne granice judaizmu zaczęły erodować: wieki wzajemnej obcości i narzucanej z obu stron separacji zbliżały się do końca. Asymilacja – poprzez migracje, małżeństwa i przenikanie kultur – była całkiem zaawansowana.

Gdy spoglądamy z dzisiejszej perspektywy, przejściowe skutki mogą się okazać niejednoznaczne. W Niemczech wielu

Żydów uważało się za Niemców – i z tego właśnie powodu byli nielubiani. W Europie Środkowej, zwłaszcza w niereprezentatywnym trójkącie miast – Pragi, Budapesztu i Wiednia – świecka żydowska inteligencja, tak wpływowa w wolnych zawodach, stworzyła wyjątkową podstawę dla postwspólnotowego życia Żydów. Ale świat Kafki, Krausa i Zweiga był kruchy, zależny od jedyńskich w swoim rodzaju warunków, które panowały w rozpadającym się liberalnym imperium. Okazał się bezbronny wobec burz etnonacjonalizmu. Szukającym kulturowych korzeni oferował niewiele poza żalem i nostalgią. Dominującą trajektorią dla Żydów w tamtych latach była asymilacja.

Widzę to na przykładzie własnej rodziny. Moi dziadkowie wyszli ze sztetlu, znaleźli się w nieprzyjaznych, obcych środowiskach – takie doświadczenie umocniło na pewien czas defensywną żydowską samoświadomość. Jednakże dla ich dzieci to samo środowisko było synonimem normalnego życia. Pokolenie europejskich Żydów, do którego należeli moi rodzice, zaniedbało znajomość jidysz, nie spełniało oczekiwań swoich imigranckich rodzin, lekceważyło rytuały i ograniczenia narzucane przez wspólnotę. Jeszcze w latach trzydziestych można było zasadnie przypuszczać, że ich dzieciom – mojemu pokoleniu – zostanie już tylko trochę wspomnień o „starym kraju”, coś jak związana z makaronem i Dniem Świętego Patryka nostalgia Amerykanów pochodzenia włoskiego i irlandzkiego, i mniej więcej tyle znacząca.

Ale stało się inaczej. Pokolenie wyemancypowanych młodych Żydów, z których wielu chętnie sobie wyobrażało, że w pełni się zintegrują z postwspólnotowym światem, zostało zmuszone do przyjęcia na powrót judaizmu jako tożsamości obywatelskiej, której nie mogli się już swobodnie wyrzec. Religia – niegdyś podstawa żydowskiego doświadczenia – została jeszcze bardziej zepchnięta na margines. Po Hitlerze syjonizm

(przedtem wybierany przez sekciarską mniejszość) stał się realistyczną opcją. Żydowskość stała się atrybutem o charakterze świeckim, przyznawanym z zewnątrz.

Od tamtej pory żydowska tożsamość we współczesnej Ameryce nabrała osobliwych cech, przywodzących na myśl dybuka: żyje dzięki podwójnemu doświadczeniu zbliżenia się do śmierci. Wytworzyła się wrażliwość na dawne cierpienia, która nawet innym Żydom może się wydać nieproporcjonalna. Wkrótce po opublikowaniu eseju o przyszłości Izraela zostałem zaproszony do Londynu, by udzielić wywiadu „The Jewish Chronicle”, tamtejszej liczącej się żydowskiej gazecie. Szedłem na spotkanie przejęty trwogą, oczekując kolejnych obelg z powodu niedostatecznego identyfikowania się przeze mnie z Narodem Wybranym. Ku mojemu zaskoczeniu dziennikarka wyłączyła mikrofon. „Zanim zaczniemy – powiedziała – chciałabym pana o coś zapytać. Jak pan wytrzymuje z tymi okropnymi amerykańskimi Żydami?”

Ale może ci „okropni amerykańscy Żydzi” wbrew sobie są na tropie czegoś istotnego. Co bowiem może znaczyć – gdy wiara osłabła, prześladowania się skończyły, wspólnota się podzieliła – obstawanie przy swoim żydostwie? Państwo „żydowskie”, gdzie nie ma się zamiaru żyć i którego nietolerancyjna elita odmawia coraz większej liczbie Żydów oficjalnego uznania? Kryterium przynależności etnicznej, na które w każdym innym celu człowiek krępowałby się powołać?

Były czasy, kiedy bycie Żydem oznaczało sposób życia. W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych religia już nas nie określa: tylko 46 procent Żydów należy do gmin, zaledwie 27 procent przynajmniej raz w miesiącu uczęszcza do synagogi, a nie więcej niż 21 procent członków gmin (10 procent wszystkich Żydów) stanowią ortodoksi. Krótko mówiąc, „starowiercy” to tylko mniejszość<sup>1</sup>. Współcześni Żydzi żyją

zachowaną pamięcią. Bycie Żydem sprowadza się w znacznej mierze do wspomnienia, co kiedyś znaczyło być Żydem. Ze wszystkich rabinicznych nakazów najtrwalszym i najbardziej wyróżniającym się jest *Zachor!* – pamiętaj! Większość Żydów przyswoiła go sobie jednak bez żadnego poczucia, czego właściwie od nich wymaga. Jesteśmy ludźmi, którzy pamiętają o... czymś.

O czym więc powinniśmy pamiętać? O latkes, które prababcia smażyła kiedyś w Pilwizkach? Nie sądzę – poza danym miejscem, odarte z symboliki, to zwykłe racuchy z jabłkami. Opowieści z dzieciństwa o strasznych Kozakach (dobrze je pamiętam)? Jakie echa mogą budzić w pokoleniu, które na oczy nie widziało Kozaka? Pamięć to kiepska podstawa dla zbiorowego przedsięwzięcia. Władza historycznego nakazu, pozbawiona współczesnych odniesień, staje się niejasna.

W tym sensie amerykańscy Żydzi, pogrążając się w obsesji na punkcie Holokaustu, mają instynktownie rację. Holokaust dostarcza im odniesienia, liturgii, przykładu i wskazówki moralnej, poza tym jest historycznie bliski. A jednak popełniają straszliwy błąd. Mylą sposób pamiętania z powodem, żeby pamiętać. Czy naprawdę jesteśmy Żydami z tej tylko przyczyny, że Hitler chciał wymordować naszych dziadków? Jeśli nie zdołamy wznieść się ponad to, nasze wnuki raczej nie będą miały powodu, żeby się z nami identyfikować.

W dzisiejszym Izraelu Holokaust oficjalnie służy przypomnieniu, jak pełni nienawiści potrafią być nie-Żydzi. Jego upamiętnianie w diasporze wykorzystywane jest w podwójnym celu: dla uzasadniania bezkompromisowej izraelofilii i umacniania łzawego poczucia własnej wartości. Moim zdaniem jest to groźne nadużywanie pamięci. Co by było, gdyby Holokaust posłużył nam do tego, by możliwie jak najbardziej zbliżyć się do lepszego zrozumienia tradycji, na którą się powołujemy?

Wspominanie stałoby się wtedy częścią szerszego społecznego obowiązku, niedotyczącego wyłącznie Żydów. Dość chętnie uznajemy obowiązki, jakie mamy wobec ludzi nam współczesnych, ale co z obowiązkami wobec tych, którzy przyszli przed nami? Gładko rozprawiamy o tym, co się od nas należy przyszłości – ale co z naszym długiem wobec przeszłości? Wyjąwszy prymitywnie praktyczne sposoby – zachowywanie instytucji czy systemów – możemy ten dług w pełni obsłużyć w jeden tylko sposób: pamiętając i przekazując dalej obowiązek pamiętania.

W odróżnieniu od mojego rozmówcy nie spodziewam się powrotu Hitlera. Nie chcę, żeby nawiązanie do jego zbrodni ucinało rozmowy – nie chcę, żeby żydostwo sprowadzało się do biernej obojętności na zwątpienie czy samokrytykę i pograżania się w uzalaniu nad sobą. Wolę odwoływać się do aspektów żydowskiej przeszłości odpornych na ortodoksję – to otwiera rozmowę, zamiast ją kończyć. Judaizm jest dla mnie pewnym rodzajem wrażliwości, wyrażającej się w zbiorowym wątpieniu w siebie i mówieniu niewygodnej prawdy: przekorną niezręcznością i kontestacją, z których byliśmy kiedyś znani. Nie wystarczy podważać cudzych konwencji, powinniśmy być także najbardziej bezlitosnymi krytykami naszych własnych. Wobec tej właśnie tradycji czuję się zobowiązany. Dla tego jestem Żydem.

Toni Avegael została w 1942 roku wywieziona do Auschwitz i tam zagazowana jako Żydówka. Nadano mi jej imię.

1. Zob. National Jewish Population Survey 2000–2001, s. 7; zob. <http://www.jewishfederations.org/getfile.asp?id=3905>.





**przesłanie**



### **Czarodziejskie góry**

Szwajcaria nie jest krajem do kochania. Deklarowanie ciepłych uczuć wobec Szwajcarów lub ich ojczyzny można porównać do przyznania się do tęsknoty za papierosem albo serialem *The Brady Bunch*. Od razu widać, że mamy do czynienia z kimś, kto w sposób niewybaczalny ignoruje wszystkie przemiany, jakie nastąpiły przez ostatnie trzydzieści lat, i jest nieuleczalnie tradycyjny w najgorszym tego słowa znaczeniu. Kiedy zdradzam się, że czuję słabość do tego kraju, młodzi uprzejmie ziewają, liberalni koledzy patrzą spode łba („Nie słyszałeś o wojnie?”), rodzina uśmiecha się z pobłażaniem: „A on znowu o tym samym!”. Nie przejmuję się. Kocham Szwajcarię.

Skąd te zastrzeżenia? No cóż, Szwajcaria to góry. Ale jeśli ktoś pragnie Alp, to Francuzi mają wyższe, we Włoszech lepiej karmią, a śnieg wypada taniej w Austrii. Najgorsze zaś, że w Niemczech ludzie są przyjaźniej nastawieni. A co do Szwajcarów – „Braterska miłość, pięćset lat demokracji i pokoj i co stworzyli? Zegar z kukułką”.

Jest jeszcze gorzej. Szwajcaria dobrze wyszła na drugiej wojnie światowej, handlując z Berlinem i piorąc zagrabione

aktywa. To Szwajcarzy namówili Hitlera, żeby paszporty Żydów oznaczał literą „J”, a całkiem niedawno, dając żenujący pokaz recydywy szowinizmu, przegłosowali zakaz budowy minaretów (w kraju, gdzie są zaledwie cztery, a prawie wszyscy osiadli tam muzułmanie to świeccy uchodźcy z Bośni). No i jeszcze kwestia osobników uchylających się od płacenia podatków, choć nigdy nie pojmowałem, dlaczego usługi świadczone przez szwajcarskie banki garstce bogatych cudzoziemskich przestępców mają być czymś gorszym od tego, co Goldman Sachs zrobił z dochodami z milionów uczciwych amerykańskich dolarów pochodzących z podatków.

Dlaczego lubię ten kraj? Przede wszystkim dlatego, że jego wady są zaletami. Nudny? To prawda, ale „nudny” może też znaczyć bezpieczny, schludny, czysty. Kilka lat temu poleciałem do Genewy z moim młodszym, wówczas dziewięcioletnim synem. Po wylądowaniu zeszliśmy na dworzec – jeden z tych, które Szwajcarzy tak przewidująco lokują bezpośrednio pod lotniskami – i w oczekiwaniu na pociąg usiedliśmy w kawiarni. „Jak tu czysto!” – zauważył mały. I rzeczywiście, nieskazitelna czystość rzucała się w oczy. Może nie komuś, kto przybył z Singapuru czy Liechtensteinu, ale na pewno przyzwyczajonemu do lotniska im. JFK dziecku, którego jedyny jak dotąd kontakt z europejskim lotniskiem ograniczył się do niechlujnego centrum handlowego na Heathrow.

Szwajcarzy mają obsesję na punkcie czystości. Kiedyś w pociągu z Interlaken starsza pani zganiła mnie, że przez chwilę oparłem skraj lewej stopy o róg przeciwległego siedzenia. W Anglii, gdzie nikt by tego nie zauważył ani się nie przejął, byłbym zapewne zaskoczony taką beczelną ingerencją. Ale w Szwajcarii poczułem się zażenowany, że naruszyłem oczywisty kodeks obywatelski – jakbym na równi z innymi ponosił odpowiedzialność za dobro publiczne. To irytujące,

kiedy współobywatele przywołują człowieka do porządku, ale bezduszna obojętność ma na dalszą metę o wiele szkodliwsze skutki.

Szwajcaria stanowi zdumiewający przykład możliwości – a tym samym korzyści – jakie stwarza łączenie różnych tożsamości. Nie mam tu na myśli mieszanki języków (niemieckiego, francuskiego, włoskiego, retoromańskiego) czy uderzającej – i często niedostrzeganej – różnorodności geograficznej. Chodzi mi o kontrast. W Niemczech wszystko sprawnie działa, nie ma więc różnorodności będącej pokarmem dla duszy. Włochy są tak bardzo interesujące, że nie dają wytchnienia. Szwajcaria natomiast pełna jest kontrastów: sprawna, ale prowincjonalna, piękna, lecz bez wyrazu, gościnna, lecz pozbawiona czaru – przynajmniej dla cudzoziemców, od których w tak dużej mierze zależy jej dobrobyt.

Najbardziej liczy się kontrast między zmiennym powierzchnym blichtrzem a tym, co trwałe i kryje się w głębi. Kilka lat temu wybrałem się na szczyt Małego Matterhornu, do popularnego narciarskiego kurortu na lodowcu nad Zermatt. Tam, na cętkowanych słońcem zboczach, zdobiąc ławy w absurdalnie drogiej restauracji, włoskie kurewki w mikroskopijnych bikini i futrzanych botkach oblegały Rosjan o grubo ciosanych twarzach, którzy helikopterami przylecieli na szczyt, żeby obnosić się z najnowszym ekwipunkiem narciarskim. *Debbie podbija Davos*: Szwajcaria w najgorszym wydaniu.

Wtem, jakby znikąd, wychynęło zza rogu trzech niskich starszych panów ubranych w wełnę i skórę. Praktyczne kapelusze ocieniały ich rumiane, poważne twarze. Nie wypuszczając z rąk solidnych kijków do wspinaczki, umieścili na ławie swoje rozłożyste siedzenia i rozwiązali podniszczone buty. Znakomicie obojętni na rozgrywającą się przed nimi *dolce*

*vita*, sękaci wspinacze pogratulowali sobie w niezrozumiałym Szwajczerdeutsch wejścia na szczyt, które musiało być wyczerpujące. Ociekając potem, zamówili trzy piwa u wesołej kelnerki w białym gorseciku. Dobra Szwajcaria.

W latach pięćdziesiątych kilka razy jeździliśmy z rodzicami do Szwajcarii. Było to w krótkim, przelotnym okresie, kiedy dobrze im się powodziło, ale i Szwajcaria nie była wtedy taka droga. Myślę, że największe wrażenie zrobiła na mnie wtedy niezakłócona regularność wszystkiego. Przejeżdżaliśmy zwykle przez Francję, w tamtych czasach ubogą i zaniedbaną. Domy we francuskich miasteczkach dziobate były od śladów po pociskach, reklamy Dubonnet'a – podarte i zniszczone. Jedzenie było smaczne (mógł to stwierdzić nawet londyński uczeń), ale restauracje i hotele sprawiały przygnębiające wrażenie, jakby chyliły się ku upadkowi: były tanie i ponure.

Po przekroczeniu granicy, zawsze na jakiejś smaganej wiatrem, pokrytej śniegiem przełęczy albo szczytcie, znajdowaliśmy się w kraju schludnych, ozdobionych kwiatami domków, ulic z pieczołowicie wymalowanym oznakowaniem, dobrze prosperujących sklepów (na takie wyglądały) i eleganckich, zadowolonych ludzi. Wydawać się mogło, że wojna, która dopiero co się skończyła, całkiem ominęła Szwajcarię. Moje dzieciństwo było czarno-białe, ale Szwajcaria jawiła się cała w kolorach: czerwieni i bieli, brązie i zieleni, żółci i złocie. A te hotele! Szwajcarskie hotele z czasów mojego dzieciństwa przywodziły na myśl świeżą sosnę, jakby wyrastały prosto z otaczających je lasów. Wszędzie było ciepłe, solidne drewno: grube drewniane drzwi, drewniane schody, twarde drewniane łóżka, tykające drewniane zegary.

Jadalnie miały wielkie okna, były w nich kwiaty, krochmalona bielizna stołowa, i choć nie może to być prawdziwe, wydaje mi się, kiedy sięgam pamięcią w przeszłość, że nie było tam

nikogo prócz nas. Nie słyszałem wtedy oczywiście o Kławdii Chauchat, ale później wyobrażałem sobie, jak cicho wkracza do jednej z tych sal, omiatając wzrokiem stoły, a ja – niczym Castorp – błagam bez słów, żeby się do mnie przysiadła. W rzeczywistości towarzyszyły mi obojętne pary w średnim wieku: Szwajcaria pozwala marzyć, ale tylko do pewnego stopnia.

Pamięć płata figle. Wiem, że prawie zawsze spędzaliśmy wakacje w berneńskim Oberlandzie, niemieckojęzycznej części Szwajcarii. Kraj ten jednak miło mi się kojarzy z pierwszymi nieśmiałościami próbami mówienia po francusku przy okazji wybierania czekolady, pytania o drogę czy nauki jazdy na nartach. A także kupowania biletów. Szwajcaria zawsze była dla mnie krajem pociągów: niewielkie muzeum środków transportu pod Lucerną atrakcyjnie prezentuje ich najlepsze strony. Tu można nabyć wiedzę o pierwszych w świecie kolejkach elektrycznych, pierwszych i najlepszych pod względem technicznym tunelach, najwyższej biegnących liniach kolejowych Europy – kulminacją jest zapierająca dech w piersiach Jungfrauochbahn, przebiegająca przez serce Eigeru i kończąca bieg na stacji położonej ponad trzy tysiące siedemset metrów nad poziomem morza.

Dziwna rzecz, ale Szwajcarom nigdy nie sprawiało kłopotu to, co Koleje Brytyjskie nazywają „liśćmi na torach” – w tym wypadku śnieg na torach. Tak jak mali wspinacze zdołali wejść na onieśmielający Mały Matterhorn, nie dając po sobie poznać, że sprawiło im to kłopot, tak i pociągi skonstruowane przez ich pradziadków od dziesięcioleci niestrudzenie suną w górę i w dół, z Brig do Zermatt, z Chur do St. Moritz, z Bex do Villars.

W Andermatt, epicentrum kraju, gdzie Ren i Rodan biorą początek w lodowatych źródłach wytryskujących z górskiej

twierdzy, linia transalpejska Mediolan–Zurych wciną się głęboko w góry Gotarda, a setki metrów wyżej Glacier Express pokonuje przerażające serpentyny na skalnych występach, wspinając się na zawrotną wysokość na dach Europy. Wystarczająco trudno prowadzić po tych drogach samochód, nie mówiąc o jeździe na rowerze czy przemierzeniu ich piechotą. Jakże, u licha, je zbudowano? Co to za ludzie?

Moje najmilsze wspomnienia łączą się z Mürren. Pojechaliśmy tam po raz pierwszy, kiedy miałem osiem lat. Było to dziewicze miasteczko w połowie drogi na masyw Schilthorn, dotrzeć tam dało się wyłącznie kolejką zębatą albo linową. Zajmuje to całą wieczność – z co najmniej czterema przesiadkami – a na miejscu nie bardzo jest co robić. Delikatnie mówiąc, jeżdzenie jest nieszczerólnie, a sklepy raczej nieciekawe.

Zawsze, jak mi wmawiają, warto pojeździć na nartach; bez wątpienia warto pochodzić. Widoki, przez głęboką dolinę na łańcuch Jungfrau, zapierają dech w piersiach. Jedyną chyba rozrywkę stanowią regularne jak w zegarku przyjazdy i odjazdy kolejki z jednym wagonikiem, przemierzającej zbczce do stacji funikularu. Świst, kiedy rusza z maleńkiej stacyjki, i kojący stuk szyn to chyba jedyne dźwięki zakłócające ciszę miasteczka. Kiedy ostatnia lokomotywa znajdzie się bezpiecznie w zajezdni, na płaskowyżu zapada cisza.

W 2002 roku, po operacji nowotworu i miesiącu intensywnej radioterapii, zabrałem rodzinę do Mürren. Synowie, sześciolatek i ósmolatek, odebrali chyba to miejsce tak jak kiedyś ja, choć zatrzymaliśmy się w o wiele lepszym hotelu. Pili gorącą czekoladę, wspinali się po łąkach pełnych górskich kwiatów i małych wodospadów, wpatrywali się z rozmarzeniem w ogromny Eiger i byli oczarowani kolejką. Chyba nie bardzo



się pomyłę, stwierdzając, że samo Mürren nic a nic się nie zmieniło. Nadal nie było tu nic do roboty. Istny raj.

Nigdy nie uważałem się za człowieka zakorzenionego. Przypadek sprawia, że rodzimy się w tym mieście, a nie innym i w trakcie włóczęgowskiego życia zmieniamy różne tymczasowe domy – tak przynajmniej było ze mną. Z większości miejsc mam mieszane wspomnienia: ilekroć pomyślę o Cambridge, Paryżu, Oksfordzie czy Nowym Jorku, pamięć przywołuje cały kalejdoskop spotkań i zdarzeń. To, jak je wspominam, zależy od mojego nastroju. Ale Mürren się nie zmienia. Nigdy nie zdarzyło się tam nic złego.

Kieszonkowej kolejce z Mürren towarzyszy swego rodzaju ścieżka. W kawiarence w połowie drogi – jedyny przystanek na całej linii – serwują tradycyjną szwajcarską strawę dla podróżnych. Wznosząca się powyżej góra stromo opada w dolinę. Można wspiąć się tam, gdzie stoją letnie zagrody dla krów, kóz i pasterzy. A można też poczekać na następny pociąg: punktualny, przewidywalny, precyzyjnie co do sekundy. Nic się nie dzieje – to najszczęśliwsze miejsce na ziemi. Nie możemy wybierać, gdzie zacznie się nasze życie, ale zakończyć je możemy tam, gdzie chcemy. Wiem, gdzie się znajdę: będę jechał donikąd tą małą kolejką, po wieczne czasy.



# Spis treści

## Przedmowa

i	Pensjonat pamięci _____	11
ii	Noc _____	23

## część pierwsza

iii	Zaciskanie pasa _____	31
iv	Jedzenie _____	38
v	Samochody _____	44
vi	Putney _____	51
vii	Autobus Zielonej Linii _____	58
viii	Pragnienie mimetyczne _____	64
ix	Lord Warden _____	71

## część druga

x	Joe _____	81
xi	Kibuc _____	89
xii	Pokojowa _____	96
xiii	Paryż był wczoraj _____	104
xiv	Rewolucjoniści _____	112
xv	Praca _____	119
xvi	Merytokraci _____	127
xvii	Słowa _____	138

## część trzecia

xviii	Na Zachód, młody Judcie _____	147
xix	Kryzys wieku średniego _____	155
xx	Zniewolone umysły _____	162
xxi	Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta _____	170
xxii	New York, New York _____	178
xxiii	Ludzie z pogranicza _____	186
xxiv	Toni _____	193

## przesłanie

xxv	Czarodziejskie góry _____	203
-----	---------------------------	-----

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.  
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kollątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel./fax +48 18 353 58 93 e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl,  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,  
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70  
e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48  
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,  
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl  
tel. 504 564 092, 605 955 550

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Skład: D2D.PL

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52  
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2012

Wydanie 1

Ark. wyd. 7,7

Cena: 31,90zł